JERZY ŻUŁAWSKI

POWRÓT

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

II

(Z CYKLU »LAUS FEMINAE«)

WARSZAWA 1922
INSTYTUT WYDAWNICZY »BIBLIOTEKA POLSKA«

POWRÓT

JERZY ŻUŁAWSKI

POWRÓT

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

(Z CYKLU »LAUS FEMINAE«)

WARSZAWA 1922
INSTYTUT WYDAWNICZY »BIBLJOTEKA POLSKA«

Zakłady graficzne „Bibljoteka Polska" w Bydgoszczy.

I.

Przez wpół przymknięte powieki uśmiechał się jeszcze do snu, który już odlatywał. Bladły mu w oczach subtelne barwy jedwabnych kakemonów, rozwieszonych na trzcinowej ścianie otwartej ku morzu werandy, gubiły się w dziwnie rozkosznym szmerze słodkie, dyskretne, do rytmicznego spadku drobnych pereł na szklaną czarę podobne dźwięki harf, — w srebrnej mgle roztapiały się uśmiechnięte postacie o porcelanowych twarzyczkach: niknęły już, a uśmiech ich pobladły wisiał jeszcze we mgle i w ostatniem, zapachem wiśniowego kwiatu przepojonem tchnieniu letniego wiatru... Szukał mętnem spojrzeniem wewnątrz snu liljowej twarzy słodkiej Tonami, która właśnie coś doń przez łzy mówiła — ale poprzez widzenie przebijała już słonecznie złota, nad wyraz rozkoszna świadomość, że powrócił, że jest już tutaj po długiej, długiej nieobecności, w kraju rodzinnym, w mieście swojej młodości...

Otworzył oczy cicho, z jasnym, ze snu pozostałym w źrenicach uśmiechem — i zdawało mu się, że wszystko się doń śmieje, co tylko w źrenice mu wpadło. Nie ruszał się z miejsca, nie odwracał nawet głowy na poduszce, jakby się bał spłoszyć to, co snem już przecie nie było.

Spostrzegł naprzód jasny, złoty płat słońca na prze-

ciwległej ścianie, potem błyszczącą ramę jakiegoś obrazu, brzeg kaflowego pieca z niby bronzowem ujęciem i dwie małe papużki, malowane w rogu sufitu, które mu się przez jedną chwilę wydały dziwnie znanemi, jak gdyby patrzył na nie już niegdyś... Nie myślał zresztą o tem, nie był zdolny myśleć. Okno było snadź przez całą noc uchylone, bo rzeźwy, zapachem kwitnących kasztanów przepojony powiew miłym chłodem muskał mu skronie. Chwytał go łakomie rozdętemi nozdrzami, błądząc okiem po ścianach, perłowem pokrytych obiciem, po czerwonych, pluszowych meblach dużego pokoju, urządzonego z wyszukanym, nowoczesnym, iście hotelowym i barbarzyńskim przepychem... Były momenty, że nie zdawał sobie dokładnie sprawy z tego, gdzie się znajduje. Zamajaczyły mu w pamięci podobnie błyszczące, podobnie obojętne i sprzedajne pokoje różnych *palace*'ów — w Port-Saidzie, w Kalkucie, w Tientsinie, w Jokohamie...

Spojrzenie jego padło na duży, żółtą skórą obity kufer podróżny, pokryty niemal całkowicie nalepionemi kartkami z nazwami stacyj hotelów, kompanij okrętowych... Uczuł, że sen mu znowu ciąży na powiekach. Jakiś wczesny turkot uliczny wpadł mu w ucho i gubił się wraz ze świadomością chwili obecnej; zdało mu się, że słyszy znów krzyk okrętowej służby, a potem miarowy łoskot pociągu po żelaznych szynach, który przez tyle dni go ogłuszał.

I wśród wspomnień zaczęły mu się plątać, jak zmora widzenia, dawno, dawno przebytych trudów, prac, nędzy... Jakieś brudne portowe tawerny, ohydne, od wilgoci zapleśniałe baraki poszukiwaczy złota, namioty rozbite na bezwodnej pustyni, długie kupieckie karawany, noce bez snu, dnie bez wytchnienia, pot sciekający z brudem z uznojonego lica, chłód, głód i pragnienie...

I nagle dziwna, słodka błogość: jestem w ojczyźnie! Nieokreślone, jak cień drzewa, wiatrem poruszanego, kołyszące się w półsennej świadomości wyobrażenia tego wszystkiego, co przed dziesięciu laty rzucił, za czem tęsknił mimowolnie a ciągle, na stepach i w miastach, w trudzie i w dostatku: wieże marjackie na pokłębionem obłokami niebie, jakiś oderwany dźwięk z hejnału, zapach kwitnących kasztanów, sylweta wawelskiej katedry, ponad zielone drzewa widziana... I znowu dawniejsze, dziecinne przypomnienie: ogród, pełen jaśminu i świeżej rosy, błyszczącej na kwiatach, na puszystej trawie... Boso na nią wybiegł, rad z dni wakacyjnych, z młodości chłopięcej, ze świecącego słońca...

Coś mu w głowie zamajaczyło; przeskok wpółsennego przypomnienia przerzucił go zaś na drugą półkulę, w wiśniowy sad z widokiem na morze o srebrnej, drobnej, łyskliwej, zcicha pluszczącej fali.

— Dlaczego płaczesz, Tonami? Nie smuć się. Wiedziałaś przecie, że ja tu zawsze nie pozostanę... Ja, widzisz, jestem zdaleka, z bardzo daleka... Muszę powracać...

Nie myślał, nie przypominał, lecz raczej pozwolił obrazom przepływać przez głowę wraz z powrotnemi falami senności, której nie odpędzał, nie miał potrzeby odpędzać... Był wolny, nie miał na razie żadnego obowiązku, do niczego się już teraz śpieszyć nie potrzebował. Trud życia skończony, — pod poduszką leży książka czekowa banku angielskiego...

— Chcesz złota, Tonami? Mam go dużo, bardzo dużo. Przed dziesięciu laty wyjechałem w świat z gołemi rękoma... Czemu się oburzasz? Chciałem, musiałem wiele złota zarobić... Nie chcesz go? To

szkoda. Nic ci więcej nie mogę dać. Właściwie nie kocham cię wcale, śliczna, droga Tonami!

Błysnęła mu poprzez sen smuga krótkiego japońskiego miecza... Jakiś krzyk —

Rozwarł powieki.

— Śmieszne. Przecież ja jestem już tutaj.

Leżąc nawznak, patrzył wgórę — przed siebie. Wpadły mu znowu w oczy dwie papużki w klatce ze złotych prętów, oplecionych winogradem, malowane w rogu sufitu...

— Gdzie ja je widziałem? — pomyślał zrazu obojętnie.

Naraz przebłysk jasności, przerzut wstecz o całe długie lata.

Oto leży tak na sofie z podwiniętemi pod głowę rękoma i patrzy już godzinę całą na śmieszne, w rogu sufitu malowane papużki, licząc minuty i nasłuchując znanego, jedwabistego szelestu na schodach, — lekkich, szybkich kroków... Za chwilę drzwi się otworzą...

Zerwał się i usiadł na łóżku. Reszta senności w jednej chwili pierzchnęła mu z powiek.

Rozejrzał się z uwagą dokoła. Pokój był mu obcy,— meble nieznane, nowe, — świeżo naklejone obicia na ścianach. A jednak to malowidło na suficie, pociemniałe już i starsze widocznie! — Owszem, przypomina sobie dokładnie! W tem miejscu łóżko było, tam stolik, tu sofa... Nawet ta sama, co w tamtym kącie stoi obecnie, pokrycie jeno zmieniono...

Wyskoczył z łóżka i jednym rzutem ramion rozwarł uchylone okno narozcież. Świeża rzeźwość letniego poranku, poczynająca się już zlekka mącić gorącym oddechem nadchodzącego upału dnia, buchnęła nań szeroką, kwietnemi woniami przepojoną falą. Wsparł

się łokciami na parapecie, wychylając głowę na ulicę. Rondel Florjański i brama omszała, ciężka, zadumana, — dalej ponad dachy czerwone, nad zielone, pachnące drzewa, widna w parnej śreżodze smukła wieża Marjacka... Patrzył na to wszystko w tylu pamiętnych dniach!

— Przecież to tutaj było — szepnął do siebie niemal głośno — właśnie tutaj.

Zadzwonił gwałtownie na służącego. Przez jeden moment miał ochotę kazać rzeczy spakować i przenieść się gdzieś na inny koniec miasta, albo uciec znów, jak ongi, ale opamiętał się rychło.

— Jak się ten hotel nazywa? — spytał zjawiającego się w progu lokaja.

Lokaj wymienił znaną mu dobrze nazwę.

— A numer? Numer pokoju?

— Czterdzieści jeden.

— Ach! — odetchnął, jakby z mimowolną ulgą.

Tak. Teraz jest więcej pokojów, od czasu jak hotel odnowiono, bo teraz mamy i tamto skrzydło, gdzie przedtem były prywatne mieszkania... Dawniej, naprzykład, ten pokój był już ostatni z naszych w korytarzu i miał numer dwudziesty dziewiąty.

Dwudziesty dziewiąty! Ostatni w korytarzu! Pamięta, pamięta... Tuż obok były drzwi szklane, któremi można się było wślizgnąć niepostrzeżenie z prywatnych obok schodów, nie mijając w bramie hotelowego portjera, nie pokazując się służbie w korytarzach... We dnie był tam zawsze mrok, — wieczorem wystarczało światło gazowe przede drzwiami nieco przykręcić lub zgasić nieznacznie...

Dał służącemu krótki znak, aby wyszedł. Lokaj jednakże wskazał ręką papier leżący na stole.

— Jaśnie pan jeszcze się nie zameldował.

— Ach tak!

Pochwycił skwapliwie to przypomnienie, aby nie myśleć teraz dalej. Sprawa zapisania swego nazwiska na przygotowanej karcie meldunkowej wydała mu się naraz bardzo ważną i pilną. Ujął pióro w rękę nawet z pewnem uczuciem rozbawienia, że będzie teraz jako obcy podawał swe nazwisko tutaj, gdzie spędził całą niemal swoją młodość i kęs wieku dojrzałego...

Roman Turski — napisał i zawahał się. Przez dziesięć lat dodawał do tego nazwiska: robotnik, kupiec, podróżnik, przemysłowiec, jak gdzie i kiedy padło — i nie myślał już wkońcu o tem, że niegdyś, przed dziesięciu laty i dawniej, mówiło się i pisało: Roman Turski, literat. — Teraz przypomniało mu się to po raz pierwszy od dłuższego czasu. Właśnie teraz i tu.

Zmarszczył brwi z niechęcią. Tamten okres życia zamknięty raz na zawsze i przekreślony dobrowolnie.

Ale wszakże i kupcem i przemysłowcem przestał już być, odkąd, zlikwidowawszy swoje w ostatnich czasach nader rozległe interesy w Azji, siadł na okręt, aby tutaj powrócić. Uczuł pierwszy raz w życiu, że nie wie właściwie, czem jest w tej chwili.

Żywym ruchem przekreślił pole, na którem powinien był wypisać swój zawód i wypełniwszy, stojąc, pośpiesznie kartę do końca — rzucił ją na ręce czekającego lokaja.

— Trzeba się ubrać — pomyślał, gdy służący zamknął drzwi za sobą.

Z przyzwyczajenia, jak człowiek, który nie miewał czasu na stracenie, zrazu szybko rzucał na siebie odzież, ale wnet ruchy jego zwolniały. Obezwładnienie jakieś ogarnęło go nieprzemożenie. Stał w słońcu, w bieliźnie do pasa, z odkrytą ogorzałą piersią, z twarzą koloru bronzu, z której świeciło twardym połyskiem dwoje

szaro-niebieskich, teraz zadumą przyćmionych nieco oczu.

— Jakże się to stało?

Przyjechał dziś w nocy, kazał się dorożkarzowi zawieść do najbliższego hotelu — zmęczony długą podróżą, nie uważał, w której stronie miasta wysiada ani gdzie wchodzi, gdy mu służący drzwi otwierał...

I oto śmieszny, bezmyślny przypadek sprowadza go na samym wstępie, w pierwszej zaraz godzinie, gdy tylko stanął w tem mieście — na miejsce to samo, gdzie się rozegrał pierwszy i ostatni akt tego, przed czem uciekł był przed dziesięciu laty w świat, aby być wolnym, aby się wyswobodzić, aby móc żyć poprostu! Jak gdyby ten przypadek wiedział, iż on, wracając tu, miał w sobie cichą, ukrytą myśl, że trzeba się spotkać ze wspomnieniem tego wszystkiego, co było, stoczyć walkę ostatnią i przekonać się, że zwyciężył w istocie, że to nie jest już niczem więcej, jak tylko wspomnieniem.

Odetchnął głęboko i usiadł w fotelu. Rysy stwardniały mu — z poza zaciśniętych ust, z szeroko rozwartych oczu wyjrzała jakaś uporczywa zawziętość...

Niechże się tedy walka ostatnia rozegra. Dobrze się stało, że w tym jest właśnie pokoju — że nim ją samą zobaczy, czuje w tej chwili jej dawną obecność, chwyta uchem gdzieś z załomów portjer jej szept, co dziesięć lat tu na niego czekał, — nozdrzami delikatną, rozpyloną w powietrzu woń jej ciała, co nie zginęła dotychczas, mimo że tylu obojętnych ludzi przeszło tędy, za kilka srebrniaków własność tego pokoju na jedną noc, na parę dni sobie kupując...

Uczuł coś, jakby cień zmory dawnej, krążącej około niego w powietrzu. Nie odpędzał go w tej chwili, jak

to przez dziesięć lat był czynił, lecz owszem przyzywał ku sobie, oko w oko świadomie z nim stając.

I cień przybliżył się ku niemu, jak lekka mgła, wszystko w sobie pochłaniająca.

Przymknął oczy; gorący, dawno nieznany dreszcz przebiegł jego ciało.

Ileż to lat już temu? Dziesięć a dwa — dwanaście lat...

Przyjechał był tutaj skądś, dla jakichś odczytów, które wygłosić zobowiązał się był dawno i niepodobna mu się było teraz wymówić... Wszak był literatem wówczas!

Stanął w tym hotelu — ten właśnie pokój mu dano...

Położył się wcześnie spać, zły na siebie, że wyjechać musiał, prześladowany zwidzeniem przedziwnych, dumnych ust, kuszących jak śmierć, a tak niedostępnych...

Ust, co tak wyglądały, jak gdyby — stworzone do całowań, rozkoszy i szału — dotąd niczyich nietknęły warg przez dumę niewypowiedzianą i strach — rozkoszy samej, co spala? pokalania się? zawodu?

(Niema nic więcej przewrotnego, pomyślał, jak dziewiczość — fałszywa? — na twarzy kobiety zamężnej).

Na kilka dni przed wyjazdem mówił do niej obłąkane słowa miłości. Zresztą wówczas nie wierzył jeszcze sam w to, co mówił. Przyzwyczaił się był uwodzić, bawiło go to, — mniej mu zależało na wyniku...

Patrzyła mu w oczy bez zmrużenia powiek, bez uśmiechu, z uwagą, ale nic nie odrzekła. Nie mógł zrozumieć, czy gniewa się nań, czy słucha go chętnie, nawet cień rumieńca nie przeszedł jej po bladej twarzy, rozświetlonej dwojgiem czystych a wiecznie głodnych oczu.

Spotkał ją znowu w dzień odjazdu.

— Pan ma odczyty w Krakowie? — zagadnęła go znienacka.

— Tak, księżno — odparł. (Księżną była po mężu, choć sama z ubogiej i nieznacznej pono pochodziła rodziny).

— Książę wyjechał na pogrzeb mojego ojca — rzekła powoli, zapatrzona przed siebie.

Spojrzał na nią, nie rozumiejąc, jaki jest związek między temi faktami. O ojcu jej nie słyszał nigdy; zdumiony był, że mówi to obojętnie i że pozostała w domu, podczas gdy mąż jej na pogrzeb wyjechał. Z właściwem sobie roztargnieniem zauważył dopiero teraz, że ona jest w żałobie.

Naraz zwróciła się żywo ku niemu.

— W którym hotelu pan staje?

Wymienił nazwę bezmyślnie i chciał coś dalej mówić, ale przerwała mu ruchem ręki.

— Do widzenia!

Został sam na ulicy.

Patrzył, jak odchodziła drobnym, elastycznym krokiem, kołysząc się zlekka w biodrach. Chód jej miał w sobie coś tanecznego; mimo swą „poprawność" przywodził mu na myśl ruchy baletnic w wyuzdanych, orgjastycznych pląsach.

— Skąd mi to przyszło — szepnął do siebie, ruszając ramionami.

W hotelu w Krakowie długo nie mógł zasnąć. Zwidywały mu się ciągle usta księżnej Heleny i drażniło go to zwidzenie, bo wiedział, że jest beznadziejne.

Zmorzył go wreszcie sen nagły i ciężki.

Po pewnym czasie we śnie zdało mu się, że ktoś drzwi otwiera.

— Musi być rano — pomyślał nawpół przy-

tomny, — zapomniałem drzwi zamknąć; służący przychodzi po ubranie...

Nie otwierał oczu, aby się nie rozbudzić przedwcześnie; pora była jesienna, do dnia pewno jeszcze daleko. Usiłował nie słyszeć szelestu poruszającej się w pokoju pociemku osoby.

Naraz uczuł miękkie, ciepłe, nagie ramiona, które obejmowały go za szyję. Obezwładniająca woń ciała...

— Hela!

Straszliwy obłąkany pocałunek zamknął mu usta.

— Ja nie jestem Hela, nie jestem księżna, nie mam imienia, jestem twym snem tylko, rozkoszą, która spada niespodziewanie, szczęściem ja jestem, co przyszło do ciebie na przelotną chwilę i jutro przepadnie!...

Kiedy rankiem, o godzinie, gdy pierwszy pociąg odchodził, pozostał sam w pokoju, pełnym jeszcze przedziwnej woni jej ciała, włosów i sukni, nie mógł się opamiętać, czy to jawa była rzeczywiście, czy też tylko jakiś niepojęty sen.

Bolała go poprostu pustka tego pokoju i brutalne światło dnia, przez okno się wdzierające. Przymykał oczy, aby przywołać znowu w zwidzeniu tę noc szaleństwa, obłędu i rozkoszy, ponad ludzkie nazwanie straszliwej, noc nieprzytomną i tem do snu podobniejszą, że ona nie pozwalała mu światła zapalać.

— Wszakże znajdziesz usta moje i pociemku. Nie czujesz jak pachną?

Nagły dreszcz nim zatrząsł i przejmującym mrozem przeszedł po kościach.

...Gdy zegar wydzwonił godzinę czwartą, kazała mu wyjść z pokoju. Powróciwszy po kilkunastu minutach, na jej znak, zastał ją już ubraną. Światło elektryczne płonęło teraz. Stanął w progu, wstydząc się naraz

swego negliżu, płaszcza pośpiesznie narzuconego na bieliznę.

— Bądź zdrów...

Zaledwie dosłyszał jej słowa, stłumione gęstym, kilkakroć koło twarzy owiniętym woalem, przez który nawet rysów nie można było rozpoznać.

— Hela...

— Bądź zdrów. Pociąg za chwilę odchodzi. Muszę dzisiaj być w domu.

— Ust. Raz jeszcze ust mi daj!

Zawstydził się sam swego głosu, takie w nim było psie niemal błaganie.

— Nie. Dość.

Twardo zabrzmiały jej słowa. Wyszła, nie oglądając się.. Słyszał jej elastyczne kroki, jak się oddalały w korytarzu, jak ginęły na schodach, dywanem tłumione...

Nagły szał go ogarnął; uczuł, że tę kobietę, którą przed kilku dniami jeszcze chciał obojętnie uwodzić, kocha do nieprzytomności — właśnie teraz, gdy mu się oddała... Przestraszył się, aż krew mu w sercu zamarła, bo zwykle u niego to było końcem, co oto początkiem się stawało...

Zobaczył ją znów po tygodniu. Przywitała go swobodnym uśmiechem i rozmawiała z nim uprzejmie i wiele, tak jak zawsze, tak jak z innymi. Czekał chwili, kiedy znajdą się sami. Nie unikała tego.

— Hela!

Spojrzała nań ze zdumieniem, przerywając w połowie jakieś uprzejme zdanie.

— Hela! tęsknię za tobą...

— Panie Romanie?

Miał wrażenie, że go cięto biczem przez twarz. Krew uderzyła mu do głowy.

— Czy nie pamiętasz? — wyjąknął całkiem głupio.

— Pamiętam.

Patrzyła mu w oczy wyzywająco.

— Więc... więc cóż to było?

— Nie wiem. Niech pan zgadnie.

Uśmiechnęła się naraz nadzwyczaj uprzejmie i niewinnie dumnemi ustami, kończąc:

— Może moja fantazja.

Teraz uczuł, że blednie. Zęby zacisnęły mu się kurczowo. Wstał i chwycił ją za rękę.

— Słuchaj księżno, — wykrztusił — jeśliś ty chciała mnie jak parobka... jeśliś myślała, że dość mi będzie potem... drzwi pokazać...

Urwał, szukając słów.

Księżna Helena patrzyła mu wciąż w oczy, jeno wzrok jej począł mętnieć i mgłą się zasnuwać, a ramię palcami jego jak obręczą ściśnięte, zadrżało lekko.

— Kochasz mnie? — zapytała.

— Tak. I ty musisz być moja, musisz! I moja będziesz! Choćby niewiedzieć co — muszę cię zdobyć.

— Zdobywaj.

I zaczęło się owo zdobywanie. Śmieszna walka o każde spojrzenie, każdy uśmiech i dotknięcie ręki kobiety, która przecież w ową szaloną noc w obłędnej rozkoszy przez kilka godzin do niego już należała — walka uporczywa i długa, w której on coraz więcej tracił panowanie nad sobą. W pewnych jasnych chwilach rozumiał, że jest poprostu igraszką w rękach tej kobiety, robiącej z nim to, co zechce, ale nie miał siły się cofnąć. Słabość swoją pozorował zaś przed sobą tak, że tu chodzi jedynie o dotkniętą jego dumę męską i gdy tylko ona podda mu się bez zastrzeżeń, on nazajutrz parsknie jej śmiechem w twarz i odejdzie.

Nie parsknął śmiechem w twarz i nie odszedł.

Przyszło upragnione zwycięstwo i stało się jego ostatecznym pogromem. Ta najstraszliwsza choroba, ten obłęd najgorszy, który się miłością nazywa, ogarnął go jak płomień i pożerał w dosłownem znaczeniu.

Poczęły się miesiące, kiedy ona była nie najważniejszą myślą, ale jedyną, do jakiej mózg jego był zdolny. Dnie, na których zegarze była jedna tylko godzina, ta właśnie, o której ją miał zobaczyć. Pocałunki od których się umiera tysiąc razy w jednej minucie i uściski takie, co trwają wieczność, bo serce się zatrzymuje i nie mierzy upływającego gdzieś tam na świecie czasu. Chwile szczęścia niewypowiedzianego: chłodne mrozem a pożądliwe, wilgotne usta, całowane przy powitaniu na schadzkach — dotknięcia dłoni niby przypadkowe i przelotne na balach lub w loży teatrów — spojrzenia wśród tłumu z pod spuszczonych powiek rzucone, długie, oddające się, do szału upojne — ruch warg ledwo dostrzegalny, mówiący: kocham! gdy ludzie patrzą i nie rozumieją — spotkania w zacisznem mieszkaniu, pod zielonemi drzewami, w mknącym wagonie nocnego pociągu pośpiesznego, który, hucząc po szynach, unosił szalonym pędem miłość ich w świat! w świat! w świat!

Dzień po dniu, godzina po godzinie, rozwijał ze wspomnień długą wstęgę wypadków i zdarzeń i dziwił się, że tak ich wiele w przeciągu krótkich dwóch lat i że je pamięta wszystkie, jak gdyby wczoraj zaszły dopiero: że wie jeszcze i czuje, jaki zapach miały jej usta, jakie sypkie były jej włosy czarne, ogromne, małej głowie jak chmura słońcu ciężące...

Pochylił twarz i ukrył rozgorzałe skronie w obu dłoniach.

Ileż to razy — w tym właśnie pokoju — gdy ona z mężem przeniosła się do tego miasta, oczekiwał jej

przyjścia w mroczne, zimowe popołudnia i w przedwczesne wieczory, albo w letnie dnie słoneczne, kiedy ludzie chodzący po ulicach zbyt są zajęci światłem, barwą i życiem wszystkiego dookoła, aby zauważyć postać kobiecą, wślizgującą się do bramy kamienicy, połączonej na piętrze korytarzem z hotelem... Jeżdżąc po świecie, gdy tu miał przybyć, telegraficznie zawsze ten pokój zamawiał; dzisiaj po raz pierwszy dano mu go bez zamówienia, chociaż on go już nie potrzebuje.

Zgrzytnęło coś w jego wspomnieniach; jak gdyby przyschła rana, na nowo brutalnemi palcami rozdarta: ból zaparł mu oddech na jedną chwilę. Tu oto — na tej podłodze leżał po raz ostatni u jej nóg i białe, sprężyste kolana całował, błagając, aby wyłącznie do niego należała, stargawszy luźne oficjalne więzy, które ją z innym człowiekiem łączyły — i stąd wstał, cięty brutalnem słowem jak szpicrutą, by iść w świat na dziesięcioletnią tułaczkę, na trud i walkę i pracę, na zapomnienie tego wszystkiego, co było...

— Wrócisz! — zaśmiała się za nim.

Powrócił.

Wir jakiś zakotłował mu w piersi i w głowie; cały przeciąg dziesięciu lat, wszystkie wypadki, które go wypełniały, wszystkie trudy i zwycięstwa, wszystkie usta, które mimochodem całował, nazajutrz poza siebie rzucając, wszystko co przeżył, czego doznał, co przebolał, czem się cieszył, co zdziałał, co zdobył w tym okresie wieloletniej wędrówki — naraz niczem mu się stało, jak rdzeń bzu zgnieciony między dawnem, potężnem wspomnieniem, a nieubłaganą, żelazną prawdą dnia dzisiejszego.

Miał wrażenie, że otchłań otwiera się przed nim na nowo

II.

— Turski powrócił!

Poleskiemu wpadły te słowa w ucho gdzieś od drugiego stolika i powtórzył je kilkakrotnie bezmyślnie, patrząc z natężeniem w stojące przed nim figury szachowe.

— Turski powrócił... Turski powrócił; teraz, panie kochany, szach! Turski powrócił...

Nareszcie zauważył, co mówi. Wzniósł żywo glowę i spojrzał w stronę, skąd głos go doleciał.

— Kto mówi, że Turski powrócił? — zapytał teraz z zupełną świadomością.

Przy stoliku obok siedziało kilku ludzi. Jeden z nich, łysawy blondyn z ryżą brodą i powiekami bez rzęs, zapijający właśnie czwartą czy piątą szklankę wody po wypitej przed godziną czarnej kawie, powstał i nie wyjmując rąk z kieszeni, podszedł ku Poleskiemu.

— Pan nie słyszał? Zobaczyłem go dzisiaj na ulicy...

— Turskiego? Romana Turskiego?

— Tak jest. Ledwo mogłem go poznać. Ogorzał, wygolony...

— Może to nie on! — rzucił od stolika przedziwnie chudy jegomość z pospolitą, starannie anglizowaną twarzą i złotemi zębami. — Musiałeś się pan omylić, panie Merser!

Ryży blondyn obrócił się żywo, potrącając sterczącemi łokciami stojących obok.

— Jakże! przecież z nim mówiłem...

Poleski wsparł się obiema rękami na poręczy krzesła i zwrócił z trudem swą garbatą postać ku mówiącemu.

— Mówił pan z Turskim? dziś? tu?

Partner po drugiej stronie szachownicy niecierpliwił się.

— Dajże pan pokój jakiemuś tam Turskiemu! Ja już posunąłem. Graj pan!

Ale Poleski nie zważał. Powstał i zbliżył się do sąsiedniego stolika. Partner jego, stary radca sądowy, wzruszył ramionami z niechęcią i począł bębnić niecierpliwie palcami po stole. Po chwili, słysząc obok żywą rozmowę, zwrócił się do sąsiada czytającego gazetę.

— Co za Turski?

— Turski? Nie wiem.

Ktoś dalszy odpowiedział:

— Literat. Grają właśnie dzisiaj jakąś jego sztukę w teatrze.

— Patrzcie, patrzcie — zdziwił się radca nie bez urazy w głosie. — I gdzież on wyjeżdżał?

Merser tymczasem opowiadał:

— Szedłem sobie przez rynek. Chciałem właśnie dzisiaj kupić lożę do teatru, więc trzeba było zobaczyć, co grają...

— Mógł się pan mnie zapytać — wtrącił chudy, który zostawszy niedawno recenzentem w jakimś dzienniku, uważał się za osobę bezpośrednio i ważnie z teatrem złączoną, a przeto nader kompetentną w sprawach repertuaru, aktorek, dekoracyj, dramatów, reżyserji i wszelkich innych rzeczy.

— Nie było pana pod ręką. Otóż staję na rogu i czytam afisz. Zasłania mi ktoś, stojący przede mną. Poglądam przez jego ramię: „Wiosenne dziwy". Pasja mnie wzięła, bo to, panie, grywają już od dziesięciu lat, a ja myślałem, że będzie co nowego...

— Dziś niedziela — odezwał się recenzent. — W niedzielę dyrekcja nowych sztuk nie daje, bo...

— Nie przerywaj pan, panie Koper!

— Więc cóż dalej?

— A nic. Zakląłem zcicha: mogliby już raz tym wiosennym dziwom dać spokój! A ten jegomość, co stał przede mną, odwraca się i mówi z uśmiechem: I ja tak myślę. — No i co powiecie, panowie, był to Turski, autor „Wiosennych dziw", czy „dziwów", czy jak się tam mówi!

— Przyjechał pewno po tantjemy — rzekł Koper, uśmiechając się jedną połową ust.

Poleski przysunął się.

— Czekajno pan. To takie mało prawdopodobne. Czy to nie był kto inny? O Turskim od dziesięciu lat zaginęły wieści...

— No i znalazł się! — rzekł Merser z triumfem, jak gdyby on był Stanleyem, który z narażeniem życia odszukał Livingstona.

— To nieprawda! Turski nie żyje.

Poleski drgnął niespokojnie.

— Skąd pan to przypuszczasz?

— Nie przypuszczam, lecz wiem.

Z za odrzuconej gazety wyłoniła się zasępiona, wąsata, krzaczastemi brwiami ocieniona twarz Rogockiego który dotychczas, zatopiony w czytaniu, zdawał się wcale nie zwracać uwagi na to, co około niego mówiono. Wpatrzył się na chwilę okrągłemi oczyma w garbatego lekarza i powtórzył z uporem:

— Turski nie żyje.

Merser śmiał się głośno.

— Rogocki mówi z taką pewnością, jakby był na jego pogrzebie...

— Byłem.

— Nie pleć pan głupstw! Przecież mówię, że dzisiaj z Turskim rozmawiałem!

Rogocki już nie odpowiadał. Zakrył się znowu gazetą, z poza której buchały jeno kłęby dymu jego cygara.

Kawiarnia tymczasem napełniała się coraz więcej. Dochodziła godzina piąta i pomimo upalnego letniego dnia, który wabił za miasto, stali bywalcy ściągali na zwykłą kawę poobiednią, na gazety, na partję szachów lub bilardu. Kilku przybyszów przysiadło się do stolika Mersera, dziennikarz jakiś starszy, z którym Koper z głośno akcentowanem koleżeństwem począł zaraz „fachowo" rozmawiać o teatrze, a osobliwie o jednej z młodszych aktorek, pozwalając się domyślać, iż ma z nią stosunek; poeta przez kilku ludzi w mieście wysoko ceniony, siwiejący malarz, wieczyście o niesprawiedliwości społeczeństwa mówiący i jeszcze jakiś młody, w klerykalnym miesięczniku pracujący bałwan, o przedziwnie ciasnej głowie, który uchodził za bardzo zdolnego, ponieważ przed kilku laty zdał z odznaczeniem maturę, a niedawno otrzymał doktorat *sub auspiciis imperatoris.*

Merser próbował opowiedzieć jeszcze raz przed nimi historję nadzwyczajnego spotkania z Turskim, którego miano od dziesięciu lat za przepadłego, ale rzecz już nie wzbudziła żywszego zajęcia. Dziennikarz mruknął tylko pod nosem: „A to nam figla wypłatał! — Myśmy już tak jego dramaty chwalili...", a poeta zawyrokował krótko, że to zgoła wszystko

jedno, czy Turski żyje, czy nie, gdyż jest to i tak człowiek skończony, po którym już się niczego nie można spodziewać. Uspokoiwszy się w ten sposób, zaczął po raz szesnasty wielce płynnie opowiadać o dramatycznej tetralogji, którą ma zamiar w przyszłym roku przez cztery dni z rzędu w teatrze wystawiać. Koper uważał za stosowne robić minę tajemniczo-sceptyczną, ale objawiał zaciekawienie, czekając momentu, kiedy będzie mógł zaakceptować swoją światowość wspomnieniem o aktorce...

Poleski stracił partnera, który, nie mogąc się go doczekać, odszedł z gniewem od szachownicy. Nie zatrzymywany przez nikogo, widząc, że się niczego więcej o Turskim nie dowie, gdyż opowiadający właściwie sam nic nie wiedział, usunął się we framugę okna, gdzie właśnie jakiś gość wychodzący opróżnił mały stolik. Kawiarnia znajdowała się na piętrze starej kamienicy w rynku i z głębokich, w trójłokciowym murze wykutych wnęków okiennych, poza zrąb naprzeciw stojącego domu widać było dużą część placu, z kolorowemi Sukiennicami w pośrodku i górującą nad niemi z prawej strony dawną wieżą ratuszową. Kościół Marjacki za węgłem już skryty, znaczył się tylko kawałkiem niższej wieży, ciężkiem ceglanem cielskiem widną oku przestrzeń odgraniczającej... Nad Sukiennicami dalej mroczyły się mury Szarej Kamienicy, ustępującej w głąb uliczną ponurą, długą boczną fasadą, ale plac cały na dole pełen był barw i słońca. Poleski patrzył, na dłoń głowę wsunąwszy, jak pod zielenią drzew grały wszystkiemi kolorami tęczy stroje wieśniaków, co na niedzielę do miasta ściągnęli, jak się snuły w lekkich, jasnych sukniach przechadzające się, do ptaków, motyli i kwiatów podobne kobiety, jak płonęły na stołach przekupniów kwiaty prawdziwe,

a ówdzie znów zabawki dziecięce: z barwnych skrawków papieru sklejone wiatraczki i pęki baloników kolorowych, podobne zdala do jakichś bajecznych, w powietrzu się unoszących winnych gron...

Przypomniał mu się mimowoli jeszcze więcej słońcem, kwiatami i barwą kobiecych ust kolorowych Plac Hiszpański w Rzymie.

Przymknął nieco oczy.

...Schodziła po schodach, marmurową kaskadą od Trinita del Monte wdół bijących, a po obu brzegach tej śnieżno białej rzeki, z którą płynęła, były kwiaty: całe pęki, całe snopy kwiatów, róże, goździki, hiacynty, gałęzie całe rozkwitłego drzewa migdałowego, akacji pachnącej i do złotych pióropuszów podobnej mimozy.

Stał w dole koło fontanny i patrzył, jak w cud.

Zdało mu się, że miasto całe zbudowano, i schody białe, i strzelisty obelisk, że kwiaty wyhodowano na dalekich niwach i zwieziono je wszystkie tu, na te stopnie marmurowe poto jeno, aby ona mogła tak schodzić o tej popołudniowej godzinie, w piękności niesłychanej i w złotem słońcu, wprost na twarz jej świecącem.

Cudu jakiegoś oczekiwał: może nagle kwiaty śpiewać jej poczną, może woda, w fontannie szemrząca, przedziwną muzyką się rozdzwoni, może ludzie naraz poczną klękać i głowy chylić, jak przed zjawieniem...

I stał się cud!

Przystąpiła ku niemu — znała widocznie jego postać koślawą z krakowskich ulic — i przemówiła coś, zapytała o drogę, o jakiś kościół, czy o sklep...

Księżna Helena!

Nie mówił z nią więcej nigdy w życiu. Mógł ją był spotkać często tutaj — na zabawach, w teatrze, u niej

w domu wreszcie, gdyż przyjmowała wszystkich, ale sama myśl, że przed majestatem jej piękności będzie stał — garbaty, wątły i nieporadny, była tak straszna, że unikał wszelkiego do niej zbliżenia...

Posłyszał, że ktoś usuwa gazety, leżące obok niego po przeciwnej stronie stolika. Odwrócił głowę. Rogocki wtłaczał się na pluszową kanapkę we wnęku okna.

— Nie przeszkadzam panu?

— Nie, nie. Owszem, proszę... — odparł nienawistnie.

Rogocki nachylił się doń przez stolik.

— Czy pan wierzy tym głupstwom, które Merser opowiada?

— Jakim głupstwom?

Udał, że nie wie, o czem mowa, myśląc, że się pozbędzie w ten sposób natręta.

— No, jakimże! Tym o Turskim. To jest śmieszne. Turski nie żyje.

— Skąd pan wiesz o tem?

— Wiem.

Przybliżył kudłatą głowę jeszcze więcej do twarzy Poleskiego i szepnął tajemniczo:

— Czy pan wie, że on się kochał w księżnej Helenie?

Poleski rzucił głową z mimowolnem zdumieniem. O tem wiedzieli wszyscy. Postarała się o to we właściwym czasie ona sama, gdyż nie lubiła, aby jakikolwiek jej triumf został niepostrzeżony. Miała nawet swoją osobną metodę: skarżąc się na rzekomą niedyskrecję wielbiciela, któremu zazwyczaj o niczem podobnem się nie śniło, opowiadała — niby mimowoli — wszystko, co było potrzeba, a raczej o czem chciała, by wiedziano... Historja z Turskim, blisko dwa lata trwająca, była jedną z najgłośniejszych, to

też Poleski, posłyszawszy tajemniczy ton Rogockiego, sądził w pierwszej chwili, że on żarty sobie stroi. Ale Rogocki był poważny. Patrzył mu w twarz szeroko rozwartemi oczyma i czekał odpowiedzi.

Poleski skinął głową powoli.

— Tak. Słyszałem coś nie coś o tem.

Powstał i chciał odejść.

Rogocki chwycił go za połę surduta.

— Panie, to jest kobieta dziwna! On szalał za nią, ale ona go nie kochała. Był za słaby, aby się wyrwać, więc... rozumie pan?

— Tak, tak. Rozumiem. Do widzenia.

— Pan jeszcze nie wie, lecz ja panu powiem. Ona mówiła... komuś, no tak, mnie nawet mówiła, że Turski wtenczas, przed dziesięciu laty, napisał do niej list, z którego zrozumiała na pewno, że on sobie życie odbiera, a nie chce się do tego przyznać tylko na złość, aby jej nie dać triumfować...

— Pan temu wierzy?

— No, jakże! Przecie gdy ona go odepchnęła...

Poleski nie słuchał dalej. Odchodząc widział jeszcze, jak Rogocki, wtuliwszy twarz i najeżone wąsy między palce dłoni, mamrotał coś do siebie, uśmiechał się i kiwał głową, prowadząc snać swym zwyczajem jakąś dysputę bez towarzysza. Poleskiego ogarnęła litość i równocześnie obrzydzenie. Było dlań coś strasznego a zarazem nad wyraz wstrętnego w tym człowieku, którego historję znał cokolwiek ze słyszenia. Uchodził niegdyś powszechnie za nadzwyczaj zdolnego adwokata; rok czy dwa wystarczyły, aby zrobić zeń zupełną i beznadziejną ruinę człowieka... Mówiono o tem z politowaniem, jako o rzeczy dokonanej i pewnej i wymieniono przytem imię księżny Heleny.

Poleski się wzdrygnął i przyśpieszył kroku. Myśl o Turskim powróciła znowu. Rozglądał się, czy gdzie między przechodniami nie ujrzy go, starego przyjaciela, a równocześnie, niby mimowoli, wybierał takie ulice, idąc do domu, na których najmniej było prawdopodobieństwa, aby go spotkał. Przed bramą swej kamienicy zatrzymał się — i po chwilowym namyśle zamiast iść wprost na górę zwrócił się w głąb podwórza, aby poszukać stróża. W piękne niedzielne popołudnie podwórze starego domu było wyjątkowo puste i spokojne. Poleski zawołał kilkakrotnie stłumionym głosem, jakby nie mając odwagi tej ciszy nazbyt silnym krzykiem zamącić, a wreszcie gdy stróż się nie zjawiał, zszedł do suteryn.

Zaduch ciasnej izby uderzył nań nieprzyjemnie. Stróż spał w ubraniu na łóżku, najzupełniej pijany, na stole pod wysoko umieszczonem oknem siedziało czworo dzieci, widocznie świeżo obitych, jeszcze ze łzami na twarzy.

— Czy jest matka w domu?

— Mamusia poszła na nieszpory, a nam kazała tatusia pilnować...

— Dobrze, dobrze... — Poleski zawahał się.

— A czy pan doktór czego potrzebuje? — spytała najstarsza dziewczynka...

Poleski miał ochotę zapytać, czy tu kto, jaki obcy pan tymczasem nie dowiadywał się o niego, ale niewiadomo dlaczego wstyd mu się zrobiło pytania, więc zostawiwszy tylko dzieciom kilka groszy (właściwie nie wiedział, dlaczego to robi), poszedł do siebie na piętro.

Jedyny jego służący miał w niedzielę dzień wolny, mieszkanie więc było najzupełniej puste. Minął przedpokój i chłodny, rozpaczliwie przykry, banalny salon,

będący zarazem poczekalnią dla pacjentów i dopiero w gabinecie swym zauważył, że wbrew zwyczajowi i nawspak swemu pedantycznemu zamiłowaniu do porządku, wszedł aż tutaj z laską, w kapeluszu i w zakurzonej, podczas największych upałów nawet nieodstępnej zarzutce z peleryną, którą, jak utrzymywali jego złośliwi przyjaciele, usiłował na ulicy swe kalectwo maskować.

Wpadł w złość i zaczął wołać na służącego, o którym wiedział, że jest w tej chwili na mieście. Laską z gumowym końcem uderzył w biurko, kapelusz rzucił do kosza z papierami i z watą, którą sobie po badaniu chorych palce wycierał, a płaszcz — pod ceratową sofę na wyciąganych żelaznych nogach, stojącą naprzeciw okna.

Teraz dopiero zastanowił się, że robi głupstwa. Pozbierał porozrzucane ubranie i zaniósł wszystko na właściwe miejsce, poczem przeszedł do trzeciego z zajmowanych przez siebie pokojów.

Była to właściwie jego sypialnia, ale zewnętrzny wygląd i całe urządzenie zgoła tego nie okazywały Przedewszystkiem brakowało łóżka w tym pokoju głębokim, o jednem tylko oknie we wnęku na krótszej ścianie, które na wąską wychodząc ulicę, nie zdołało rozświetlić mroku, co padał ze starego, w drzewie rzezanego stropu i pociemniałych szaf dębowych z książkami. Niska, szeroka sofa, łóżko zastępująca, przykryta była odwiecznym perskim dywanem, ze ściany się zwieszającym; po kątach stało kilka ogromnych foteli, wytartą i na poręczach dłońmi wygładzoną skórą obitych, które w niczem nie przypominały nowożytnego i w pośpiechu snać kupionego umeblowania pierwszych dwóch pokojów. Na ścianach wisiałą broń: dwie karabele, szpada napoleońska i ułański pałasz obok pistolety dwa stare o głowniach srebrem nabitych i myśliwskie kordelasy — nieco wyżej kilka portretów olejnych, poczerniałych już wiekiem, z których patrzyły postacie wąsate o podgolonych czuprynach, ówdzie zaś wyglądał mundur szwoleżerski albo uśmiechnięta twarz wydekoltowanej damy... Ze stropu zwieszał się na łańcuchu stary, ciężki świecznik złocony, na kominku między dwoma srebrnemi lichtarzami stał zegar empirowy, — skrzypiącą, w gwiazdy układaną parkietową posadzkę przykrywała skóra niedźwiedzia ogromna...

W pokoju nie było zwierciadła. Poleski, zamykając się tutaj w godzinach wolnych od zawodowej pracy lekarskiej, nie chciał mieć przy sobie tej szyderczej tafli szklanej, którąby mu nieustannie przypominać musiała to, o czem i tak nazbyt uporczywie i boleśnie pamiętał: jak różny jest ułomną, karłowatą postacią swoją od tych przodków, po których te resztki dawnej fortuny on — ostatni z wygasającego rodu — był odziedziczył. Miejsce zwierciadła nad kominkiem zajmowała stara, zniszczona, na purpurowem tle złotem tkana makata — a na niej krzyż: bronzowy Chrystus na hebanowem drzewie — ongi w krakowskiej pracowni przez jakiegoś ucznia mistrza Stwosza cyzelowany. Obok stał klęcznik. Na poduszce, mającej snać ująć pulpitowi zbytniej wysokości, znaczyły się świeże odciski kolan...

Poleski, wszedłszy do sypialni, zamknął drzwi na klucz, pomimo że w mieszkaniu nie było nikogo, ktoby mu mógł przeszkadzać, poczem zdjąwszy karabelę ze ściany, stanął w pozycji z ręką wysoko wzniesioną, by końcem brzeszczotu nie zawadzić o podłogę. Stał tak chwilę bez ruchu i nagle puścił młyńca. Mała, kaleka postać jego sprężyła się w sobie, nogi

o za wielkich stopach wrosły w ziemię, długie ramię aż po przegub dłoni stwardniało w nieruchomy konar, na którego końcu był wicher okiem nieuchwytnych ruchów i błyskawica wijącej się i gwiżdżącej w powietrzu stali. Dużą głowę wcisnął między wysokie ramiona — na twarz wystąpiły mu wnet ceglaste rumieńce, oddech począł się rwać i zgrzytać w piersi.

Z młyńca — bez wypoczynku — przeszedł do cięć, zadawanych w powietrze podstępnie i pewnie; z długą szablą w ręku wyglądał jak potworna, piekielna maszyna, jedynie do poruszania tej błyszczącej stali wymyślona. Była to zresztą jego duma i samoobrona, ta mistrzowska sztuka szermierska, przez którą potrafił ułomną swą postać zrobić straszną dla każdego, ktoby go chciał lekceważyć lub zadrwić z jego kalectwa...

Nareszcie rzucił szablę. Zmęczenie tym razem niechciało mu uspokoić rozigranych nerwów. Wskoczył wyczerpany na fotel i zginął niemal w jego głębi. Z jedną nogą podwiniętą pod kolano, z drugą zwieszoną i nie sięgającą posadzki, z rozrzuconemi na poręczach długiemi rękoma, dysząc ciężko, wbił oczy w portret smukłego ułana, dziada swojego, co z ponad żółtych rabatów wpół zwróconą twarzą uśmiechał się doń ze ściany niemal szyderczo i złośliwie.

Poleski pobladł i przygryzł wargi. Powolnym i jakby mimowolnym ruchem głowy przeniósł wzrok na hebanowy, perłową macicą inkrustowany stolik obok kominka, na którym stała niewielka, żelazna szkatułka.

Turski!

Poczuł w tej chwili niepohamowaną, zawziętą nienawiść do tego człowieka. Za to, że był zdrowy i smukły i piękny, że miał prawo do życia i korzystał

zeń i za to jeszcze, że odjeżdżając w świat, zostawił mu, jako przyjacielowi, tę zamkniętą, zimną, żelazną szkatułkę w depozycie. Nie mówił mu nigdy, co w niej jest, ale Poleski wiedział to dobrze. W długich, szarych godzinach i w noce bezsenne czuł przez stal zapach jej słów, słów miłosnych i gorących, na kartkach listowego papieru spisanych, — gdy oczy przymrużył, widział w letnie świty lub w zimowe wieczory, w czerwonych blaskach ognia z komina bijących dłonie jej białe, na szkatułce, jakby własności swej, oparte; — obracał się z lękiem, bo mu się zdawało, że jest gdzieś poza nim zawieszony na powietrzu jej uśmiech, że krąży dookoła niego w obrzasku niepewnym spojrzenie jej oczu...

Szkatułka, którą przed dziesięciu laty przyjął obojętnie, owszem, ze skrytym uśmiechem politowania, że Turski do tak marnej rzeczy przywiązuje wagę i daje mu ją do przechowania — ta szkatułka stała się powoli częścią jego życia i myślenia, tak że możliwość samą, iż mu będzie odebrana, uważał teraz za groźbę amputacji, po której pustka trupia w głowie zostanie. Sam nie wiedział, jak się to stało i kiedy. W każdym razie było to na długo przedtem, nim księżnę Helenę zobaczył w Rzymie na Schodach Hiszpańskich wśród kwiatów ze słońcem ku niemu idącą.

Przypomniała mu się teraz znowu ta dziwna godzina. Usiłował rozwikłać w sobie wszystko, co się z nim działo, wynaleźć związek, następstwo i sens tych rzeczy. Obie nogi podwinął pod siebie, ręce zsunął aż na koniec poręczy fotelu, skulił się i zgarbił jeszcze więcej i siedział tak nieruchomy, jak jakieś potworne lasów australskich zwierzątko, z oczyma uporczywie wytrzeszczonemi przed siebie.

Więc — co jest właściwie? Od dziecka — może właśnie dzięki swemu upokarzającemu kalectwu — miał nienawistny wstręt do wszystkiego, co tylko było kobietą, bez względu na wiek, postać, stanowisko... Malcem z przedziwną i wyszukaną złośliwością darł suknie swoim kuzynkom i kłuł je okrutnie a niespodziewanie; na uniwersytecie był wrogiem koleżanek; jako człowiek dojrzały z wytwornie zimną grzecznością i bezlitosną wzgardą szydził z kobiet, jak gdyby ciętym dowcipem i całą wyższością jasnego umysłu mszcząc się na nich za to, że plecy jego garbate, śpiczasta głowa wciśnięta między krzywe ramiona, piersi kogucie, stopy i dłonie za duże...

Nienawiść tę zawziętą podniecała w nim jeszcze i potęgowała nieokiełzana jego zmysłowość o zwierzęcych iście wybuchach. W kochankach, jakie posiadał, przeważnie płatnych i krótkotrwałych, nienawidził kobiety, jako istoty duchowo niższej i pośledniej, a także fizycznie mu obcej i niezrozumiałej, która mimo to gorszą, zwierzęcą stronę jego jestestwa ciągnęła ku sobie nieprzeparcie i... upodlała. Nienawidził w nich poprostu swojej własnej, górującej w pewnych chwilach zmysłowości i gardził niemi bezgranicznie za to właśnie, że jego, kalekę i niedorodka, gotowe są jako samca przyjmować...

A jednak poza tą chmurą czarną, poza nienawiścią, wzgardą, wstrętem i złością spało w nim jakieś słońce ze wschodniej bajki, jakaś tęsknota za tem, aby było inaczej; przytłumiony wolą, szyderstwem na siedm spustów zamknięty sen o zaklętej królewnie, o piękności podobnej kwiatom czystym i wonnym, o uśmiechu, z którego zorza się rodzi.

Czuł to wszystko w sobie, ale nie umiał tego jasno przed sobą sformułować i napróżno się męczył, skulony

w fotelu, z oczyma wbitemi w żelazną szkatułkę, pełną listów nie do niego pisanych, chcąc zrozumieć to, co się w nim dzieje, a raczej już się stało. To jedno było mu pewne, że wydobyło się z duszy jego na wierzch coś, o czem nie chciał wiedzieć, że w niej wogóle istnieje, a z czem teraz walczyć już zapóźno.

Uczuł się bezradnym, jak dziecko. Tem bezradniejszym i nędzniejszym, że nie miał nic przed sobą, ku czemuby mógł dążyć, coby się mógł starać zdobyć, czy osiągnąć. Nie chciał nawet niczego. Gdyby w tej chwili księżna Helena z całym przepychem swojej urody zeszła ku niemu i przez szaleństwo jakieś niepojęte ramiona z oddaniem wyciągnęła, parsknąłby jej niewątpliwie śmiechem w twarz i znienawidził za to, że śmiała tak się skalać i poniżyć...

Nie, nie! Nie chciał niczego, jeno był tak strasznie, tak bezdennie nieszczęśliwy — naprzekór sobie samemu.

A zresztą — czyż tu naprawdę o księżnę Helenę idzie? Czyż nie jest rzeczą ważniejszą, ba! jedynie ważną ta tylko głupia okoliczność, że w jego pokoju, w tej zimnej żelaznej szkatułce zamknięta jest tajemnica miłości? Tajemnica czegoś pono świętego, pono wielkiego i niepojętego, co bywa udziałem ludzi zdrowych i pięknych, czem się cieszy świat, jak słońcem, a co on sam zna jeno z tego ohydnego, podłego surogatu, jakim jest dreszcz zmysłowej rozkoszy, wstręt i nienawiść po sobie zostawiający...

Ktoś kołatał do wchodowych drzwi od korytarza.

Poleski wzniósł żywo głowę z wielkiemi, odstającemi uszami, jak zając bliskiem ujadaniem psów zaniepokojony. Przyszło mu na myśl, że to musi być Turski. Przez jeden moment miał ochotę wpuścić go tutaj i trzasnąć wchodzącego w łeb żelazną szkatułką

z listami, a potem wziąć te dwie stare, zawsze wyostrzone karabele ze ściany i pokazać mu, że on, ułomek i kaleka, nie jest gorszy od najzdrowszego, gdy na śmierć i życie gra pójdzie...

Kołatanie powtórzyło się. To jednak nie mógł być Turski, gdyż on dzwoniłby raczej... Namyślał się przez jakiś czas, kto to może być — bez najmniejszej chęci wpuszczenia natręta, ale służący widocznie był już z miasta powrócił i drzwi do przedpokoju otworzył. Za chwilę zapukano ostrożnie wprost do jego sypialni. Wstał i machinalnie przekręcił klucz w zamku: mógł to być ostatecznie posłaniec, wzywający go do chorego, a od tego — nie przez miłość ludzi, której nie posiadał, lecz przez sumienne poczucie obowiązku — nigdy się nie wymawiał.

Na progu stanęła uśmiechnięta, ośmnastoletnia może dziewczyna o jasnych jak len włosach z narzuconą na nie niebieską, włóczkową chusteczką. Strój miała na sobie niedzielny, skromniutki — w pokłutych igłą dłoniach trzymała perkalową barwną parasolkę.

— Rózia! Czego tu chcesz?

Z uśmiechem, cicho zamknęła drzwi za sobą i zrzuciwszy chustkę z głowy, podeszła ku cofającemu się nieco lekarzowi.

— Pan doktor zapomniał? Kazał mi pan przyjść dzisiaj, w niedzielę, przed wieczorem...

— Ach, tak.

Wtłoczył się znowu w fotel i patrzył obojętnym wzrokiem przed siebie, unikając jakby z umysłu spojrzenia dziewczyny.

Rózia tymczasem przed małem, z kieszeni wyjętem zwierciadełkiem poprawiała rozrzucone włosy i kręcąc się swobodnie po pokoju, opowiadała szczebiocącym głosem o ważnych wypadkach ostatnich dni, jak jej w pracowni jedna z koleżanek dokucza, ale ona sobie z tego nic nie robi, zwłaszcza że jej podwyższono zapłatę o dwie korony tygodniowo — i jak się na tej niebieskiej sukience, co to pan doktor kupił, zrobiła plama, i jak jej brat pisze, że dostał bardzo dobrą posadę organisty i żeby ona tam przyjechała, ale to niemożliwe...

Naraz urwała i jęła się bacznie przypatrywać milczącemu wciąż Poleskiemu.

— Co panu jest dzisiaj?

Mruknął przez zęby coś niezrozumiałego i nienawistnego.

Podeszła ku niemu i delikatnie, cichutko, cichutko, położyła mu spracowane ręce na zimnym potem okrytych skroniach...

— Chory dziś czy zmęczony? — spytała miękko i lękliwie.

Poleski patrzył jej teraz w oczy zimnem, nieubłaganem spojrzeniem.

— No, nie patrzyć tak, panie doktorze, ja nie chcę!

Zakryła mu oczy dłoniami a potem całą niekształtną głowę jego przygarnęła do dziewczęcej piersi i poczęła błądzić ustami świeżemi po zapadłych, sinobladych policzkach, po czole, po szczecinowatych włosach...

— Mój, mój malutki, biedny doktorek! Cicho, Rózia popieści, utuli.

Przez chwilę poddawał się biernie pieszczocie, aż naraz odepchnął ją gwałtownie od siebie.

Zatoczyła się i usiadła na sofie, patrząc nań zdumiałemi, przerażonemi oczyma.

— Pan się na mnie gniewa? Co ja zrobiłam?

Milczał przez jakiś czas, nie spuszczając z niej oka.

— Słuchaj, Róziu, czy ty mnie kochasz?
— Kocham, kocham! Przecież pan wie, nikogo oprócz pana...
Zaśmiał się cicho.
— Dlaczego mnie kochasz?
— Jakto: dlaczego?
— Zaco?
— Zaco? No tak. Bo kocham.
— Jakaś ty głupia. Przecież ja ładny nie jestem.
— No... nie jest pan doktor znowu taki brzydki.
Zeskoczył z fotelu i stanął przed nią.
— Patrz, jestem garbaty, prawda? Na plecach i tu na piersi. Prawe ramię wyższe. Ręce sięgają do kolan; prawa dłuższa — mówi się znajomym, że to od robienia szablą, ha, ha! Krzywe nogi, stopy za duże; gotowych trzewików dostać nie mogę...
— Oczy ma pan prześliczne...
— Właśnie. W pargaminowej, długiej twarzy o szerokiej gębie i odstających uszach. Zwłaszcza czaszka jest śliczna, śpiczasta, szczeciną porosła.
— Czemu pan tak mówi! Ja nie chcę.
— Dobry dla ciebie także nie jestem.
— Owszem.
— Nie pleć głupstw. Dokuczam ci. Co? Prawda? Odpowiadaj, dokuczam ci czy nie?
— Czasem.
— A widzisz. Raz cię nawet obiłem. Może więcej razy.
— Nie pamiętam.
— Łżesz. I hojny nie jestem. Pieniędzy ty sama nie chcesz przez głupotę... Podarunków ode mnie nie otrzymujesz...
— O, przepraszam! Kupił mi pan niebieską sukienkę...

— Perkalową! Za kilkanaście koron! Przed kilku miesiącami! Raz w życiu! I ty zato... przynosisz mi tu swoje młode, dotąd przez nikogo nie tknięte ciało — i narażasz się, gdybyś matką została...
— Panie doktorze!
— Milcz. I myślisz może, że ja cię kocham? że cię lubię przynajmniej? Że nie czuję dla ciebie tak samo wstrętu, nienawiści, pogardy?
— Jezus Marja! Co panu jest?
— No, mów, mów, mów? Dlaczego mnie kochasz?
— Nie wiem... Doprawdy... jakoś nie zastanawiałam się nad tem. Może ja naprawdę jestem taka głupia...
Wypchnął ją brutalnie z pokoju i zamknąwszy drzwi, rzucił się na podłogę, wijąc się i targając na sobie ubranie w ataku histerycznego płaczu.

III.

Teatr był już prawie pełny, kiedy Turski wszedł do widowni i zajął miejsce tuż przy wejściu w jednym z pierwszych rzędów foteli. Naokoło niego rozmawiano żywo i nudnie. Publiczność niedzielna, mało interesująca, zapełniała szczelnie wszystkie miejsca na dole, jedynie fotele recenzentów były niezajęte. Wyglądały poważnie i dostojnie, zasłonięte od sceny wzgardliwie własnemi, wzniesionemi siedzeniami — i w imieniu nieobecnej prasy, z którą były w bliskiej acz niezbyt zaszczytnej styczności, zdawały się mówić powściągliwem milczeniem i wyraźnym gestem: Sztuka, którą od dziesięciu lat grywają i to w niedzielę, zgoła nie jest dla nas! Zresztą i część obecnej publiczności, która chciała za wytworniejszą uchodzić, akcentowała rozmową i zachowaniem głośno, że nie dla sztuki przyszła do teatru. Jakaś dama w za ciasnej bluzce jedwabnej, o burakowo kraśnej twarzy i z fałszywemi brylantami w tłustych uszach — tuż obok Turskiego siedząca, powtarzała co pewien czas do męża, że nie lubi niedzielnej, nazbyt mieszanej publiczności i tych sztuk już ogranych... naco małżonek szepnął z pokornem usprawiedliwieniem: Wszakże wiesz, kotku, że w dzień powszedni wolnych biletów nie dają...

Kilku młodych ludzi, usiłujących wyglądać jak

najbardziej dystyngowanie, stało między fotelami tyłem do sceny, patrząc z miną światowych bywalców na loże, w których nie było nikogo z ich znajomych...

Ktoś obok mówił:

— Mańka obiecała przyjść, ale to ci jest taka dziewczyna, że jej nigdy wierzyć nie można. Nadarmo wydałem trzy korony.

Ktoś inny znowu:

— Po drugim akcie trzeba klaskać. Wyjdzie na scenę autor.

— Głupstwo. Przecie nie żyje.

— Ale gdzież tam! Jest w Krakowie. Mówiono mi dzisiaj w kawiarni. Podobno na jego przybycie dyrekcja sztukę wznowiła.

Jeden z foteli recenzyjnych zaszczękał otwierany z przykrem zdumieniem, że mu w dniu niewłaściwym służbę każą odbywać. Na jeden moment we włosiennem wnętrzu jego zbudziła się jeszcze nadzieja, że może jakaś przyjemna kuzynka potentata opinji w drodze łaski dzisiaj go zajmie, rychło jednak lekki lecz dotkliwie kościsty ciężar rozwiał jego złudzenia.

Doktor Koper wszedł do teatru. Z miną lekko uśmiechniętą i tajemniczą rozejrzał się szybko po widowni i usiadł nieruchomie w zapuszczoną kurtynę wpatrzony. Zjawienie się jego wywarło wrażenie. Poczęto sobie szeptać i robić domysły, co ma znaczyć tak niespodziewany dla dzisiejszego przedstawienia zaszczyt.

Człowiek poinformowany wskazał nań głową z triumfem:

— A co? Nie mówiłem!

Publiczność zaczynała się niecierpliwić; był już czas, aby rozpocząć widowisko.

W przejściu pojawił się sekretarz teatralny. Wy-

soki, z płaską, wygoloną twarzą, pomyszkował wzrokiem między siedzącymi, a dojrzawszy Kopra, podszedł z uciechą ku niemu.

— Kochany doktorze, doskonale się składa, że pan przyszedł...

— Pan wie, że Turski jest w Krakowie? — przerwał Koper godnie.

— Właśnie, właśnie... Otóż czy go niema na widowni? Kaprała go tylko zna, ale już ucharakteryzowany. Samemu dyrektorowi zaś nie wypada...

Koper, który chodził do gimnazjum w czasie, gdy Turski zniknął i nie miał najmniejszego wyobrażenia, jak on może wyglądać, począł się pilnie przypatrywać siedzącym dookoła, a spojrzawszy także kilkakrotnie najzupełniej obojętnie w twarz Turskiemu, zawyrokował:

— Niema go. Musiałbym go poznać. Przyjdzie później.

Turski słuchał, jakby to wszystko nie do niego się odnosiło. Zgnębiony był porannemi wspomnieniami, zmęczony pierwszym dniem pobytu w tem mieście, włóczęgą bezcelową po ulicach, siedzeniem w jakiejś nowej, nudnej, nieznanej mu dawniej kawiarni. Oprócz Mersera nikogo ze znajomych nie spotkał, nie szukał nawet nikogo, odkładając sobie na później odwiedziny u dawnych przyjaciół, o których nie wiedział nawet, czy wszyscy dotąd żyją. Wyczytawszy z afisza, że sztukę jego grają, poszedł do teatru bez ciekawości i bez osobliwego celu, poprostu aby wieczór długiego dnia jakoś przepędzić. Nie obiecywał sobie wzruszeń ani niespodzianek; patrzył też obojętnie, jak kurtyna się wzniosła, odkrywając przed nim zniszczony i połatany płócienny krajobraz, który mu się wyśnił przed kilkunastu laty w bogactwie tęcz, słońca, kwiatów i płynącej wody.

Na początek przedstawienia patrzył okiem nieubłaganego krytyka. Raziły go liche dekoracje — barbarzyńskie, do niedzielnych przedstawień zastosowane skrócenia reżyserskie i gra aktorów bezduszna, którzy nadarmo tylekroć powtarzanym i zmartwiałym, zmanierowanym w swych ustach wyrazom często granej sztuki usiłowali nadać cokolwiek nowego życia ze względu na zachwyconą za kulisami wieść, iż autor po dziesięcioletniej nieobecności pono dziś będzie w teatrze. Pamięć i rutyna biednych, umęczonych wyrobników sceny brała już górę; znać było, że próżno się zmuszają, aby myśleć o tem, co mówią.

Przytem i sama sztuka nie podobała się Turskiemu. Te jego wyśnione „Wiosenne dziwy“ zbladły jakoś dziwnie w jego oczach w ciągu lat i niemal że uśmiech politowania na usta teraz wywołały. Czuł w wielu miejscach naiwność, ówdzie znowu nieszczerość lub niedołężną robotę, rażącą tem więcej przy grze niedoskonałej. Jeśli się nie wstydził za sztukę, którą na scenie pokazywano, to tylko dlatego, że nie umiał jakoś połączyć obecnego poczucia swej osobowości z dawnem, i przyznać wewnętrznie, że to on, ten sam on jest autorem granej właśnie rzeczy. Miał owszem wrażenie, że patrzy na dzieło dobrze sobie znane, dzieło kogoś sobie bliskiego, ale nie do tego znów stopnia, aby nie mógł wobec niego być najzupełniej objektywnym.

Tymczasem zbliżała się kulminacyjna scena aktu pierwszego. Młody chłopak, w zaczarowanym gaju zbłąkany, spotyka boginkę krzaku różanego, śniącą o dalekim, dalekim świecie... Aktor umiał wiersze dobrze na pamięć i recytował je z pewnem wzrastającem przejęciem:

Stargam kolczastą zaporę
tych stopy twoje raniących gałęzi!
Oto twe dłonie jak dwa ptaki biorę;
wszak nogi twoje tylko krzak ten więzi!
Pójdź za rękoma swemi, które do mnie
idą stęsknione, pódź za ócz spojrzeniem,
co chcą być przy mnie! Świat jest tak ogromnie
jasny! Tu czarem wszystko jest i — cieniem!
Świat jest tak jasny! Pokażę ci drogę
na ten świat jasny!
— Wszak tyś sam zbłąkany!
— Ach, zapomniałem! Ale wyjść stąd mogę,
jeśli zapomnę, w tobie rozkochany,
iż się zbłąkałem, — gdy miast przewodnika
szukać, sam stanę tobie przewodnikiem...
Pójdź ze mną, kwiecie!

Turski mimowoli zaczął słuchać uważniej. Treść słów, mówionych ze sceny, była mu dość obojętna, ale odnalazł coś, jak gdyby nić, wiążącą obecne jego jestestwo z tym człowiekiem, który te słowa pisał przed laty. Wsparł łokieć na kolanie i twarz na dłoni położył. Powieki przymknął nieco; patrzył nie na to, co się przed nim w tej chwili działo, lecz na jakiś dawny, jasny, słoneczny dzień swojego życia.

...W teatrze, w tym samym teatrze grano po raz pierwszy „Wiosenne dziwy“. Siedział w loży za plecami księżny Heleny i oddychał upajającą wonią jej odkrytych ramion. Wsparła się zlekka na poręczy krzesła, na której on położył swą rękę. Drgnęła, jakby chcąc się cofnąć, ale powstrzymało ją widocznie nieme błaganie jego oczu; widział ją z profilu: z pod ociężałych marzeniem powiek, z rozchylonemi nieco ustami patrzyła na scenę...

Był to ten dziwny czas, kiedy ją zdobywał, kiedy śnił o pocałunku jej ust, jako o czemś niedostępnem i jak rozkoszna śmierć pożądanem, chociaż już przecie

w jedną do haszyszowego majaka podobną noc paliły mu twarz niezapomnianemi piętnami...

Był to dzień jego triumfu; jedyny prawdziwie upojny dzień w jego życiu. „Wiosenne dziwy“ przyjmowano burzą oklasków, zrywającą się ze wzmożoną siłą po każdym akcie. Wywoływano go bez końca, rzucano mu kwiaty i wieńce. Zniósł je wszystkie do loży księżny Heleny i rzucił pod jej stopy. Uśmiechnęła się do niego nabrzmiałemi pragnieniem ustami. Czuł na sobie palące jej spojrzenie i drżał. Nieprzytomnie odpowiadał recenzentom, którzy przychodzili dłoń mu uścisnąć, nie uważał jadowitych żądeł w słodkich gratulacjach kolegów-pisarzy. Za kulisami wyrósł przez jeden wieczór na boga. Jakiś stary aktor, podobno mąż grającej rolę boginki róż młodej artystki, zapraszał go do siebie i zapewniał o przyjaźni swej żony, — inni zwykły tytuł: „panie autorze“, zastępowali również śmiesznym, lecz więcej uroczystym: „panie mistrzu“.

Wracał do księżny Heleny i patrzył jej w oczy. Po ostatnim akcie wstała upojona, dumna, jakby to jej triumf w teatrze święcono. Podawał jej płaszcz; przechyliła cudowną głowę przez ramię ku niemu:

— Księcia niema. Odprowadź mnie do domu — ty!

W ciemnej głębi loży wpiła się pożerczemi ustami w jego wargi spragnione...

Nagle rozpalające się światło w widowni i mdłe, pośpieszne brawa przerwały Turskiemu wspomnienia. Nie zauważył nawet, kiedy pierwszy akt doszedł do końca. W teatrze przed spuszczoną kurtyną zrobiło się jasno; ludzie wstawali z krzeseł, jedni wychodzili, inni poczynali banalne, gwarne rozmowy.

Turski odwrócił się i spojrzał mimowoli w stronę,

gdzie była loża, z której ongi patrzył na pierwsze przedstawienie „Dziwów wiosennych“.

Siedziała w niej księżna Helena — jak ongi.

Poznał ją na pierwszy rzut oka i zdziwił się, że nie doznał żadnego wrażenia.

Nie zmieniła się prawie nic w przeciągu dziesięciu lat. Ten sam wytworny, dumny profil o szlachetnym orlim nosie, te same usta kuszące i ciężkie nad pałącemi oczyma powieki. Patrzył na nią ciekawie, ale bez wzruszenia i dziwił się coraz więcej. Była mu obca. Po błędnym ataku wspomnienia, po rozpętanej echowej burzy, jaką przeszedł dziś rano, bał się poprostu chwili, kiedy ją zobaczy, że to będzie coś, jak uderzenie piorunu, rozbijające w puch tę zbroję, którą przez dziesięć lat kuł na sobie. A oto...

Oto była przed nim niedaleko, żywa, w tem samem miejscu, na którem przed chwilą jeszcze widział ją we wspomnieniu gorącem i była mu najzupełniej obojętna. Miał raczej uczucie przesytu, prawie że niesmaku. Coś się w nim złamało niepowrotnie i aż mu się wstyd zrobiło, aż żal, że się tak stało, choć starał się o to przez dziesięć lat usilnie.

— To jest ona? Piękna jest, ale naprawdę, że za dużo o niej myślałem.

Patrzał na nią wciąż i zauważył w pewnej chwili, że i ona go widzi. Powoli, ruchem doskonale harmonijnym odwróciła się do kogoś, co siedział poza nią w loży. Miał wrażenie, że o nim mówi. Potem spojrzała znowu i skinęła mu głową z lekkim przyjaznym uśmiechem.

Skłonił się jej głęboko z uczuciem takiem, jakby witał kogoś dobrze znajomego, z kim przed dwoma czy trzema dniami się rozstał, ale na kim nigdy mu nic zgoła nie zależało.

W tej chwili uczuł, że biorą go w uścisk dwie wilgotne łapy i jakieś obrzydliwe, miękkie usta w policzek go całują.

— A! drogiego dawno niewidzianego mistrza...

Cofnął się z przerażeniem.

Stał przed nim aktor, który podobno był mężem artystki, grającej niegdyś rolę boginki róż. Wysoki, łysy, tłusty i chudy równocześnie, bo z suchemi ramionami, zapadłą piersią i cienkiemi nogami, lecz z obwisłym brzuchem i twarzą obrzękłą, patrzył mu w oczy z doskonale udanem rozczuleniem, nie puszczając jego łokci z uścisku swych dłoni.

— Ledwie kochanego mistrza mogłem poznać! Tyle lat!... A toż się żona ucieszy! Nie mogła dzisiaj grać, bo... spodziewamy się błogosławieństwa bożego...

Turski nie wiedział, jak się przywitać.

— Bardzo mi miło. Pan co tu robi? — bąknął, ażeby cośkolwiek powiedzieć.

— Jakto: co? Jestem dyrektorem...

— A! dyrektorem?

— Tak, tak, mistrzu kochany. Ciężki kawałek chleba. Z tą aktorską hołotą nie można sobie już poradzić. Czasy bardzo się na gorsze zmieniły. Ale co do tantjemy, owszem, nie odmawiam, chociaż czasy są ciężkie i to już nie idzie tak, jak dawniej. O, nie! Ale obliczymy wszystko...

Doktór Koper potrącił dyrektora w łokieć i rzekł szeptem tak, aby go Turski wyraźnie dosłyszał:

— Niechże mi dyrektor przedstawi pana Turskiego.

Stary aktor więcej miał jednak taktu i przedstawił Kopra Turskiemu.

— Bardzo mi przyjemnie...

— Pragnąłem pana dawno poznać. O dzisiejszem przedstawieniu dam małą notatkę w dzienniku wobec

powrotu pańskiego do kraju. To dobrze zrobi. Pan prawdopodobnie przywiózł nam jakąś nową sztukę?...

— Nie, nie!

— Szkoda. Ale to się napisze teraz tutaj. Polecę panu jedną małą aktoreczkę... — Koper uśmiechnął się znacząco. — Dyrektor sam przyzna, że ma znaczne zadatki...

Nim się Turski zdołał opamiętać, już wzięty przez dyrektora pod ramię i poprzedzony pół krokiem przez godną figurę doktora Kopra, znalazł się za kulisami. Niektórzy ze starszych aktorów znali go i witali z udaną serdecznością, młodsi patrzyli nań godnie z ubocza, czekając w jak najwięcej niedbałych pozach, aż przyjdzie, przedstawi się i przywita.

Ale Turski nie przyszedł, nie przedstawił się i nie przywitał. Wogóle nie rozumiał, poco go tu zawleczono i zły był na siebie, że się nie oparł. Mdły zapach perfum, szminki i pudru zalatywał z otwartych damskich garderób, na korytarzu ukazywała się co chwila jakaś postać niedoskonale odziana, albo przebiegały pędem garderobiane z perukami i częściami ubrania na ręku. Znał ten zapach i ten ruch zakulisowy i czuł się w nim niegdyś dobrze. Teraz jednak ogarniał go wstręt i zakłopotanie, czuł się tu śmiesznym i wysoce niepotrzebnym i chciał odejść jak najprędzej.

Dyrektor wcisnął go w przyćmioną czeluść zascenia i zaczął mu tłumaczyć, że on wprawdzie jest gotów z całego serca, ale czasy są ciężkie i obliczenie tantjem teraz po dziesięciu latach napotka na pewne techniczne trudności, więc możeby jakiś niewielki ryczałcik...

Turski uśmiechnął się mimowoli.

— Nie, dyrektorze. Teraz tego już nie potrzebuję. Był czas, kiedyby się było przydało, ale teraz nie... Może to dyrektor użyć, na jaki zechce cel...

Dyrektor, uspokojony, zniknął momentalnie, a ponieważ i Koper już poprzednio z ostentacyjną poufałością wszedł do jednej z mniejszych garderob damskich, więc Turski pozostał sam. Skierował się ku wyjściu, prześlizgując się w cieniu stosów opartych o ściany dekoracji w obawie, aby go znów kto znajomy nie spostrzegł i nie zatrzymał.

W jaśniejszem jakiemś przejściu natknął się niespodziewanie na człowieka starszego o długich, siwych włosach, w poprawnem, o wytwornym smaku świadczącem ubraniu i z gładko wygoloną twarzą. Spotkany chciał się usunąć, ale Turski go poznał.

— Dyrektor! — zawołał z niekłamaną radością.

Starszy pan uśmiechnął się niewyraźnie.

— *Crimen laesae maiestatis.* Z dyrektorem mówił pan przed chwilą. Ja tu jestem tylko... jednym z reżyserów.

— Jakto? Co się stało?

— Nic się nie stało. — Podniósł na Turskiego spokojne, jasne oczy; na ustach zaigrał mu ledwo dostrzegalny ironiczny uśmiech. — Dyrektor Malinowski raczył mnie zaangażować.

Turski nie rozumiał tego zupełnie. Stojący przed nim w cieniu kulisy człowiek, to był Zaremba, po Koźmianie i Pawlikowskim trzeci, który niesłychanie wytwornym smakiem artystycznym i nieograniczoną ofiarnością przez szereg lat utrzymywał teatr polski na wyżynie prawdziwej sztuki. Z głębokiego i napozór beznadziejnego upadku, jaki nastąpił bezpośrednio po ustąpieniu Pawlikowskiego, gdy scena wpadła w ręce przedsiębiorców i kabotynów, Zaremba, objąwszy po długiej walce dyrekcję teatru krakowskiego, dźwignął go, nie oszczędzając sił ani grosza i stworzył nowy rozkwit sztuki, którego Turski ongi, przed dziesięciu

laty był świadkiem. Scenie nowe postawił zadania i wynalazł nowe środki wyrazu artystycznego, rozbudził twórczość dramatyczną, stworzył sobie z niczego i wychował całe pokolenie aktorów, umiejąc znaleźć nieomylnie talent tam, gdzieby się go nikt nie był spodziewał.

I obecny dyrektor Malinowski, niegdyś zwyczajny Malik, był jego kreaturą. Zaremba wyszukał go — dawnego krawczyka — w jakiejś wędrownej operetce, gdzie błaznował, tańczył, objaśniał lampy i śpiewał, wziął w samym początku swej dyrekcji na scenę stołeczną, dał warunki rozwoju, zachęcił, pouczył i... patrzył.

Umiał patrzeć.

Patrzył, jak wzrastała niepoślednia indywidualność aktorska, jak bystry umysł chwytał w lot wskazówki, jak artystyczna natura zdobywała sobie pracą i intuicją nowe, właściwe środki, wypowiedzenia. A że się Malik przedzierzgnął w Malinowskiego, że powoli, z wyjątkiem imienia chrzestnego, o którem zapomniano, nic w nim nie pozostało prawdziwego, że mówił, cieszył się i płakał słowami wyuczonych ról, że słowem pod rozrostem aktora zginął w nim człowiek oprócz jednej żądzy wywyższenia się i władzy za wszelką cenę: to już Zarembę nic nie obchodziło. Patrzył i uśmiechał się.

Umiał się uśmiechać.

Turski znał dobrze tę historję i nie mógł jakoś teraz zrozumieć zamiany ról, nie mógł pogodzić się z myślą, że Zaremba jest reżyserem u Malinowskiego. Szukał słów, jakby się o tę zmianę rzeczy zapytać, gdy nagle z głębi zabrzmiał ostry głos:

— Panie Zaremba! Gdzie pan się podziewa? Czas już zaczynać!

To Malinowski wołał.

Zaremba skłonił się szybko Turskiemu i nie podając mu ręki na pożegnanie, zniknął bez słowa między kulisami.

Nim Turski wynalazł kogoś, kto mu otworzył żelazne drzwi, na widownię wiodące, akt drugi był już w pełnym toku.

Nie miał ochoty patrzeć na to, co się dzieje na scenie, a przytem niemiło mu było wchodzić teraz do krzeseł i wywoływać wrażenie pojawieniem się swej osoby, zwłaszcza że po ostentacyjnem powitaniu przez dyrektora cały teatr już zapewne wiedział, kim jest. Błądził więc przez jakiś czas po korytarzu, a potem zwrócił się na pierwsze piętro do loży, gdzie siedziała księżna Helena.

Ostatecznie wcześniej czy później trzeba się z nią będzie przywitać.

Wszedł bez zapukania. Wyczuł, że w zacienionej głębi znajduje się kilku mężczyzn; minął ich i zbliżył się ku przodowi. Księżna siedziała w ogromnym, czarnym kapeluszu, przechylona przez parapet i patrzyła na scenę. Na odgłos kroków, tłumionych dywanem, obróciła się nieco, tylko tyle, aby uśmiech jej mógł zobaczyć i nie odrywając oczu od sceny, wyciągnęła rękę wstecz na powitanie. Białą, długą, wypieszczoną, brylantami w platynowej szarej oprawie strojną dłoń. Wiedziała snać, kto przychodzi i uważała to przyjście za naturalne. Uścisnęła lekko palce Turskiego i — nie patrząc — pociągnęła go na krzesło obok siebie.

Turski usiadł i milczał. Było mu dziwne nieswojsko i poprostu nudno. Wzrokiem powoli do mroku przyzwyczajonym powiódł po mężczyznach w głębi loży. Tuż za księżną siedział młody, tłusty bałwan

o czarnych, krótko strzyżonych włosach. Patrzył na Turskiego zimno i z nienawiścią. Głębiej dwóch jeszcze siedziało. Jednego z nich przypomniał sobie Turski z przed dziesięciu lat, jako młodego, wówczas początkującego malarza, któremu wielką rokowano przyszłość. Zaledwie zdołał go poznać w tym człowieku zniszczonym o zapadłych policzkach, czarnej brodzie i dużych, gorączkowo świecących oczach. Odnalazł jednak w pamięci jego nazwisko: Wierzbic — i ukłonił mu się zlekka. Malarz wyciągnął dłoń na powitanie.

Drugiego nie znał zupełnie. Był to młodzieniec wysoki, zbudowany jak cyrkowy akrobata, o małej ptasiej główce i dziwnie impertynencko zadartym nosie. Znać było, że uważa się za bardzo przystojnego i poniekąd zdobywcę niewieścich serc.

Nagle księżna Helena zwróciła się do Turskiego:

— Pamięta pan?

Głową wskazała na scenę.

Młody aktor klęczał u nóg boginki róż, którą wywiódł nieopatrznie na bezwodną pustynię i mowił wiersze, a dekoracje za niego grały. Rzecz była mianowicie taka, że obiecywał swojej ubóstwianej różne cudowne rzeczy, których jej nie mógł dać, a dobrotliwa i również zakochana boginka, aby go nie martwić, stwarzała sobie sama to wszystko, co on jej obiecal. A więc z piasków wykwitały prześliczne kwiaty, woda zaczynała szemrać po wyschłych kamieniach, na nagle wyrosłych palmach pojawiały się bajeczne rajskie ptaki o tęczowych ogonach. Dekoracje były stare i zużyte, ale maszynerja działała jeszcze bez zarzutu i przy dobrej woli można się było łudzić, że cud się dzieje na scenie.

Turski przypomniał sobie, że niegdyś, na którems

z dalszych przedstawień „Wiosennych dziwów" siedział podczas tej sceny w mroku loży z ustami zbliżonemi do wonnego ramienia księżny Heleny i szeptał jej do ucha, że taki cud ona w jego życiu jałowem stwarza. Teraz wydało mu się to niezmiernie śmiesznem, ale odrzekł poważnie:

— Pamiętam.

Księżna zwróciła się z nagłem ożywieniem w głąb loży.

— Ale ja panów jeszcze nie zapoznałam. Wierzbica pan sobie przypomina? To pan Rohityn, a to — wskazała na akrobatę — pan Golimski, znany u nas zaszczytnie sportowiec; — Roman Turski.

Zdawało się, że w jednej chwili straciła objawiane dotychczas zainteresowanie dla znanego sobie doskonale widowiska. Poczęła mówić dużo i z ożywieniem. Nie dopytywała się Turskiego zgoła, gdzie był, co robił, nie wyrażała zdziwienia, że odjechał ani że powrócił, lecz rozmawiała z nim tak, jak gdyby wszystko było najzupełniej naturalne. Opowiadała mu o zdarzeniach ostatnich miesięcy i tygodni, informowała go mimochodem, bez nacisku o zmianach zaszłych w towarzystwie, o których mógł nie wiedzieć.

W pewnej chwili, kiedy towarzyszący jej mężczyźni zajęci byli sobą, rzuciła mu niespodziewanie ze swojem zwykłem wyzywającem, prosto w źrenice idącem spojrzeniem:

— Wiedziałam, że wrócisz.

Turski zdumiał się.

— Księżno?...

Mówiła już o czem innem.

— Z księciem jeszcze się pan nie widział? Rad panu będzie. Przyjdzie tutaj do loży. Obiecał przyjść. Rozwiodłam się z nim...

Rohityn chrząknął znacząco i dumnie — po ustach malarza przemknął bolesny, ironiczny uśmiech — ufryzowany sportsman patrzył o ile możności jak najgłupiej przed siebie.

— Wszakże... mówiła pani, że książę tutaj będzie? — zdziwił się Turski.

— Tak jest. Żyjemy w jak najlepszej zgodzie z sobą. Ale rozwiodłam się z nim.

A potem dodała z naciskiem i głośno, tak że wszyscy mogli słyszeć:

— A widzi pan! Trzeba było mieć cierpliwość.

Turski pochylił głowę, ażeby ukryć uśmiech. Wydała mu się w tej chwili komedjantką wcale nie gorszą od aktorki, pokazującej boginkę róż na scenie. Przypomniało mu się, ile razy niegdyś w miłosnem obłąkaniu błagał ją, aby się z mężem rozstała i z nim na życie los swój połączyła. Kazała mu zawsze czekać, nie odmawiając nigdy stanowczo, ale wyszukiwała wciąż powody ważne, dla których jeszcze teraz nie mogła tego uczynić... Aż nareszcie tego dnia, kiedy po raz ostatni przed dziesięciu laty z nią w ukrytym hotelowym pokoju mówił i błagał jak zawsze, rzuciła mu zniecierpliwiona brutalnie prosto w twarz:

— Książę ma zgórą sto tysięcy rocznego dochodu, a ty ile?

Skłonił się jej wówczas w milczeniu i wyszedł. Słyszał jeszcze za sobą z gniewem wyrzeczone słowa:

— Dość miałam nędzy zamłodu, nie chcę jej więcej kosztować. Dość, dość, dość!

To było ich ostatnie widzenie się przed laty. Turskiemu ta scena stanęła żywo przed oczyma. Pomyślał, że on jednak w tej chwili jest majętniejszy, niż wówczas był stary książę.

— Pan się nazbyt śpieszył... — dorzuciła księżna Helena z odcieniem melancholji w głosie.

Rohityn zachrząknął znów groźnie.

Dla Turskiego było coś dziwnie obrzydliwego w tej rozmowie, prowadzonej znacząco i otwarcie wobec ludzi, o których się domyślał, że są pod władzą tej bosko-urodnej Cyrce czarnowłosej. Poczuł ochotę powiedzenia czegoś, coby jej odebrało wyzywającą, prawie że cyniczną pewność siebie i zmusiło do zmienienia tematu. Wzniósł oczy powoli i spojrzał jej prosto w twarz.

— A... obecnie jak się przedstawia strona finansowa położenia pani?

Wytrzymała jego spojrzenie bez zmrużenia powiek.

— Doskonale. Dziękuję. Książę mnie zabezpieczył. Jestem najzupełniej niezależna.

— Cieszę się bardzo ze względu na panią.

Ożywiła się znowu.

— Czy pan wie, że ja mam syna...?

— Syna!?

— Tak.

Patrzyła mu w oczy wyzywająco i mówiła bez zająknienia, nie zważając na dzikie pomruki siedzącego za nią tłustego bruneta:

— Mam syna. Pan wyjechał w sierpniu. On przyszedł na świat w maju następnego roku. Mówią, że jest bardzo do mnie podobny. Książę nadzwyczajnie go kocha.

Turski był zmieszany. Ta kobieta jednak panowała wolą i świadomością swej siły nad wszystkiem. Ona spostrzegła jego zmieszanie i nie zdołała powstrzymać przelotnego uśmiechu triumfu.

— Iwo mu na imię. Ładny i duży chłopak. Wedle

umowy rozwodowej należy do księcia, ale obecnie jest u mnie...

Kończący się na szczęście akt przerwał przykrą rozmowę, która pozostawiła Turskiemu nie dające się zwalczyć uczucie niesmaku.

Z chwilą rozjaśnienia się widowni wszedł książę do loży, wysoki, siwy, dystyngowany, do bardzo mocno zasuszonego śledzia podobny pan. Przywitał się z rozwiedzioną żoną pełnym szacunku pocałunkiem w rękę, skłonił się obecnym, Turskiemu kilka przyjemnych słów powiedział. Tuż za nim wsunął się Koper i zaraz zaczął krzykliwym głosem, z przesadną gestykulacją opowiadać coś banalnego księżnej, która go słuchała z najprzyjemniejszym w świecie uśmiechem na twarzy.

Turskiemu robiło się ciasno i duszno. Chciał wyjść za wszelką cenę. Książę go zatrzymywał uprzejmie, ale się wymówił zmęczeniem po długiej podróży. Księżna podała mu rękę z rozkosznym uśmiechem, nie powstając z miejsca.

— Gdzie pan mieszka? — spytała.

Wymienił nazwę hotelu.

Zaśmiała się nieco złośliwie.

— Czy zawsze jeszcze numer dwudziesty dziewiąty?

— Nie, księżno — skłamał. — Tego numeru podobno już wcale niema, jak wielu, wielu innych rzeczy, które były.

Słuchała z roztargnieniem rzeczywistem czy też udanem. Skinęła mu jeszcze raz głową.

— Książę pana zapewne odwiedzi. A do mnie — przyjdzie pan chyba sam? Choćby dla zobaczenia... mojego syna.

Wychodząc, zauważył dopiero w najciemniejszym

kącie loży, na małem krzesełku pod wieszadłami zachmurzoną, osowiałą postać Rogockiego.

— Ty tutaj? — zdziwił się mimowoli.

— Tak — mruknął były adwokat... — Siedziałem przez cały akt, ale nie chciałem wam przeszkadzać. Czekaj, wyjdę wraz z tobą.

Owinął się w lekką, wyszarzałą pelerynę i wyśliznął się z loży, nie żegnany i nie zatrzymywany przez nikogo. Na korytarzu dopiero w pobliżu świecznika przystanął i jął się przypatrywać Turskiemu. Po obrzękłej twarzy jego przeleciał jak gdyby cień roztkliwienia.

— Tak cię dawno nie widziałem! Tyle lat... Myślałem, że już nie żyjesz.

Turski zaśmiał się. W odpowiedzi Rogocki zamruczał coś niewyraźnego, jakby urażony, i nie czekając aż Turski wierzchnie odzienie z garderoby odbierze, wybiegł z teatru. Na ulicy chwycił Turskiego pod rękę.

— Pocoś ty tu przyjechał? Ty nic nie wiesz jeszcze, ale ja ci opowiem! Tutaj się straszne rzeczy dzieją!

Mówił pośpiesznie, z nerwowym niepokojem, nie dając towarzyszowi przyjść do słowa.

— Ci trzej... widziałeś? Ale to nic. Trzeba o każdym zosobna... Takimi ludźmi ona się otacza! Ty ją znasz. Nie tak wprawdzie jak ja, lecz zawsze znasz ją cokolwiek...

Zachłysnął się i przystanął na rogu ulicy.

— Zajdziemy może do jakiej kawiarni? Tu niedaleko...

Nie czekając odpowiedzi, pociągnął Turskiego za sobą.

Usiedli w kącie dużej i jasnej, niezbyt jeszcze

o tej godzinie pełniej sali. Służba kręciła się bezczynnie między stolikami albo stała około bufetu, czekając gości, którzy po skończonem przedstawieniu w teatrze całą falą mieli napłynąć. Rogocki nachylił się do ucha Turskiemu.

— Słuchaj, ja dzisiaj niebardzo jestem przy pieniądzach. Wiesz, klienteli narazie nie mam... Otrzymam wprawdzie wkrótce poważniejszą sumę...

Teraz dopiero w świetle zauważył Turski po jego niespokojnie błyszczących oczach, że jest już pijany. W milczeniu podał mu, jakby papierośnicę, rozwarty portfel. Rogocki chwycił łapczywie kilka banknotów i począł wołać na kelnera.

Z grupy stojącej około bufetu oderwal się jeden i podszedł bez pośpiechu ku przybyłym.

— Pan rozkaże? — spytał Turskiego, odwracając się ostentacyjnie tyłem do byłego adwokata.

Turski wskazał w milczeniu ręką swego towarzysza.

— Szampana! Roman, wszak napijesz się, co? — zapraszał Rogocki uprzejmie. — Dwie flaszki. Mumm — extra dry!

Pierwszą szklankę wychylił duszkiem i zbliżywszy swoim zwyczajem kosmatą twarz do twarzy Turskiego, począł mu opowiadać chaotycznie o księżnej Helenie, o ludziach, którzy u niej bywają, o rozwodzie z księciem, o dziecku jej i o sobie, mieszając widocznie fakty rzeczywiste z majakami swojej chorej wyobraźni.

— Ten Rohityn... Ty go jeszcze zobaczysz! Opowiada, że ma wielkie dobra gdzieś na Wołyniu, ale to nieprawda. Golimski jest bałwan. Szkoda jej naprawdę... Ty jeszcze nie wiesz, kto ona jest właściwie. To jest święta, to jest nadzwyczajna kobieta. Drugiej takiej na świecie nie znajdziesz!

I bezpośrednio po tem zapewnieniu zaczął mówić

najstraszniejsze rzeczy o księżnej Helenie, od których włosy mogły powstać na głowie. Trząsł się przytem, unosił i pił coraz więcej. Każdy jej postępek, każde słowo, każdy stosunek choćby najniewinniejszy, urastał w jego powikłanej fantazji do jakichś piekielnych, demonicznych rozmiarów. Niepodobna było tego wszystkiego rozplątać ani zrozumieć, co tu prawdą może być istotnie, a co się tylko Rogockiemu prawdziwem wydaje. Patrząc bowiem na niego, na jego przerażone oczy, drżące usta, chwilami z wyrazem prawdziwego bólu się zacinające, Turski o świadome kłamstwo posądzić go nie mógł. Żal mu się go zrobiło niewypowiedzianie.

— Uspokój się, Jaśku — rzekł, kładąc mu rękę na dłoni.

— Nie, nie. Ja jestem spokojny. To wszystko ostatecznie nic mnie nie obchodzi. Widzisz — co do Wierzbica... Namalował on serję obrazów. Inna kobieta za drzwi by wyrzuciła człowieka, którыby ją śmiał tak namalować, zbójcę by nasadziła na niego... Ona ma je wszystkie w domu u siebie i Wierzbica przyjmuje...

Wina zabrakło; kazał przynieść dwie nowe flaszki kelnerowi, który nim wykonał zlecenie, zapytał przezornie Turskiego o zgodę.

Rogocki mówił dalej:

— A mimo wszystko, to nie jest zła kobieta. Nie, nie! I ja ją kocham. Przyznam ci się otwarcie, może się tego nawet nie domyślałeś. Cóż na to poradzę! Już szesnaście czy siedemnaście lat... Nie miałem wówczas jeszcze trzydziestu... Chciałem ją uratować i dzisiaj chcę. To jest bardzo trudno, ale ona widzi moją dobrą wolę. I wiesz, to jest jedyną moją pociechą, że ona — choć nigdy nie dała tego

poznać po sobie, choć tego niczem nie objawiała — mnie jednego kochała i kocha...

Turski oddawna nie słuchał. Paplanie Rogockiego wkońcu było już nudne. Wodził okiem po dużej kawiarni, która zrazu zapełniała się zwolna, potem, gdy przedstawienie w teatrze się skończyło, zaroiła się naraz gwarnym tłumem mężczyzn i kobiet. Turski zauważył kilku dawnych znajomych; niektórzy przypatrywali mu się pilnie, nie mogąc snać poznać, inni podchodzili, aby się przywitać i kilka słów zamienić. Znać było, że niektórych od pozostania przy stoliku powstrzymywała tylko obecność Rogockiego, którego się bano powszechnie, gdyż niełatwo wypuszczał z łap swoich ofiarę.

Jednego z przechodzących mimo, blondyna o dobrej, jasnej twarzy i wysokiem, inteligentnem, w łysinę już nieco przechodzącem czole, zatrzymał Turski sam.

— Wszak doktor Butrym, jeśli się nie mylę?

— Ach, to pan! Słyszałem już o pańskim powrocie.

Uściskali się serdecznie. Butrym usiadł obok, podawszy dłoń Rogockiemu.

— Co pan tu robi? — pytał Turski.

Butrym się uśmiechnął.

— Raczej by to mnie wypadło pana o to zapytać. Ja — ciągnę swoją taczkę. Dostałem przed czterema laty katedrę astronomji na tutejszym Uniwersytecie... Ożeniłem się niedawno, mam synka...

— I jakże się panu wiedzie?

— Dziękuje. Idzie jakoś. Widzi pan, nie trzeba nigdy za wiele wymagać, zwłaszcza że i małe wymagania rzadko w zupełności się spełniają. W domu mi dobrze. Pracuję.

Ze skromnego sposobu mówienia profesora nie mógłby się domyśleć Turski, który oddawna to, co się w kraju działo, stracił był z oczu, że ten niestary i cichy człowiek ma już dzisiaj europejską sławę jednego z najgenjalniejszych uczonych. On sam zresztą nie mówił nigdy o swoich zdobyczach naukowych, nie wierząc, aby obchodzić mogły naprawdę kogoś, kto nie ma bezpośredniej z jego zawodową wiedzą styczności. Nie umiał zaś mówić powierzchownie, popularyzować się, rozpraszać; chętniej więc rozmawiał z niewtajemniczonymi o rzeczach obojętnych i codziennych, a pytania znajomych laików, któremi ci spodziewali się sprawić mu przyjemność a równocześnie swoją świadomość rzeczy okazać, zbywał zazwyczaj pobłażliwem: Dajmy pokój tym nudnym rachunkom; jeszcze niewiadomo, co z tego będzie, nad czem pracuję.

I teraz zwrócił się do Turskiego z jasnym, przyjaźnym uśmiechem:

— Niechże pan nareszcie opowie, gdzie był? co robił? co widział? Panie Romanie!

Od czasu przyjazdu po raz pierwszy został Turski o to zapytany i po raz pierwszy od długich lat miał ochotę opowiedzenia czegoś ze swoich przygód, rozwinięcia historji tej swojej zadziwiającej i niezwykłej wędrówki po Azji.

Zaczęła się długa pogawędka, w której milczący Rogocki powoli także zaczął brać udział. Z chwilą, kiedy zapomniał o prześladującej go jak opętanie myśli o księżnej Helenie, stał się poprostu innym człowiekiem. Wiedział wiele i sądził rozumnie; musiał niegdyś dużo czytać, patrzeć, podróżować. W barwne opowiadanie Turskiego wtrącał uwagi o sztuce japońskiej, o wschodnich ludach, religjach i obyczajach,

świadczące o znawstwie i wytwornej inteligencji. Dla Turskiego nie było to niespodzianką, ale Butrym spojrzał nań kilkakrotnie ze zdumieniem; tak się powszechnie przyzwyczajono uważać dawnego i rozgłośnego adwokata za podupadłe, nawpół obłąkane indywiduum, że nikt w nim już nie podejrzewał innego człowieka.

Było już dobrze po północy, kiedy Butrym powstał, aby się pożegnać.

— No więc tak, panie Romanie, jest pan znów u nas! I niechże pan powie tak szczerze, jak się tu teraz panu to wszystko wydaje?

Turski spojrzał powoli dookoła siebie.

— Zbyt krótko tutaj jestem, dopiero jeden dzień...

— A więc wrażenia jednego dnia?

— Zewnętrznych zmian dużo; wewnętrznie, obawiam się, że nic się właściwie nie zmieniło, a to wszystko, wśród czego dawniej żyłem, wydaje mi się teraz dziwnie, dziwnie...

— Dokończ pan śmiało!

— Przewrotnem.

Profesor Butrym spoważniał.

— Obawiam się, że masz pan słuszność — rzekł z ledwo dostrzegalnym ironiczno-bolesnym uśmiechem na twarzy.

Po odejściu profesora, Rogocki mimo wypitych kilku flaszek wina, mówił jeszcze jakiś czas zupełnie rozumnie, dopytywał się o ekonomiczne warunki chińskiej republiki i robił swoje uwagi, gdy nagle w środku jakiegoś zdania zamilkł i chwycił Turskiego nerwowo za rękę.

— Słyszysz?

Turski wzniósł głowę. Tuż za ich plecami znajdowało się cienkie drewniane przepierzenie, oddzielające od głównej sali zamknięte osobne gabinety, do których wprost z korytarza się wchodziło. Z jednego z nich zalatywał gwar żywej rozmowy, przerywany brzękiem szkła i strzałami korków szampańskich — potem zabrzmiała srebrzysta, wysoka kaskada śmiechu kobiecego.

Turski poznał ten głos: śmiała się księżna Helena.

Rogocki powstał.

— Daruj: muszę tam iść... na chwilę...

— Daj pokój, zostań... Albo raczej chodźmy już do domu.

— Nie, nie. Ona tam jest sama z tymi... Może mnie na co potrzebować...

Próżno go było zatrzymywać; oczy świeciły mu znowu gorączkowo i nieprzytomnie.

Na odchodnem rzucił jeszcze Turskiemu, zapomniawszy snać o wziętych odeń banknotach:

— Zapłać za mnie... nie mam dziś przy sobie, ale zwrócę ci wkrótce...

Turski zadzwonił w szklankę i przywołał kelnera, aby załatwić rachunek. Z zamkniętego gabinetu brzmiał nieustannie coraz wyższemi gamami srebrzysty, kryształowy śmiech kobiecy...

IV.

Turski nie był jeszcze ubrany, kiedy około południa przyniesiono mu bilet księcia z oznajmieniem, że gość czeka nań w czytelni.

Wyskoczył pośpiesznie z łóżka, rad, że będzie mógł wymówić się rannym nieporządkiem od obowiązku przyjmowania księcia w tym samym pokoju, w którym niegdyś żonę jego przyjmował.

W czytelni stary pan czekał nań w trzcinowym fotelu z jakimś zeszłotygodniowym dziennikiem w ręce. Uścisnęli sobie krótko dłonie; oprócz nich nie było nikogo w dużej sali. Po wstępnych, zdawkowych grzecznościach i zapytaniach o zdrowie, rozmowa jakoś nie chciała się kleić. Turski nie mógł się oprzeć wrażeniu, że książę przyszedł doń z jakimś określonym zamiarem i czekał chwili, kiedy go wyjawi. Jakoż rzeczywiście po pewnym czasie, kiedy już właściwie nad miarę przeciągającą się wizytę skończyć należało, książę zwrócił się doń naraz z zapytaniem:

— Wszak pan będzie u mojej... u księżnej Heleny, chciałem powiedzieć.

Turski skinął głową.

— Raczyła mi pozwolić się odwiedzić.

— Tak, tak. Będzie panu rada. Niech pan tam zajdzie... — Urwał zmieszany, jakby szukając wyrazów dla wypowiedzenia dalszego ciągu swych myśli.

Wreszcie wzniósł znowu oczy. Turski zauważył w tych oczach, ogromnie zmęczonych i przygasłych, jakiś wyraz głębokiego bólu, któregoby nigdy nie był przypuszczał u tego przedziwnie zasuszonego i z pozorów zimnego starca.

Książę tymczasem ciągnął dalej, z trudem widocznym słowa wymawiając:

— Pan wie, słyszał pan, że ja z moją żoną... to jest z księżną Heleną... rozstaliśmy się... Nie z jej winy, o, nie! Ale okazało się, że tak może będzie lepiej... Ona jest jeszcze młoda... Ale — ja mam syna, panie!

Poczerwieniał nagle, o ile tylko jego pargaminowosina skóra zdolna była poczerwienieć. W oczach na Turskiego wzniesionych malowało się teraz coś, jakby strach i błaganie zarazem.

— Mam syna... — powtórzył ciszej.

Turski spuścił oczy ku ziemi.

— Czy mogę księciu być w czem użytecznym?

— Tak, właśnie, — podjął znów, żywiej. — Pan miał... wpływ duży na księżnę, ma go pan jeszcze i dziś niewątpliwie... Ja jej nie mam nic do zarzucenia, wiem, że potrafi godność swą i moje nazwisko... szanować, ale... ludzie... młodych lat jej nie rozumieją i żywego usposobienia, gdy widzą, gdy patrzą na to wszystko... Jeśliby pan mógł słowo do niej przemówić...

Usiadł wyczerpany, twarz w dłoniach ukrywając.

— *Je l'aime, je l'aime!* — dodał głucho i skończył, jak gdyby spazmem zrywającego się w piersi płaczu.

Turski siedział w milczeniu, czując, że nic nie ma do odpowiedzenia.

Gdy po chwili książę powstał, aby się pożegnać,

nie było już znać na nim przebytego wzruszenia. Rysy zastygły mu na nowo; około wąskich, sinych ust wieszał się zdawkowy, wytworny uśmiech grzeczności.

— Pan daruje, że pana trudziłem.

— Niech książę raczy wierzyć, że jeżeli tylko cokolwiek będzie w mojej mocy...

— Dobrze już, dobrze. Nie mówmy o tem. Ja panu wierzę. Zresztą i tak nie obiecuję sobie żyć nazbyt długo. Żegnam pana. A raczej do widzenia, bo wszak się jeszcze zobaczymy?

Wyszedł zgarbiony i Turski słyszał w korytarzu jego sztywny, wlokący się krok. Coraz duszniej, ciężej i głupiej mu było.

— Nie trzeba było wcale wracać — pomyślał.

Około piątej, nie odkładając, poszedł do księżnej. Mieszkała osobno na pierwszem piętrze w kilku pokojach dużego domu przy cichej, wytwornej ulicy, pełnej zielonych ogrodów przed domami. Gdy we drzwiach oddał bilet, lokaj skłonił mu się nisko.

— Księżna pani kazała jaśnie pana prosić natychmiast bez zameldowania do małego salonu.

Otworzył szeroko drzwi z przedpokoju.

Turski zdziwił się, skąd księżna domyślała się jego przyjścia, gdyż wizyty na ten dzień i godzinę nie zapowiadał. Wszedł do saloniku, będącego raczej przedziwnym, we wschodnim stylu urządzonym buduarem. Szyby w oknach były z kolorowych szkieł w arabeski ułożone; na niskich, miękkich sofach leżały włochate, purpurą przeświecające bucharskie kobierce — ze środka stropu, obniżonego olbrzymią, w kształt namiotu rozpiętą makatą zwieszał się kuty świecznik miedziany. Nieco dusząca, ciężka woń wschodniego kadzidła unosiła się w ciepłem powietrzu.

Uśmiechnął się mimowoli:

— Doskonale dobrana dekoracja!

Z drugiego gdzieś pokoju dolatywał go głos księżnej, żegnającej się już od pół godziny z jakiemiś dwiema odchodzącemi damami.

— To potrwa jeszcze z pół godziny — pomyślał.

Rzucił się na sofę i wziął ze stojącej obok otwartej szkatułki egipskiego, mocno przesyconego makowcem papierosa. Paląc, rozglądał się dookoła. W czasie azjatyckiej wędrówki swojej był w tylu wschodnich salonach, że nie mógł się oprzeć złośliwemu krytycyzmowi w ocenieniu tego, co widział. Przedmioty były przeważnie wschodniego pochodzenia, ale w urządzeniu całem wschodni styl był zachowany tylko dla tego, kto na wschodzie nie był. Już nietylko basza, lecz pierwszy lepszy bej byłby się oburzył, gdyby mu kazano w takim pokoju mieszkać. Turskiego raziło zbyteczne nagromadzenie niedość zharmonizowanych z sobą przedmiotów, które niby miały salonikowi charakter nadawać i wyłączne prawie posługiwanie się tkaną materją na niekorzyść drzewa, metalu i marmuru, tak na Wschodzie ulubionego.

Nie spostrzegł nawet, kiedy księżna Helena, ślizgając się cicho po dywanie, przed nim stanęła. Zerwał się, rzuciwszy papierosa i pochylił usta do jej ręki. Dłonie miała przedziwnie zimne i Turski nie mógł się obronić nierycersko podejrzliwej myśli, że dla wywarcia wrażenia ochłodziła je naumyślnie na jego przyjęcie pod wodociągiem.

Usiedli w milczeniu naprzeciw siebie. Po raz pierwszy to od dziesięciu lat był z nią znowu sam na sam i nie wiedział poprostu, od czego rozpocząć rozmowę. W zmieszaniu jego nie było nic z dawnych wzruszeń. Owszem, patrzył na nią i czuł to, co wczoraj,

to jest, że ta kobieta, od chwili gdy ją ujrzał, stała mu się obcą.

A nawet nie to właściwie! Tamta, którą kochał, żyła w nim do dziś dnia z całym swoim niezniszczalnym urokiem, jak kwiat nadgangesowy ręką indyjskiej dziewczyny w kryształowym słoju przezroczystego miodu zachowany, ale kobieta, którą miał teraz przed sobą, nie była już tamtą, chociaż napozór nic się nie zmieniła.

— Ja się jednak zmienić musiałem — pomyślał z napoły bolesną, napoły słodką melancholją.

Księżna przerwała mu rozmyślania.

— Czekam — rzekła prawie opryskliwie.

Odzyskał przytomność i uśmiechnął się.

— Wszakże się już przywitałem?

— To zrobił pan już i wczoraj. Chcę wiedzieć poco przyszedł pan do mnie!

— Zaprosiła mnie pani...

— Więc wdzięczna jestem za odwiedziny. I o nic więcej nie pytam.

— Zato ja pytać będę. Skąd pani wiedziała, że dzisiaj przyjdę?

— Zaprosiłam pana — odcięła się, a potem dodała z nieco wyniosłym uśmiechem:

— Wiedziałam, że pan powróci; czemużbym nie miała wiedzieć, że dziś pan będzie u mnie?

Uczuł się dotkniętym jej słowami i tonem. Podniósł na nią wzrok wyzywająco.

— Więc dobrze, chce pani wiedzieć, pocom przyjechał i poco tu dzisiaj przybyłem?

Wzruszyła ramionami.

— Wszystko mi jedno.

— Ja jednak powiem. Otóż chciałem pani spojrzeć w oczy i przekonać się, że mnie już pani nic a nic nie obchodzi!

Zaledwie to powiedział, uczuł, że popełnił kapitalne głupstwo. Stało się to, co było do przewidzenia: księżna nie obraziła się, lecz patrzyła nań teraz owszem badawczo, z odrzuconą wtył głową, z pod przymkniętych powiek; na ustach igrał jej ironiczny uśmiech triumfu.

— I przekonał się pan?...

Nie czekając odpowiedzi, podchwyciła żywo zmieniając zupełnie ton:

— Książę był dzisiaj już u pana?

Zawahał się.

— Tak.

— I prosił pana, aby pan... wpłynął na mnie?

— Skąd pani wie o tem?

Powstała.

— Ach, biedak! Obchodzi od pewnego czasu wszystkich moich... znajomych i prosi, aby na mnie wpływali! Nie lubię tego poniżania się bez celu.

— Któż temu winien?

— Pan się pyta? Pan!?

Po tych, z wyrzutem wypowiedzianych słowach, roześmiała się naraz cicho i miękko.

— Ach, prawda! — zawołała nagle — chciał pan zobaczyć... książątko.

Nie chciał tego wprawdzie wcale, ale skinął głową potakująco i zaczął usilnie rozbudzać w sobie ciekawość, jak ten, dziesięcioletni już chłopiec, może wyglądać.

Księżna zadzwoniła.

— Niech tu przyjdzie Iwo — wydała polecenie jakiejś starszej, na odgłos dzwonka pojawiającej się lektorce czy damie do towarzystwa.

Za chwilę wszedł, ociągając się niechętnie, smukły przystojny chłopak o dość pospolitym wyrazie twarzy. Spojrzał chłodno i wrogo na obcego i nie skinąwszy mu nawet głową, zbliżył się wprost ku matce.

— Czy mama mnie na co potrzebowała?

— Przywitaj się z panem Turskim.

Niechętne zdumienie odbiło się na twarzy chłopca. Wyciągnął rękę i ze śmieszną wyniosłością podał końce palców Turskiemu, szybko następnie dłoń cofając.

Turski nie wiedział, co powiedzieć. Coraz bardziej zły był na księżnę, że go stawia w przykrej a komicznej sytuacji. Dała mu wczoraj dość jasno do zrozumienia, że on jest ojcem jej syna — i demonstruje mu teraz, nie czekając nawet stosowniejszej chwili, dziecko, które mu jest najzupełniej obce i obojętne. Jaki jest cel tego wszystkiego i o co chodzi właściwie? Czy chce go w ten sposób przykuć do triumfalnego wozu swojego na długim i luźnym a nierozerwalnym łańcuchu zobowiązania?' Co jej na tem zależy?

Zawstydził się naraz tych myśli. Może jest niesprawiedliwy — może ona naprawdę spodziewała się sprawić mu przyjemność lub chciała według swego mniemania spełnić obowiązek, pokazując mu dziecko, w którem podobno jego własna krew płynęła... Zaczął to sobie uporczywie w myśli powtarzać w nadziei, że się w nim odezwie może tajemniczo w człowieku pono gdzieś istniejący „głos krwi".

Nic z tego wszystkiego. Chłopiec nie podobał mu się i radby był właściwie pozbyć się go jak najprędzej. Zresztą nic go z tem dzieckiem nie łączyło. Nie wiedział o jego urodzeniu, nie patrzał na malca, wyciągającego pulchne rączki do otoczenia, nie czuwał nad jego wzrostem i rozwojem, nie cieszył się jego pierwszem słowem, nie martwił się jakąś przemijającą chorobą, nie urabiał jego ducha, nie miał w przyszłości dać mu swego nazwiska: to było dziecko nie jego, jeśli nawet istotnie jego krew dała mu początek.

Iwo zaczynał się niecierpliwić długością nudnej wizyty, której celu nie rozumiał.

— Proszę mamy, czy ja mogę już odejść?

— Zapytaj pana Turskiego.

Urażony chłopak zrobił niechętny grymas i spojrzał nienawistnie w oczy Turskiemu.

— Proszę pana, ja już chcę iść. Zacząłem sobie okręt budować — rzekł twardo.

Turskiemu ten ton się podobał. Ujął chłopca za ramiona i przyciągnął ku sobie. Iwo spojrzał szybko i podejrzliwie na jego ręce, jakby się chciał przekonać, czy są dość czyste, aby się zetknąć z jego białą bluzką marynarską i — czekał wstrzemięźliwie, co to dalej będzie, jedynie wtył nieco głowę odchylając, aby nie przyszła przypadkiem obcemu człowiekowi ochota pocałować go, czego nie lubił.

Turski obejrzał go dokładnie od stóp do głów. Był smukły i jedynie do matki znacznie podobny, zarówno wytworną budową jak i rysami twarzy, jeno że w oczach jego, na czole i około szerokich ust był jakiś rys twardy, prawie że brutalny.

— Jak ci na imię? — zapytał bez myśli, boć przecie imię chłopca od matki już był słyszał.

— Pan nie wie? — zdziwił się malec i wyrecytował z powagą, jak lekcję wyuczoną: — Jestem Iwo Henryk Bonawentura książę Hazarapelian, ostatni potomek w XVI wieku do Polski przesiedlonej armeńskiej rodziny. A pan?

— Ja? Ja jestem poprostu Roman Turski.

— Pan Turski jest naszym przyjacielem — objaśniła matka. — Bywał u nas niegdyś bardzo często.

— To tak, jak pan Rohityn, a w przeszłym roku pan Golimski, którego lubię najbardziej ze wszystkich, gdyż umie chodzić po pokoju na rękach z nogami w górę. A czy pan to może także potrafi?

— Nie próbowałem.

Chłopiec przyglądał się Turskiemu badawczo.

— Ja sobie pana wogóle nie przypominam — zakonkludował.

Wejście lokaja, oznajmiającego przybycie Wierzbica przerwało rozmowę. Iwo znikł w swoim pokoju. Księżna kazała prosić malarza do dużego salonu.

— Przejdziemy tam?

— Służę pani — rzekł Turski, powstając.

Na środku pokoju zatrzymała się i odwróciła ku niemu. Miała melancholijny uśmiech na ustach i oczy szeroko rozwarte, pełne łez.

Nim się mógł spostrzec, przesunęła po jego wargach rękę od przegubu dłoni aż po nagi łokieć. Drgnął mimowoli pod niespodziewanem dotknięciem tej wonnej, miękkiej, jedwabistej skóry.

— Podziękuj, — szepnęła.

W salonie czekał Wierzbic, przeglądając dużą tekę, którą przyniósł z sobą. Wstał bez pośpiechu i przywitał się krótko. Turski zauważył, że w dziennem świetle wyglądał jeszcze mizerniej; podkrążone oczy błyszczały mu niezdrowo, zapadnięte policzki odbijały przykrą żółtością od dużej, czarnej, pieczołowicie utrzymanej brody. Na ustach miał ciągle jakiś przymarzły, irytujący półuśmiech sarkastyczny.

— Czy pani będzie dzisiaj pozować? — spytał księżnę bez wstępu prawie szorstko.

Potrząsnęła głową melancholijnie.

— Nie. Nie jestem usposobiona...

— Trzeba koniecznie. Kilka linij tylko zrobię.

Zresztą wie pani, że nie zależy mi na tem, jak pani usiądzie. — Usta wykrzywiły mu się wyraźniejszym, niemiłym uśmiechem. — Podobno mam dar widzenia pani zawsze we właściwych pozach...

Było coś niezmiernie obrażającego w tonie jego słów, a równocześnie drżało pod niemi coś zgoła innego, niż to co było powiedziane; Turski miał wrażenie, że słyszy jakiś przedziwny, potępieńczy krzyk umęczonego do śmierci człowieka...

Księżna zwróciła się do Turskiego z niewinnym, pobłażliwym uśmiechem, który zdawał się mówić:

— I cóż ja zrobię z tym szalonym malarzem? Trzeba mu wkońcu ustąpić.

Poczem przeszli do sąsiedniego, obszernego i jasnego gabinetu.

Księżna Helena usiadła swobodnie w wysokim fotelu, wskazując Turskiemu obok miejsce na taborecie. Zaczęli rozmawiać o rzeczach obojętnych z pewnym odcieniem serdecznej, dawnej zażyłości. Obecność trzeciej osoby ułatwiała im naturalną rozmowę.

Wierzbic tymczasem, usadowiwszy się naprzeciw, otworzył tekę i wydobył ołówek. Popatrzawszy przez chwilę na księżnę, odrzucił przygotowaną kartę, na której snać jakiś rysunek był już zaczęty, i wziąwszy świeżą, począł coś kreślić nerwowo. Krzywy uśmiech na ustach wystąpił wyraźniej i zastygł w grymas nieznośny.

Turski nie mógł patrzeć na niego. Spuścił głowę. Tuż przed oczyma miał dość dużą, ale nad wyraz zgrabną i wytworną stopę księżny w białym, lakierowanym, bardzo płytkim buciku na czarnej jedwabnej pończosze.

Miał wrażenie, że ta stopa drgnęła pod jego wzrokiem i zaczęła się prężyć nerwowo, jak kot, miękką

dłonią głaskany. Przypomniała mu się jakaś dawna, dawna scena, kiedy całe, bosko urodne ciało tej kobiety prężyło się tak pod obłąkanym, zachwyconym jego wzrokiem.

Mówiła doń wówczas:

— Nie patrz na mnie tak, bo łaskoce mnie pieszczota twoich źrenic i o szaleństwo przyprawia!...

Spojrzał na nią i urok wspomnienia pierzchnął w jednej chwili. Zdawało mu się, że złapał niespodziewanie jej wzrok, którym patrzyła nań badawczo, chwytając wszelkie skryte odruchy jego uczucia, aby się do nich zastosować celowo.

Ponieważ rozmowa się urwała, zaczął niepytany opowiadać jakieś szczegóły z pobytu swego w Azji. Przytem, stosując się snać mimowoli do nastroju i atmosfery tego domu, kłamał. Miał wiele do powiedzenia rzeczy ciekawych i rzeczywistych, ale zamiast mówić o nich, wymyślał co innego, co nawet wcale zajmujące nie było.

Po pewnym czasie Turski sięgnął po papierośnicę. Była pusta. Księżna wskazała mu ręką szkatułkę, stojącą na małym stoliku poza plecami rysującego wciąż Wierzbica. Wstał i wziął papierosa. Wracając spojrzał mimowoli przez ramię malarza i przeląkł się. To co zobaczył na karcie, było wprost potworne. Fotel przyjął na niej jakieś barbarzyńskie, nienaturalnie rozrosłe kształty pochłaniając w sobie postać siedzącej księżny. Ciała jej, zasłoniętego poręczą, nie było widać, jeno głowę ze spiętrzonemi włosami i małą częścią nagiego torsu oraz wyciągnięte nagie stopy i łydki. Szyja była naprzód wyciągnięta i głowa w forsownym ruchu nagięta ku dołowi; kobieta zgubiona w fotelu patrzyła na coś u swoich nóg z natężeniem, jak wąż hypnotyzujący swą zdobycz — z ohy-

dnie, lubieżnie rozchylonemi ustami, wśród których na dolnych zębach pojawiał się koniec wysuniętego języka. A tam u jej nóg siedział, a raczej stał przykucnięty na czterech łapach on sam, Turski, w postaci orangutanga z małemi oczkami, uporczywie w białą nagą stopę wbitemi.

Księżna dostrzegła zdumienie na twarzy Turskiego.

— Musiał tam Wierzbic znowu coś dobrego wymalować! — zaśmiała się.

Turski wzniósł oczy. Teraz dopiero spostrzegł, że na ścianie, pod którą siedział wraz z księżną, znajduje się rodzaj fryzu, złożonego z pastelowych kartonów równej wielkości, ujętych w ramy z białego sosnowego drzewa. Był to potępieńczy taniec oszalałej, chorej wyobraźni. Na każdym pastelu znajdowała się księżna Helena. Żaden z nich nie raził bezpośrednio uczucia przyzwoitości, a przecież wszystkie były okropne. Najokropniejsze zaś te, na których księżna przedstawiona była w ubraniu, tyle tam było szatańskiego wyuzdania lub zimnego, śliskiego jak wąż grzechu w ruchu rąk, w przegięciu ciała, w wyrazie ust i oczu.

Wierzbic, spostrzegłszy, że Turski obrazy jego ogląda, zaśmiał się nerwowo i powstał, składając tekę.

— Co pan myśli o tem wszystkiem? — spytał.

— Niewiele. Miałbym ochotę posłać pana do szpitala, choć to są niewątpliwie dzieła sztuki i to bardzo tęgie.

Księżna uśmiechnęła się boleśnie, jak umęczona ofiara.

— I niech pan pomyśli, panie Romanie, że ten człowiek twierdzi, iż się we mnie kocha!

— „Czas przeszły,” czas przeszły, jeśli mi wolno poprawić łaskawą” panią.

— To także choroba — rzekł Turski poważnie, księżnej odpowiadając.

— Sądzi pan, że uleczalna? — odparła pytaniem, patrząc na niego dumnie i wyzywająco.

— Nie jestem lekarzem, nic o tem powiedzieć nie mogę.

Wierzbic mruczał do siebie:

— Tak, tak, choroba, która różne, bardzo różne fazy przybiera.

Wyszli od księżny razem. Milczeli na szerokich schodach i w ulicy, dopiero kiedy skręcili na planty, Wierzbic roześmiał się głośno.

— Z czego się pan śmieje?

— Ze wszystkiego. Z siebie, z księcia, z księżnej, z pana.

— I ze mnie także?

— Pan nie jest wyjątkiem.

— Ha — !

— Wszakże pan... wrócił.

Turski pomyślał, że próżnoby było tłumaczyć, iż powrót jego nie ma nic do czynienia z tą atmosferą obłędu, jaką tu zastał, a potem, że to, coby powiedział, mogłoby nie być prawdą. Zapytał więc tylko Wierzbica:

— Myśli pan, że w księżnej jest naprawdę to wszystko, co pan maluje?

— Nie wiem. Ja to w każdym razie widzę.

— To jeszcze nie racja. Pan może mieć chore oczy.

— Może, może...

Turski zaczął mówić raczej do siebie.

— W księżnej niema nic demonicznego, ani... djabelskiego nawet. Jest to niezła kobieta i w gruncie rzeczy bardzo biedna. Może trochę... ograniczona.

Tylko naokoło dzieje się warjactwo. Ona jest bardzo piękna i ma w sobie... jakby to powiedzieć? genjusz płci! Bardzo głupie wyrażenie, bo w tem niema nic genjalnego. Wszyscy, którzy się do niej zbliżają, tracą zmysły i zdolność panowania nad sobą. Robi się piekielna atmosfera, tylko atmosfera piekielna, panie kochany. Ona jest za słaba, aby się do niej nie zastosować, a zresztą — genjusz płci! Tak, tak. Chcecie być uwodzeni, więc wami pomiata, chcecie być okłamywani, więc kłamie i gra ustawiczną komedję, w którą może wkońcu już sama uwierzyła...

Wierzbic zatrzymał się w środku alei i patrzył na Turskiego, aż wreszcie parsknął głośnym śmiechem.

— A gdzież to pana w Azji tak nauczyli deklamować?

Turski zmieszał się cokolwiek.

— Ja nie deklamuję. Mówię, co myślę.

— Nieprawda. Co najwyżej to, co pan chcesz myśleć. Ale i to nieprawda. A przytem — niech się pan stara nie być śmiesznym. Komu jak komu, ale panu mówić takich rzeczy nie przystoi.

— Dlaczegoż to?

— To pan sam powinien wiedzieć najlepiej.

— Nic nie wiem i zachowuję sobie najzupełniejszą swobodę mówienia tego, co myślę. Zresztą — jeśli pan nie chce...

Szli znów przez jakiś czas w milczeniu. Wreszcie Wierzbic zwrócił się znów do towarzysza:

— Panie, pomówmy nareszcie poważnie.

— Nie wiem, coby tu było do mówienia...

— Owszem. Wszak można mówić zupełnie otwarcie?

— Nie, panie. Są sprawy, o których nie można otwarcie mówić — nigdy!

— Ach, głupstwo. Ja mogę, bo chcę. Pan był jej kochankiem.

— Wypada mi zaprzeczyć.

— Więc niech pan przeczy. Mnie to nie szkodzi. Ona sama nigdy się z tem nie taiła. Przed panem był Rogocki, nie licząc męża i może jeszcze kogo, o kim niewiadomo. Po panu ja, po mnie Golimski, po Golimskim ten bałwan Rohityn...

Turski zmarszczył się z rzeczywistą niechęcią.

— Do czego ta litanja zmierza?

— Zaraz pan zobaczy. Rzeczywiście litanja, nawet porządek taki sam zachowany. Zaczyna się od najwyższych świętych, a potem i o tych drobnych na wszelki wypadek się wspomina. Książę był bądź co bądź wielki pan, arystokrata z krwi i kości. Rogocki miał sławę najbardziej wziętego adwokata w całym kraju, człowiek dużej wiedzy, inteligencji i wartości towarzyskiej — niegdyś! Pan, no, pan sam najlepiej wie, czem pan był. Ja jestem artysta. Golimski był przynajmniej człowiekiem z towarzystwa, a ten Rohityn — już wogóle niewiadomo, kto jest. Któż przyjdzie jutro?

— Panie drogi, pan jest zdenerwowany. Możebyśmy naprawdę tę rozmowę przerwali.

— Nie można, panie, nie można. Właśnie w najciekawszem miejscu jestem, a pan jest jedyny, z którym da się o tem mówić.

— Nie sądzę...

Wierzbic nie zważał.

— I patrz pan, co się dzieje! Książę się z nią rozwiódł, bo tak chciała, i chodzi teraz... Był już zapewne i u pana? Ha, ha, ha! To jest doskonałe! Z Rogockiego — ruina! Pan — uciekł niby i wrócił.

Ja... no, co to mówić; pan widzi. Nawet taki Golimski potrafił zgłupieć jeszcze bardziej.

— Ślicznie, ale co z tego?

— Nic, a raczej to, że wszyscy... jesteśmy na swojem miejscu. Uważał pan? Ta kobieta nie puszcza nikogo. Łańcuszek tylko trochę przydłuża i robi w nim miejsce na nowe ogniwo. I idziemy tak wszyscy w najzupełniejszym porządku na długim, długim łańcuszku, na którego końcu stary książę się wlecze i potyka... Przez pewien czas pańska obroża była wolna, teraz przyniósł pan znowu swą szyję...

— Panie Henryku, pan jest chory naprawdę, niech się pan opamięta!

Wierzbic otarł spocone czoło chustką i począł iść naprzód. Turski mówił:

— Czy pan nie może się wyrwać, zrobić tak jak ja? Zresztą nie potrzeba tak ryzykować. Wystarczy pewno udać się zagranicę, na rok, na dwa lata. Do Rzymu, do Paryża. Pan jest mimo wszystko wielki artysta.

— Nie mogę...

— Pan kocha tę kobietę?

— Tak, kocham ją. I równocześnie nienawidzę, nienawidzę jej tak strasznie!

Przystanął znów i zaczął się uśmiechać melancholijnie i słodko.

— Wie pan, że potrafię się bawić w samotności godzinami wymyślaniem mąk, jakiebym jej rad zadać... Oprócz tych rysunków, które pan widział, mam inne... Tych nie pokazuję, to dla mojej tylko satysfakcji. *Camera horroris*... Torquemada by mi za nie podziękował z pewnością.

Turski miał już dość tego wszystkiego.

— Wie pan co, ja panu tylko powtórzę moją radę: idź pan do szpitala i to co najprędzej.

Pożegnał się z malarzem i poszedł wprost do siebie do hotelu.

W pokoju mrok już padał przedwieczorny, ale Turski nie zapalał światła. Siadł w otwartem oknie i patrzył na ruch uliczny, gwarny i wesoły, jak zawsze o czasie, gdy w mieście kończy się robota w warsztatach i fabrykach. Nie myślał właściwie o niczem. Jakaś zmora gniotła mu piersi; zaczął znowu żałować, że powrócił do tego miasta, gdzie — czuł — porywa go coś w obmierzły taniec, w wir duszny i niezdrowy.

Aby się uwolnić od tego wrażenia, jął sobie przypominać pobyt swój w Azji, zwłaszcza lata ostatnie, w Japonji spędzone, wesołość ludzi, umiejących z życia korzystać — kwiaty na drzewach, po ogrodach i w domkach papierowych, w dużych, złotych i czerwonych wazach, około których siedzą wieczorem na wzorzystej macie kobiety drobne i szczebiotliwe, jak stado barwnych ptaszków, na kwitnącej gałęzi jabłoni wiec odbywające.

Pomyślał o małej, słodkiej Tonami. Przymknął oczy, aby sobie lepiej uprzytomnić jej rysy porcelanowe i przypomnieć, jaką przedziwną woń świeżości miały jej drobne usteczka.

Lecz zaledwie przymknął powieki, począł pod niemi wstawać inny cień: Fala czarnych włosów, rozrzucona na białych, szczupłych ramionach, — ciężkie powieki opadają na oczy gasnące w żądzy obłędnej, — subtelne, krwią drogocenną prześwietlające nozdrza rozdymają się niespokojnie — i usta, usta purpurowe, chłonące jak pożar i jak śmierć rozkoszne.

Zatonął w jakiemś przypomnieniu bezprzestrzennem i bezczasowem, żyjącem w nim tylko falą ognia, idącego przez nerwy i nadewszystko rozkoszną muzyką grającej w omdlałem ciele krwi.

Drgnął i oprzytomniał naraz.

Wszakże myśli o księżnej Helenie.

Co to jest? Co to jest, na miłosierdzie Boga żywego! Przed godziną był u niej, patrzył na nią, mówił i głos jej słyszał — i aż wstyd, aż przykro mu było, że tak zginęło w nim wszystko, co dla niej niegdyś odczuwał... A oto wstaje przed nim sen — wspomnienie i wszystkie dawne fibry duszy jego porusza. Nie zapomniał nic z tego, co było, i z tego, co było, niczego kochać nie przestał.

Uniósł się i począł chodzić po ciemnym pokoju wielkiemi krokami.

— Rozszczepiła się we mnie — myślał — ta kobieta na dwoje. Jedna jest ta, którą ja zakochanemi oczyma niegdyś widziałem, druga ta, którą dzisiaj widzę. Ta pierwsza umarła, a we mnie jest żywa — ta druga żyje, a dla mnie jest jakby umarła. Kocham dzisiaj już nie ją, lecz miniony sen swój o niej, młodość mą, mą miłość samą, która już była.

— *Ainsi soit-il!* — odetchnął z ulgą.

V

Tak się złożyło, że Turski, wybierając się wciąż do Poleskiego, spotkał go dopiero w domu profesora Butryma. Poleski bywał tutaj nietylko jako lekarz (był nader wziętym specjalistą dla chorób dziecięcych i mały synek profesora, nieco chorowity, często pomocy jego potrzebował), lecz także jako serdeczny i zażyły przyjaciel. Z Butrymem znali się oddawna, jeszcze gdzieś z uniwersyteckich czasów, chociaż Butrym był trochę starszy od niego, pani Butrymowa zaś była jedną z niewielu, jeśli nie jedyną kobietą, którą zgryźliwy lekarz znosił, a nawet — *sit venia verbo* — lubił.

Nie znaczyło to bynajmniej, aby wobec niej powściągał zjadliwe żądło swego języka, ale w każdym razie nie ucinał z nią po dwóch lub trzech zdaniach rozmowy, jak to robił z innemi kobietami, lecz owszem z miną nieco ironiczną i pobłażliwą, uzbrojony swym świetnym i ostrym dowcipem, podejmował z nią długie dyskusje, które „pani Zośka" prowadzić bardzo lubiła, zacietrzewiona w pewnych chwilach mocno w swym feminizmie. Co prawda jego ton wyższości i chłodna, grzeczna co do formy, a jednak dotkliwa żartobliwość w dyskusji, w której niezbyt serjo brał jej najbardziej gorące lecz zazwyczaj płytkie argumenty, irytowały ją do tego stopnia, że nieraz po jego odejściu

płakała ze złości i przysięgała mężowi, że więcej tego ohydnego człowieka przyjmować w domu swoim nie pozwoli. To jej zresztą nie przeszkadzało dopytywać się z niepokojem, co się z doktorem dzieje, gdy się przez dwa lub trzy dni nie pokazał.

Trzechletni Jacuś, synek państwa Butrymów, kochał za to „małego doktora" całem sercem i bez zastrzeżeń. Było coś szczególnego w ogólnem przywiązaniu dzieci do Poleskiego. Tych małych pacjentów jego nie raził bynajmniej garb na jego plecach ani spiczasta głowa, zwracali się doń owszem z największem zaufaniem i wyciągali z uciechą ręce, gdy się zjawił, chociaż ich czekała przykra i gruntownie przez dzieci znienawidzona operacja „pukania".

I teraz Turski wchodząc zastał Jacusia między kolanami doktora, słuchającego z największą uwagą jakiejś powieści o małym djabełku, który rzekomo miał być ukryty w złotem jego zegarku.

Poleski zmieszał się mimowoli, zobaczywszy Turskiego, i przywitał się z nim dość sztywnie. Turskiego dotknęło to niemile, ale wobec znanej sobie zdawna drażliwości Poleskiego, złożył to na karb swojej winy, że dotychczas nie odwiedził starego przyjaciela tam, gdzie należało, to jest w jego mieszkaniu. Usprawiedliwienie jednak i usunięcie nieporozumienia odłożył na inną, stosowniejszą chwilę.

Profesor Butrym przedstawiał go swojej żonie. Pani Zośka spojrzała z uprzejmą ciekawością na człowieka, którego historję, naturalnie z różnemi jeszcze dodatkami — w całym Krakowie już sobie opowiadano. Ponieważ Turski nie chciał przejść oficjalnie do salonu, pozostano w jadalnym pokoju, gdzie towarzystwo dotąd się znajdowało.

Rozmowa zrazu ogólna i dość kulawa mimo po-

zorów ożywienia, przeszła rychło w pojedynek słowny między Poleskim a panią Zośką. Chodziło naturalnie, jak zawsze o tak zwaną kwestję kobiecą. Poleski udowadniał właśnie, że powoływanie się na teorję dziedziczności dla usprawiedliwienia dotychczasowego braku twórczego współdziałania kobiety w cywilizacyjnym rozwoju ludzkości, jest „delikatnie powiedziawszy — najwierutniejszem głupstwem".

— Nie! tego pan mówić nie może! oburzyła się pani Zośka. — Gdy kobiety przez tyle wieków z pokoleń na pokolenia były trzymane w ciemnocie, usunięte od wszelkiej pracy twórczej...

— Naprzód to nie jest prawda, pani ukochana, a następnie choćby było prawdą, co z tego wynika?

— Jakto: co? Przecież właśnie wedle teorji dziedziczności...

— ...nic z tego zgoła wynikać nie może — dokończył Poleski. — Niech pani tylko spojrzy na swojego syna. — Przyzwał bawiącego się opodal chłopca skinieniem dłoni. — Włosy ma takie same, jak pani, bardzo jasne i kręte, pani oczy niebieskie, i nos, i całą budowę głowy...

— Owszem, w ustach jest do Mietka podobny!

— Bardzo dobrze. Ale w przyszłości może pani mieć córkę, która będzie do Mietka, to jest do męża pani, będącego, miejmy nadzieję, jej ojcem, znacznie więcej podobna, niż ten oto zademonstrowany tutaj okaz męski.

— Przedewszystkiem ja nie będę mieć córki ani wogóle więcej dzieci. Następnie zaś nie rozumiem, co to ma do rzeczy...

— To szkoda. Mianowicie szkoda, że pani nie rozumie. Bo przecie rzecz jest jasna. Jeżeli fizyczne właściwości matki dziedziczyć może syn, a nie córka, to czemuż duchowe, jak pani mówi, upośledzenie miałoby wyłącznie w żeńskiej linji być dziedziczonem? Ta historja wiekowego sumowania się krzywd, wyrządzanych rzekomo przez mężczyznę kobiecie, jest nieco kulawa, krzywa, mniej więcej tak jak ja...

Butrym słuchał tej rozmowy z roztargnionym, pobłażliwym uśmiechem. Znał oddawna napamięć te wszystkie sprzeczki i nie przywiązywał do nich wagi. Turski w milczeniu obserwował panią Zośkę. Zauważył, że ma ona w sobie, w rysach twarzy zwłaszcza jakąś niepokojącą dwoistość. Gdy widział ją zboku, miał wrażenie, że patrzy na profil dziecka lub małej dziewczynki o gładkiem czole; nosek miała subtelny, cokolwiek w górę podniesiony, — melancholijny, dobry półuśmiech na ustach, drobną, jakby rylcem na plakacie ze słoniowej kości delikatnie wyciętą brodę i długą szyję o przecudnej linji prerafaelickiej. Gdy było wprost na nią spojrzeć, dzięki wyniosłym, choć doskonale zaokrąglonym kościom policzkowym, żuchwom o silnych mięśniach i ustom szerokim, przy zwrocie głowy idealny profil zmieniał się w jednej chwili na twarz trochę brutalną, o upartym, pewnego rysu zimnego okrucieństwa nie pozbawionym wyrazie.

Ta zmienność charakteru tak Turskiego uderzyła, że zaczął przypatrywać się pani Zośce coraz ciekawiej, usiłując niespodziewanie z różnych stron i w różnem oświetleniu twarz jej zobaczyć. Ale snać i ona badawczy jego wzrok zauważyła i nie dając poznać po sobie, że się czegokolwiek domyśla, przeszkodziła jego studjom i usadowiła się — niby przypadkiem — tak, że mógł ją widzieć już tylko z profilu. Turski nie dawał za wygraną i usiłował ją zmusić wtrącaniem się do rozmowy, aby wprost na niego spojrzała, co mu się jednak nie udawało.

Ta milcząca wojna nie uszła bacznej uwadze Poleskiego. Przerwał w połowie jakieś bardzo złośliwe zdanie o studjach kobiecych i powstawszy z krzesła, wskazał je pani Zośce.

— Proszę, może pani tutaj usiądzie.

— Dlaczego?

— Będzie pani miała pana Romana z lewej strony. Zawsze pani utrzymuje, że pani lewy profil jest lepszy.

Butrymowa zmieszała się na jeden moment, ale zaraz zaśmiała się swobodnie. Zwróciła się teraz wprost do Turskiego; zauważył, że ma oczy dobre i pełne wyrazu.

— Czy jest w tem co złego lub śmiesznego, — zapytała — że wolę się panu z lepszej strony przedstawić?

Turski nie miał czasu odpowiedzieć, gdyż w tej chwili wszedł służący profesora z oznajmieniem, że jakiś pan chce się natychmiast widzieć z doktorem Poleskim. Podobno był u niego w mieszkaniu i stamtąd tu go przysłali. Czeka w salonie.

Poleski wyszedł i zastał Rogockiego o zupełnie nieprzytomnym, przerażonym wyrazie twarzy.

— Doktorze, mam tu automobil, niech pan zaraz siada ze mną...

— Co się stało?

— Synek księżnej Heleny... Boję się, że umiera. Profesor Cukrzycki, który go zawsze leczy, wyjechał z Krakowa...

Poleski na wzmiankę o księżnej drgnął gwałtownie i poczerwieniał. Potem zmarszczył brwi z niechęcią.

— Wolałbym, żeby się pan był udał do kogo innego.

— Panie! — błagał Rogocki, trzęsąc się cały, jak

gdyby o jego dziecko chodziło — panie, przecież pan nie odmówi!

— Nie wolno mi odmówić. Jestem lekarzem.

Uchylił drzwi i zawiadomił krótko gospodarzy, że wyjeżdża do chorego, nie wymieniając nazwiska. Profesor zawołał jeszcze za nim, by przyszedł wieczorem do kawiarni, gdzie będą prawdopodobnie wszyscy obecni. Rogocki naglił do pośpiechu.

Nim przybył przed dom, w którym księżna Helena mieszkała, Poleski zapanował zupełnie nad pierwszem wzruszeniem. Czuł się już tylko lekarzem. Przez drogę wypytywał Rogockiego o objawy choroby chłopca, ale ten nie wiele mógł mu powiedzieć ponad to, że dzieciak dostał nagłej gorączki i gwałtownego ataku duszenia, z suchym skrzypiącym kaszlem połączonego. Poleski, usłyszawszy to, kazał szoferowi zajechać jeszcze przed swoje mieszkanie i zabrał narzędzia operacyjne. Przypuszczał, że spotka się może z krupem i trzeba będzie dla uratowania dziecka zrobić tracheotomję.

Gdy byli na miejscu, zwrócił się jeszcze, wysiadając, do Rogockiego:

— Niech szofer zaczeka; może go wypadnie posłać do apteki po serum.

Księżna Helena oczekiwała ich na schodach. Zaczęła się była właśnie ubierać na koncert, kiedy ją w gotowalni zawiadomiono o nagłem i widocznie niebezpiecznem zasłabnięciu Iwonka. Nie miała czasu się ubrać. Rozpuszczone włosy związała w węzeł na karku, i wrzuciwszy jakiś pod ręką leżący szlafroczek na batystową koszulę i czarne jedwabne trykoty, pobiegła tak do dziecka.

I teraz w tym stroju, wzburzona cała i trzęsąca

się z niepokoju, oczekiwała przybywającego lekarza. Poleski prawie nie patrzył na nią, lecz kazał się prowadzić wprost do chorego chłopca.

Malec wyglądał naprawdę strasznie. Właśnie powtarzał się atak, którym niespodziewanie choroba się zaczęła. Z posiniałej twarzyczki błyszczały w przerażeniu na wierzch wysadzone oczy, spiekłe i popękane usteczka chwytały powietrze szybko i powierzchownie. Pierś wznosiła mu się gwałtownemi, szybko następującemi po sobie rzutami do oddechu, ale znać było, że wysiłek mięśni niezdolny jest przez ściśnięte gardło wciągnąć dostatecznej ilości powietrza, gdyż przy każdym wdechu brzuch się zapadał, ku klatce piersiowej wciągnięty. Chłopiec leżał niespokojnie, rękami chwytał koło siebie — z gardła wyrywał mu się czasem krótki, suchy, do szczekania podobny kaszel.

Poleski uniósł chłopca nieco, wyczuł serce, obejrzał gardło z nadzwyczajną uwagą, zmierzył temperaturę i wydawszy krótkie polecenia otaczającym, zastrzyknął mu małą dawkę morfiny i zabrał się do przerwania ataku mechanicznym sposobem przez podrażnienie krtani, nie czekając aż zarządzone wziewania i okłady będą gotowe a środek wykrztuśny, po który posłał do apteki, przyniesiony. Księżna stała przy łóżku syna przytomna, pomocna, bez jednej łzy w oku, usta jej tylko drżały nerwowo i chwilami w źrenicach na lekarza zwróconych malowało się bezbrzeżne przerażenie i coś jakby błaganie o litość... W jakimś żywym ruchu szlafrok niedbale narzucony rozpiął jej się od szyi aż do dołu; nie zważała na to, że jest prawie naga — w cienkiej, przejrzystej i mocno wyciętej koszuli do pasa, czarnym jedwabnym trykotem od bioder aż poza kolana, po podwiązki cienkich pończoszek, pozwalających białej jej skórze prześwietlać, obciśnięta.

Zresztą Poleski zajęty chorem dzieckiem nie widział jej poprostu, nie pamiętał nawet, kim jest i jak się nazywa. Iwonkowi po pewnym czasie zrobiło się lepiej. Oddech się wyrównał — ciężkie, znużone powieki zaczęły opadać na przekrwawione białka ócz. Księżna pobladła śmiertelnie; nie umiejąc sobie zdać sprawy z tego uspokojenia, sądziła, że dziecko w jej oczach kona.

— Doktorze... — szepnęła jakimś nie swoim, zdławionym głosem.

Poleski się podniósł i spojrzał na nią.

— Niech się pani nie obawia. Dziecku nic nie będzie. To nie jest krup, jak się początkowo obawiałem. Pseudodiphterithis — raczej pewien rodzaj anginy...

Księżna chciała coś odpowiedzieć, ale sił jej naraz zabrakło — wargi jej tylko drgnęły jak dziecku, któremu na płacz się zbiera. Wyszła bez słowa do drugiego pokoju; Poleski posłyszał jej gwałtowne, przemocą tłumione łkania.

Obejrzał się za Rogockim, który sam jeździł do apteki i stał teraz za nim z przywiezionemi lekarstwami w ręku.

— Niech się księżna wypłacze — rzekł. — Pan tu przy dziecku zostanie... Ja nie jestem już potrzebny.

Spojrzał na malca, który się zdawał zasypiać.

— Malutki, malutki! — zawołał — patrzno, jak ja umiem prześlicznie trąbić!

Zrobił pocieszną minę, co zresztą z łatwością mu przyszło, przyłożył słuchawkę do ust i zaczął na niej wygrywać jakiegoś afrykańskiego marsza, aż och-

mistrzyni z przerażeniem uszy zatkała. — Chłopiec uśmiechnął się blado...

— Co pan robisz? — obruszył się Rogocki, — przecież pan widzisz, że on chce spać!

— Właśnie — odrzekł Poleski półgłosem. — Nie może spać teraz. Atak mógłby się powtórzyć. Niech pan tu zostanie i pilnuje, aby nie usnął — choćby mdlał ze znużenia. Jeśli go pan potrafi dotrzymać do rana, tem lepiej. Błaznuj pan, krzycz, śpiewaj, noś na rękach, rób co chcesz...

Księżna stała już za nim, uspokojona nieco, z zaczerwienionemi jeno oczyma.

— Ja sama zostanę przy dziecku...

— Nie, proszę pani. Pani przy dziecku nie zostanie, co najwyżej tam, w drugim pokoju...

Chciał ją swoim zwyczajem, tak jak zawsze robił z matkami w podobnych razach, wziąć za rękę i wyprowadzić, aby odpoczęła, ale spojrzał na nią i dłoń opadła mu onieśmielona. Teraz zobaczył ją dopiero taką, jak była, przepiękną i oszałamiającą w niedbałym stroju, z ciężkim węzłem włosów na ramię opadającym, stojącą przed nim w bezwstydzie matki, w tej chwili tylko o dziecku myślącej.

Pobladł nagle, a potem krew uderzyła mu do oczu; miał wrażenie, że w przystępie zawrotu padnie na ziemię. Musiał się chwycić poręczy łóżka.

Księżna naraz owinęła się szczelnie szlafrokiem.

— Przepraszam pana — szepnęła z mimowolnem i rzeczywistem zmieszaniem.

Poleski zapanował nad sobą.

— Jeżeliby się atak powtórzył, czego się zresztą nie spodziewam, tutaj są krople... Powiedziałem panu Rogockiemu, jak dawać. Poza tem okład spirytusowy na szyję, zmieniany co kilkanaście minut, inhalacje

z sody we wrzącej wodzie — w pokoju trzeba rozpylić trochę terpentyny...

Czuł, że od przytomności odbiega w towarzystwie tej kobiety.

— Niech pani wyjdzie, — rzekł ze sztuczną szorstkością w głosie — ja zostanę jeszcze na chwilę.

Po wyjściu księżnej, Poleski zabrał się do przygotowania własnoręcznie okładów i inhalacji. Ręce mu wprawdzie drżały, ale panował już nad sobą. Wszedł do tego domu jako lekarz i postanowił sobie ani na jedną sekundę nie być tu w duszy niczem innem, jak tylko lekarzem.

Kiedy wychodził, zastąpiła mu w jadalni drogę księżna Helena. Była już w inny, skromny strój domowy przybrana, włosy miała uporządkowane.

— Dziękuję panu — szepnęła miękko, wyciągając ku niemu rękę.

Ogarnęła go nagła, smutna żądza ucałowania tej dłoni, ale zaledwie dotknął jej, cofnął się, jakby prądem elektrycznym odtrącony: pod palcami zaszeleściła mu koperta, w której mu księżna snać honorarjum podawała.

Przypomniał sobie czem jest i że mu niczem innem być nie wolno.

Chłodno uniósł kopertę i rozerwał ją ostentacyjnie przed oczyma księżnej. Wypadł z niej banknot na tysiąc koron.

— Księżna wprawia mnie w wielki kłopot — rzekł, cedząc wyrazy przez zły uśmiech na ustach. — Nietylko przy sobie, lecz i w domu nie mam tyle pieniędzy, aby wydać resztę...

— Ja myślałam... ja chciałam pana prosić...

— Przepraszam, księżno. Mnie się należy co naj-

wyżej czterdzieści koron, a... napiwków dotąd jeszcze nie przyjmuję.

Teraz zkolei księżna uśmiechnęła się wyniośle i chłodno.

— Ach, tak. Przepraszam pana.

Zadzwoniła na ochmistrzynię.

— Niech pani zechce przynieść doktorowi czterdzieści koron. Pieniądze są na mojem biurku...

Skinęła Poleskiemu głową z uprzejmym uśmiechem i wyszła.

Lekarz, wychodząc, ujrzał jeszcze przez szereg otwartych drzwi, jak w dziecinnym pokoju Rogocki nosi zawiniętego w kołdrę chłopca na rękach, przyśpiewując mu fałszywym głosem jakąś nader sentymentalną piosnkę. Zrobiło mu się bardzo smutno i głupio.

W kawiarni spotkał Turskiego i Butryma; powiedzieli mu, że i pani Zośka była, ale poszła już do domu. Siedział z nimi jeszcze przy stoliku Zaremba, snać w jakąś od dłuższego czasu już trwającą, ożywioną rozmowę z Turskim zawikłany.

Poleski usiadł w milczeniu. Przyszedł tu nie tyle dlatego, że się z przyjaciółmi spotkać umówił, jak raczej z obawy przed samotnością, która nań w domu czekała — przed samotnością, uśmiechającą się szyderczo ustami starych portretów na ścianach i zatrutą dusznym, smutnym wyziewem szkatułki z listami. Czuł, że w tej chwili nie zniósłby pobytu w tym pokoju i myśli, któreby go tam opadły.

Wsparł brodę na dłoniach złożonych na marmurowym stoliku, prawie po szyję mu sięgającym, gdy siedział, i słuchał z roztargnieniem rozmowy towarzyszy.

Zaremba uśmiechał się właśnie i potrząsał głową przecząco.

— Nie, panie Romanie, to nie ma celu. Niestety, tej nader dla mnie zaszczytnej oferty przyjąć nie mogę.

Butrym wtrącił się do rozmowy.

— A jednak, dyrektorze, sądzę, że pan Turski ma słuszność. Pan odmawiać nie powinien, nie wolno panu nawet.

— Ah! ah! ah! — zaśmiał się Zaremba. — Dlaczegoż to nie wolno?

— Jest pan dzisiaj jedynym u nas człowiekiem, mogącym rzeczywiście utrzymać teatr na wyżynie sztuki — i jako taki ma pan wobec społeczeństwa obowiązki.

Usta Zaremby drgnęły z lekkim przekąsem.

— Sądzi pan, że ich jeszcze nie spełniłem? — rzekł z chłodną grzecznością i udanem zakłopotaniem.

Turski położył dłonie na rękach Zaremby i Butryma.

— Nie, nie, nie! W ten sposób prowadzona rozmowa do niczego nie doprowadzi. Ja byłem niegdyś literatem, potem przez długie lata businesmanem — i tak już dzisiaj rzeczy biorę. Mnie nie o dyrektora Zarembę tutaj chodzi i nie o jakieś obowiązki, lecz o mnie samego. Wycofałem się tam z interesów, przyjechałem tutaj, chciałbym coś robić. Rozporządzam dość znacznym kapitałem, może nawet bardzo znacznym, jak na nasze stosunki...

Zawahał się. Uczuł, że powinien swoje projekty poprzeć cyfrą, a jakoś niemiło mu było rzucać tym ludziom jakby na przechwałkę miljonami w oczy.

— Będzie tak około dwustu, może trzystu tysięcy... funtów szterlingów — rzekł, kryjąc się dziecinnie za angielską stopę monetarną.

— I pilno to panu stracić? — zaśmiał się zcicha Zaremba.

— Nie o to idzie, dyrektorze. Byłem... literatem. Nie piszę już na scenę oddawna i pisać nigdy więcej nie będę, ale chciałbym coś zrobić. Wolę w tym kierunku, niż w innym. Bez pana jednak nie zrobię nic. I dlatego propozycja moja jest jasna: wybuduję teatr i dam odpowiedni kapitał do rozporządzenia pod warunkiem, że pan obejmie kierownictwo.

— I gdzież to pan ma zamiar ten teatr budować?

— Nie tutaj, nie! Tu nie chcę robić... Malinowskiemu konkurencji. Przychodzą mi na myśl różne miejsca, może Zakopane? Tamby się to dało urządzić tak, jak ja myślę. Teatr przez parę miesięcy tylko w roku otwarty, od niczego niezależny, z sezonem nadzwyczajnie przygotowanym pod względem repertuaru, reżyserji, aktorskich sił... Każde przedstawienie mogłoby być poprostu ważnym wypadkiem w dziedzinie sztuki. No, co, dyrektorze? Zgadza się pan?

— Nie.

— Ależ dlaczego? Dlaczego?

— Nie uważam, aby to było na cokolwiek potrzebne.

— Teatr, czy pańskie kierownictwo?

— I jedno i drugie.

— Jakto? przecież pan sam przez dwanaście lat...

— Właśnie. Ja sam przez dwanaście lat — i tak dalej. Dlatego mogę dziś mieć w tym kierunku pewne doświadczenie. Dużoby było mówić o tem wszystkiem. To pewna, że ja już więcej nic nie zrobię.

— Przestał pan wierzyć w siebie? Wyczerpał się pan? Brak panu sił? — rzucił profesor Butrym jednym tchem z ironiczną tonacją i widocznym zamiarem podniecenia Zaremby temi słowami, jak uderzeniem ostrogi.

Ale były dyrektor nie dał się wyprowadzić z równowagi. Podniósł zwolna oczy na profesora i uśmiechał się chwilę figlarnie, nim zaczął mówić.

— Nie, panie drogi. Ja nie przestałem wierzyć w siebie — przynajmniej o tyle, o ilem wierzył kiedykolwiek — nie wyczerpałem się i nie czuję braku sił. Myślę tylko, a raczej nawet wiem, że co ja zdziałać mogłem w danych warunkach, okolicznościach i w danym czasie, już zdziałałem i niema potrzeby oprócz mojego świętej pamięci majątku pogrążać jeszcze nowe kapitały dla przeciągania tej działalności, która już nowych i niespodziewanych rezultatów nie wyda. Więcej niemam nic do zrobienia ponad to, co już zrobiłem. Co zaś do samego teatru... nie sądzę, aby to był jedyny sposób stracenia pieniędzy, które panu Turskiemu pilno stracić. To czasem zawodzi! Mój dyrektor... Malinowski nawet zarabia i to podobno dobrze. Ale to okoliczność wyjątkowa: stracić nie mógł, bo nie miał nic do stracenia... Zresztą mniejsza o to. Jeżeli pan Turski z dawnej przyjaźni do Muz chce koniecznie teatr fundować, to czemuż nie poszuka sobie na kierownika kogoś innego, młodszego, który może świeże ma pomysły...

— Nie mam zamiaru robić eksperymentów, lecz pragnę prawdziwej sztuki. Pan dzisiaj u nas jest jedynym człowiekiem...

— A, nie, nie! Znaleźliby się inni, trzeba ich tylko umieć poszukać.

Turski patrzył na niego długo.

— Pan jednak jest zniechęcony, dyrektorze.

— Ja? Ani mi się śni. Wszakże pracuję u Mali-

nowskiego, sądzę tylko, że to stanowisko obecnie zupełnie dla mnie wystarcza.

— Poco to pan mówi?

— A cóż? Mam przynajmniej tę pociechę, że dawniej do pracy swojej dopłacałem, teraz inni mi za nią płacą. Są zapewne niejakie trudności... Doświadczone i praktyczne oko mojego... pryncypała niezawsze pozwala się rozwinąć moim snać przewrotnym artystycznym fantazjom, ale przyznać muszę poza tem, że dba o mnie bardzo i abym się nie przeciążył pracą, daje mi same drobne, nic nieznaczące sztuki do wyreżyserowania...

— Poco pan siedzi u niego! — zakrzyknął Turski prawie szorstko.

Zaremba, mówiący dotąd lekkim, ironicznym tonem spoważniał nagle.

— Aby żyć — odparł krótko.

Wstał, aby się pożegnać.

— Zresztą niech mnie pan posłucha, panie Turski. Gdy mi się tak spodobało i gdy mnie okoliczności materjalne do tego zmusiły, wolno mi być bez ujmy dla siebie płatnym i nawet nie cenionym... powiedzmy grzecznie: pomocnikiem człowieka, któremu sam dopomogłem niegdyś do objęcia stanowiska, jakie zajmuje, ale nie mam bynajmniej ochoty dla jakichś dawnych swoich zasług przyjmować od pana lub kogokolwiek ofiary...

— Ależ, dyrektorze! Tu niema mowy o ofierze!

— Nie mówmy już o tem — rzekł i skłoniwszy się szybko, wyszedł.

Przy stoliku zaległo milczenie. Były literat i profesor astronomji — rozumieli obaj doskonale wielkopańską drażliwość Zaremby i czuli, że wszelkie namowy, na razie przynajmniej — żadnegoby nie odniosły skut-

ku. — Turski był nawet zły na siebie, że nie wybrał raczej drogi odwrotnej i nie założył naprzód teatru, aby się potem dopiero zwrócić do Zaremby z propozycją objęcia kierownictwa. Czuł, że zbytnim pośpiechem zepsuł sprawę.

Aby przerwać tę irytującą go myśl, zwrócił się do Poleskiego, który dotąd przez cały ciąg rozmowy siedział milczący i zastygły.

— Gdzieś był? — spytał obojętnie.

Poleski drgnął, jakby ze snu zbudzony

— U chorego

— Czy ciężki przypadek?

— Ach, nie. To jest...

Urwał i wpatrzył się naraz w oczy Turskiemu. Poczuł gorzką ochotę wymówienia imienia, które wkońcu między nimi musiało zostać wypowiedziane.

— Byłem u księżnej Hazarapelianowej — zaczął powoli. — Zachorował jej mały synek wśród objawów krupu...

Turski uczuł nagle przeszywające zimno w piersi. Malec, który go nudził, gdy go widział, stał mu się naraz czemś niespodziewanie bliskiem.

— Krup...? — szepnął głosem mimowoli zmienionym.

— Nie... Były tylko objawy, mogące na tę myśl naprowadzić. — Lekarz mówił wciąż powoli i nie spuszczając oka z Turskiego, jakby się napawał we wrogi sposób jego zmieszaniem.

— Więc cóż jest?

— Drobnostka. Przeszło już. Cóż ci po szczegółach i medycznych nazwach łacińskich, które cię prawdopodobnie i tak nie interesują.

— Masz rację — rzekł Turski i zaczął w zamyśleniu bębnić palcami po stole

Poleski zwrócił głowę w inną stronę kawiarni, gdzie siedziało przy szampanie towarzystwo wielce krzykliwe. Wśród kilku młodych ludzi poznał Rohityna z zupełnie nieprzytomną, zaczerwienioną winem twarzą i Golimskiego, który zwykle małomówny, w miarę jak się upijał, mówił coraz więcej i głośniej. Tłumaczył on teraz i przekładał Rohitynowi jakąś historję, w której — jak się Poleskiemu zdawało — powtarzało się imię księżnej Heleny. Gruby brunet ze śmiesznie blisko osadzonemi oczami uśmiechał się głupkowato i co chwilę wyciągał niedźwiedzią łapę po kieliszek i rozgniatał go w dłoni, poczem podnosząc z triumfem zakrwawione odłamkami szkła palce, wołał z dumą:

— Kelner! świeżą szklankę!

Na towarzystwo to zwrócił już uwagę i Turski. Wyraz obrzydzenia przebiegł mu po twarzy.

— Pójdźmy stąd — rzekł, dotykając ramienia lekarza.

Ale Poleski potrząsł głową przecząco.

— Czekaj. Jeszcze małą chwilę...

Golimski — pijany — powstał ze szklanką w ręku snać z zamiarem wzniesienia jakiegoś toastu. Ktoś przezorny i chytry schował szklankę Rohityna pod krzesło, aby jej znowu nie rozgniótł. Inni szklanek swoich pilnowali.

— Panowie — zaczął Golimski — otóż na dowód, że między mną a szczęśliwym Rohitynem, moim spadkobiercą i dziedzicem mojej byłej damy serca, panuje jak najlepsza zgoda, piję zdrowie jego oraz księżnej...

Nie zdążył dokończyć. Poleski bowiem, powstawszy przy pierwszych słowach, podszedł ku niemu i wspinając się na palce, uderzył go długą ręką *lege artis* w twarz, tak że szklanka, którą trzymał przy ustach, aż w drugi kąt sali poleciała. Poczem odwrócił się powoli i obcierając chusteczką dłoń, zmoczoną rozlanym szampanem, wrócił do stolika swoich towarzyszy.

VI.

Pojedynek Poleskiego z Golimskim zakończył się tak, jak to było do przewidzenia: pokrajanego w różnych kierunkach jak najdokładniej sportowca zaniesiono do szpitala na kilkutygodniową kurację.

Z małej strzelnicy za miastem, gdzie o świcie spotkanie się odbyło, wracał Poleski piechotą do domu. Czuł potrzebę ruchu na świeżem powietrzu, aby oprzytomnieć nieco i ochłonąć. O samym pojedynku myślał jak najmniej, ale wogóle od kilku dni był z siebie niezadowolony, i to każdego dnia coraz więcej. Przełamało się w nim i skrzywiło do reszty wszystko, co już i tak było połamane i krzywe. Miał ciągle uczucie popełnianych niedorzeczności, zarówno w myśli, jak w czynie. Zaco właściwie nienawidzi Turskiego, który mu był zawsze przyjacielem? Dlaczego, będąc u chorego chłopca w domu księżny, zachował się brutalnie, śmiesznie i po chamsku? Co go właściwie obchodzi księżna? Czemu wtrącił się w nie swoje sprawy, uderzając Golimskiego i co mu właściwie na tem zależało, aby go dziś tak paskudnie pokiereszować? Dlaczego wreszcie trzyma dotąd u siebie tę głupią szkatułkę i boi się przypomnienia o niej, miast ją oddać Turskiemu, i przez jaką wyrafinowaną złość Turski o nią się nie upomina?

Była to tylko część tych pytań, na które nie mógł

znaleźć żadnej rozumnej odpowiedzi. Wreszcie wątpliwości wszystkie zaczęły się stapiać w jednę, wszechogarniającą, której zużyty tragizm już oddawna w patetyczny komizm przeszedł: *to be or not to be...*

Zaśmiał się głośno i przyśpieszył kroku na polnej, pachnącej ścieżce wśród falujących zbóż. Właściwie powinien był dawno, dziesięć, dwadzieścia lat temu, kiedy tylko przyszedł do zupełnego używania rozumu, pojąć, że dla niego niema tu nawet pytania — że cała jego inteligencja i siła ducha nie ostoi się wobec gryzącej tęsknoty ku życiu, której ukoić nie może dzięki temu podwójnemu garbowi, śpiczastej głowie i krzywym, krótkim nogom...

Zamajaczyła mu na chwilę przed oczyma boska postać Hegesiasa, zwanego Peisithanatosem, który tak kochał życie, że aż do śmierci uwodził...

„Jeśli jesteście piękni, umierajcie rychło, aby się piękno wasze nie zepsuło! Jeśli zaś szpetni jesteście, umierajcie tem rychlej, aby nie kalać sobą życia, które jest piękne!“

Przystanął i począł się rozglądać dokoła. W porannem słońcu, ponad rośne, nieźrałe jeszcze kłosy pszenicznego łanu wstawało przed nim ze szarosrebrnych mgieł nadwiślańskich miasto — jedno z najpiękniejszych na świecie, kiedy się ukazuje na szerokiej, w dali niebieskiemi wzgórzami od błękitu odgraniczonej równinie w niezrównanej, biegiem wieków i stuleci wykrojonej sylwecie, pełnej wież, kopuł, dachów srebrzystych, tam ku szeroko rozsiadłemu wawelskiemu grodziszczu się wznoszących. Ptaki krzyczały w powietrzu, na niebie i w pobliskich zaroślach ogromnym radosnym, ogłuszającym chórem — na drodze białej, ku której ścieżka jego biegła równolegle, widać było długą, barwną procesję wieśniaków, ciągnących z na-

białem, z jarzyną, z kwiatami na ranny targ do miasta. Drzewa po wiejskich sadach już okwitały; gdzie niegdzie tylko stała jeszcze jabłoń spóźniona, mocno spłonionym kwiatem pokryta, który za najlżejszym wiatru podmuchem biało-różowemi chmurkami ku ziemi opadał. Słońce wychodziło z przyziemnych oparów coraz wyżej, nabierało promienistości i mocy: gorący, kwiatami i chlebem wonny oddech dnia z ponad łanów już dolatywał.

Poleski uczuł się nagle jakąś obrzydliwą, zupełnie głupią i niepotrzebną plamą na tym jasnym krajobrazie. Miał wrażenie, że powinien się roztopić w nic, wsiąknąć w ziemię, być wywabionym, wyżartym słonecznemi promieniami z powierzchni świata. Dreszcz przejmującego chłodu ogarnął go w ciepły, letni poranek — na jeden moment wszystko mu w oczach poczerniało...

W pobliżu rogatki wziął zabłąkaną na odległej ulicy dorożkę i kazał się wieźć prosto do domu.

Służący, który się był domyślił czy dowiedział skądś o celu jego rannej wyprawy, oczekiwał go z niepokojem. Rzucił on na wchodzącego naiwnie badawcze spojrzenie, jakby się chcąc upewnić, czy doktorowi nie brakuje ręki, nogi lub kawałka głowy, a spostrzegłszy, że wszystko jest w porządku, oznajmił z pewną dumą, że śniadanie czeka gotowe.

Na progu gabinetu zatrzymał Poleskiego jeszcze jego głos, nieco tajemniczy i zakłopotany:

— Ale proszę pana doktora...

— Co takiego?

— Bo tutaj przyszła... panna Rózia i czeka.

— Skąd? Poco?

— Ktoś jej powiedział, może stróż, a może nawet ja sam przypadkiem, że pan doktór dzisiaj... to jest że może...

Poleski rzucił służącemu złe spojrzenie i poszedł wprost do swego pokoju.

Zaraz na progu objęły go gwałtownie dwa młode, o nic nie dbające ramiona.

— Tadzik!

Drgnął. Mimo wyraźnych jego życzeń nie mówiła mu dotąd nigdy po imieniu, lecz zawsze: panie doktorze.

— Czego tu chcesz? — syknął z udaną szorstkością.

Dziewczyna patrzała na niego szeroko rozwartemi oczyma, z których przez śmiejącą się już radość wyglądał jeszcze przebyty niepokój...

— Tadzik, Tadzik...

Rozpłakała się nagle nieposkromienie i niewiadomo o co.

— Głupia! O co beczysz? — krzyknął z irytacją i równocześnie, podszedłszy ku niej, bo rzuciła się była na poręcz fotelu, ujął jej czerwoną, igłą pokłutą dłoń i pocałował — pierwszy raz w życiu.

Uśmiechnęła się przez łzy z zabawną, dziecinną dumą.

— Pan się na mnie nie gniewa? Co?

— Nie, nie. Ale co ty tu robisz? — usiłował jeszcze być szorstkim. — Powinnaś o tej godzinie siedzieć już w magazynie.

— Nie mogłam. Nie pójdę dzisiaj. Powiem, że mnie głowa bolała.

— Cóż więc będziesz robić? Przecież wiesz, że ja nie mam czasu na stracenie aby całe rano...

Nie słuchała już tego, co mówił. Do fotelu, na którym był usiadł, przysunęła mały stolik i postawiła

na nim tacę ze śniadaniem. Kawa już trochę wystygła, więc zapaliła spirytus pod maszynką i zabrała się do smarowania bułek masłem. Przytem szczebiotała swoim zwyczajem bardzo przyjemnie i głupio.

Poleski nie oponował, nie opierał się już więcej. Po długiem napięciu nerwowem nastąpiło u niego rozprężenie zupełne. W głowie czuł dziwną ciszę, która jak coś niezmiernie słodkiego schodziła mu powoli na serce, po wszystkich członkach się rozlewała... Wodził oczyma za dziewczyną, bojąc się poprostu ruszyć, aby jej przypadkiem nie spłoszyć. Zaczęło się w nim budzić to dziwne uczucie radości, której doznają ciężko chorzy w chwilach ulgi — i jakaś nierozumna, śmieszna prawie nadzieja...

Rózia wzięła teraz poduszkę z klęcznika i położywszy ją obok fotelu, usiadła u jego nóg.

— Tadzik, czy to prawda — zaczęła tajemniczo — żeś się dzisiaj bił?

Skinął głową w zamyśleniu, gryząc bułkę, którą ona masłem posmarowała.

— Jezus Marja! Ja się tak bałam...

— Bałaś się?

— Bardzo. I jak to było?

Opowiadał jej z roztargnieniem, myśląc o tem, że jest dobra, ma oczy niebieskie i bardzo, bardzo miłe młode usta.

Patrzyła mu w twarz rozszerzonemi źrenicami, a gdy skończył krótką opowieść, zerwała się na równe nogi i zaklaskała w ręce.

— O, mój doktór zuch, chociaż... niewielki! Z takim to byle komu niedobrze zaczynać.

Brzmiał w jej słowach szczery podziw i zachwyt pełen szacunku, a nawet coś, jak gdyby duma.

— Z pana doktora chłop nielada!

Patrzył na nią miękko z jakimś zabłąkanym na ustach dobrotliwym i melancholijnym uśmiechem. Naraz zagadnął:

— Róziu...

Przypadła doń jak ptak oswojony.

— Słuchaj, Róziu... Chciałabyś ty być zawsze ze mną?

— O! dlaczegoż nie?

Zawahał się na jeden moment.

— Więc... ja się z tobą ożenię. Powiedz, chcesz być moją żoną?

— Żoną? Pańską żoną?

Wpatrzony w nią, myślą swoją nagłą ogłuszony, nie zauważył nuty przerażenia w tych słowach.

— Tak jest, moją żoną. Ja spróbuję być dobrym dla ciebie... Majętny nie jestem, ale zarabiam dość dużo... Będziemy zawsze razem...

— Nie, nie, nie! Panie doktorze, to jest całkiem niemożliwe!

Ocknął się, jakby naraz ze snu zbudzony.

— Dlaczego?

— Nie, panie doktorze! Ja pana bardzo, bardzo kocham, ale...

— Co?

— Proszę pana, pan sam kiedyś powiedział, że trzeba być bardzo głupią, aby tak, jak ja... Ale co mi tam! Ja już widocznie taka głupia jestem, że pana kocham i przychodzę tutaj. Ale o tem nikt nie wie. Gdybym ja była pana żoną, musiałabym chodzić z panem po ulicy, do teatru, może na wizytę i wtenczas... ludzieby się ze mnie śmiali... wszystkie moje koleżanki...

Poleski nawet nie drgnął. Czuł tylko, że ktoś pomaleńku, pomaleńku przeciąga przez jego serce bar-

dzo ostrą cieniuchną piłeczkę... ,,Taką, jakiej się używa do wyrzynanek" — pomyślał całkiem spokojnie i jasno. A potem jakby go kto uderzył w głowę raz i drugi, i trzeci, i dziesiąty. Zaśmiało się w nim coś, zaryczało djabelskim chichotem.

,,Kaleko! Garbusie! Krzywonogi, długoręki niedorodku! Potworo o śpiczastej czaszce i szerokiej gębie! Czegoż się to tobie zachciewa!?"

Zwinął się w fotelu w kłębek.

Rózia zmieszana i smutna usiadła w drugim końcu pokoju.

— Czy ja co bardzo złego powiedziałam? — zaczęła po chwili.

— Nie, dziecko. Nic złego nie powiedziałaś. Ale idź już stąd.

Mówił tak miękko, że aż się przeraziła. Do tego tonu nie była zgoła przyzwyczajona.

— Pan chory? Co panu znowu jest?

— Nic, nic. Trochę jestem niezdrów. Idź już, proszę cię. Jeśliby było potrzeba, poślę po ciebie.

Miał ochotę powiedzieć jej jeszcze na pożegnanie coś złośliwego, ale poprostu nic mu na myśl nie przychodziło. Schylił więc tylko głowę i słuchał, jak odchodzi, jak zamyka za sobą jedne drzwi, drugie, trzecie, jak po schodach na dół zstępuje.

Zadzwonił na służącego i powiedział mu, aby tej dziewczyny więcej nie wpuszczał. Potem zrobiło mu się lżej. Chodząc po pokoju zaczął się uśmiechać do siebie i tłumaczyć sobie, że zrobił właściwie bardzo rozumnie, iż przemógł przystęp śmiesznej słabości i pozbył się Rózi, raz na zawsze. Zapomniał, lub raczej nie chciał pamiętać o tem, że to właściwie ona jego odrzuciła.

— Tak lepiej, — mówił głośno do siebie, — tak

lepiej. Przecież taka historja zgoła by sensu nie miała! Nieznośna mi jest i właściwie zawsze nieznośna była ta dziewczyna! Bóg ustrzegł! Cóżbym ja był robił przez całe życie z takiem cielęciem niespełna rozumu, z taką pokojówką w duszy, której jedyną zaletą jest, że przyszła na świat prosta i niepołamana.

Naraz zaczęło w nim coś krzyczeć.

— Widzisz! I nie chciała być twoją żoną, bo się wstydziła pokazać z tobą na ulicy, żeś krzywy, żeś garbaty i ohydny! I śmianoby się z niej, z niej! Rozumiesz? Nie z ciebie, żeś się ze szwaczką, niezbyt cnotliwą ożenił, lecz z niej, że wyszła za ciebie, lekarza, wybitnie inteligentnego człowieka, herbowego szlachcica — kalekę! Nic ci nie pomoże bystry umysł, cięty język i jeszcze więcej cięta szabla w ręku, którą pokrajałeś dzisiaj młodego, pięknego i głupiego człowieka, — nic ci to wszystko nie pomoże: nawet prawie że płatna kochanka twoja wstydzi się ciebie! Nie grzechu swojego, lecz ciebie, ciebie!

Poleski miał ochotę zatkać uszy, schować się z głową w poduszki, pod ziemię się zapaść, byle tylko głosu tego nie słyszeć. Rzucił się na skórę niedźwiedzią przed kominkiem i zaczął z wściekłości bezsilnej targać zębami jej kudły, jak jamnik okaleczony, mściwie do boku już nieżywego zwierza przywarty.

Gdy po pewnym czasie podniósł głowę, zdumiał się i przeraził. Tuż przed nim na skórze niedźwiedziej, zębami jego potarganej i pianą z ust ociekłej, leżała róża. Wielka, pełna, rozkwitniona róża purpurowa. Nie widział jej przedtem; był pewien, że dziewczyna, która go przed chwilą opuściła, nie miała żadnego kwiatu ze sobą. Miał wrażenie jakiegoś niesłychanego cudu, czegoś, co wychodzi ponad pojęcie ludzkich zmysłów. Ostrożnie ujął kwiat w rękę i usiadłszy

na ziemi, przybliżył go do twarzy. Jakiś gorący, duszny zapach go uderzył; w jednej chwili, niewiadomo dlaczego, z przedziwną jasnością błysnęło mu w myśli imię: księżna Helena!

Zerwał się i począł patrzeć bystro dookoła. Jakoż istotnie na okapie kominka, tuż ponad miejscem, gdzie różę był znalazł, leżał mały bilet. Chwycił go i przeczytał jednym rzutem oka:

„Iwonek już zdrowy. Dziękuję — za wszystko...“

Podpis H. X. H. i data dzisiejsza wyraźnie wypisana.

Helena księżna Hazarapelian...

Zrozumiał naraz wszystko. Musiała różę przysłać dziś rano — służący ją tutaj położył a on jej nie zauważył aż spadła z okapu tuż przed jego umęczoną głowę. Więc nie gniewa się za jego zachowanie w ten dzień kiedy go do chłopca chorego wezwano — i za-to co wówczas nastąpiło w kawiarni?... Owszem, snać naumyślnie przysłała mu kwiat dzisiaj o świcie, kiedy on tam stał z szablą w ręku, i te słowa: Dziękuję — za wszystko!

Ona nie myśli widocznie o tem, że jest garbaty i krzywy, lecz widzi w nim tylko człowieka, który jej dziecko uratował i stanął w obronie jej czci... Och! Nie wiedziała jeszcze pewno w chwili, gdy pisała tę kartę, jak ciął przez impertynencką, gładką gębę Golimskiego, jak mu z rozkoszą końcem szabli piękną, nagą, męską pierś rozorał, jak go parł, on — kaleka, tego silnego, cudnie wyrosłego młodzieńca i zmuszał do cofania się krok za krokiem, krok za krokiem, aż wreszcie owem, przez siebie wymyślonem niezacznem cięciem obezwładnił mu atletyczne ramię, tak że mu szabla z brzękiem na wysypaną piaskiem podłogę z dłoni wypadła.

Poleski uczuł się naraz bohaterem, — jakiś rycerski, zawadjacki duch się w nim obudził: był zdolny w tej chwili wyzywać wszystkich znajomych i nieznajomych pokolei, siec, rąbać, kaleczyć... mścić się szyderczo na nich za to, że są prości i piękni — i pokazać jej, że on nawet fizycznie jest pod pewnym względem więcej wart od nich.

Nie wiedząc nawet co robi, przypadł nagle ramionami do żelaznej szkatułki i czoło rozognione wsparł na jej chłodnej, tajemniczo zamkniętej pokrywie. Nie pamiętał w tej chwili, że są tam listy do kogo innego pisane i słowa cudne, gorące, których on nigdy nie posłyszy: wdychał przez stal spragnioną, chorą piersią zapach miłości, życia, szczęścia, rozkoszy...

— Pan Roman Turski — rzekł służący, otwierając drzwi pokoju.

Poleski zerwał się i pobladł. To, co miało przyjść, przychodziło. Ochłonął nagle, jakby kto wylał nań wiadro zimnej wody; miał owszem wrażenie, że jako lekarz zabiera się do jakiejś nieuchronnej a ciężkiej operacji, przy której mu potrzebna zupełna przytomność umysłu.

— Proś — rzekł krótko.

Zaledwie miał czas schować bilet i przysłany mu rankiem kwiat.

Turski wszedł swobodnie i wyciągnął doń milcząco rękę z serdecznym uściskiem.

Usiedli i rozpoczęli rozmowę o rzeczach obojętnych, które ich zgoła nie obchodziły. Poleski trzymał się w rezerwie i czekał, kiedy Turski zażąda szkatułki... Turski jednakowoż nie spojrzał w stronę, gdzie się znajdowała, choć była na tem samem miejscu, na którem ją niegdyś przed dziesięciu laty, oddając przyjacielowi, własną ręką położył.

Nagle w pewnej chwili Turski, przerywając nudną rozmowę, zwrócił się żywo do Poleskiego:

— Biłeś się dzisiaj z Golimskim?

— Tak.

— I cóż?

— Nic. Lekarz powiedział, że za parę tygodni będzie zdrów. Ja tak samo myślę.

— Jesteś zawsze straszny, jako szermierz.

— Ha. Napijesz się może kieliszek wina? Mam parę butelek jeszcze z dawnych, dobrych czasów mojego ojca...

— Zbyt wczesna godzina...

Poleski, nie zważając, wydawał już polecenie służącemu.

Za jakiś czas, już przy kieliszku starego, bursztynowego węgrzyna, Turski zwrócił się do przyjaciela z jak najgłębszą serdecznością w głosie:

— Słuchaj, Tadzik, coś jest między nami i ja nie mogę zrozumieć, co. Jeślim nie przyszedł do ciebie odrazu po przyjeździe, to był to czysty przypadek... Przecież tego nie masz mi za złe?

— Ach, skądże! Głupstwo...

— Więc o co chodzi właściwie? Dziesięć lat, to duży kawał czasu, wiem o tem. Ale myśmy przecie tyle rzeczy wspólnie przeżyli i dobrze nam było zawsze razem. Znamy się przecież od dziecka, od takich małych, kilkuletnich chłopaków, kiedy ojcowie nasi o miedzę sąsiadowali...

— Tak... Pamiętam, jak płakałem, widząc cię jeżdżącym na źrebcach... Ja się nie mogłem na koniu utrzymać!

Turski roześmiał się.

— Przecie o tem teraz nie myślisz?

— Naturalnie, że nie.

— Powtarzam: nie wiem, o co idzie. Spostrzegam w tobie jakąś powściągliwość, prawie że niechęć wobec mnie...

— Zdaje ci się — rzekł Poleski.

Powiedziawszy to, przeszedł się kilka razy po pokoju z rękami śmiesznie na grzbiecie pod garbem złożonemi, a potem odezwał się, nie patrząc w oczy Turskiemu:

— Przyszedłeś po szkatułkę...

Turski w pierwszej chwili zdziwił się — trochę nieszczerze.

— Jaką szkatułkę?

— Wiesz chyba dobrze. Tę, którąś zostawił u mnie przed dziesięciu laty... — Wskazał w stronę stolika. — Stoi tam. Czeka na ciebie.

Turski powiódł okiem we wskazanym kierunku.

— Ach, tak! Zapomniałem, że ona właśnie u ciebie została. Trzeba z tem skończyć.

— Tak, trzeba skończyć — rzekł Poleski szorstko i nienawistnie. — Zabieraj to sobie stąd!

Turski nie słuchał go. Sięgnął po szkatułkę ręką i położywszy ją sobie na kolanach, wsparł dłoń szeroko rozłożoną na jej pokrywie, która na lśniącej, polerowanej powierzchni tu i ówdzie plamami rdzy już zachodziła.

Zamyślił się.

Poleskiemu wystąpiły na twarz krwawe wypieki. Stał w drugim kącie pokoju i patrzył zpodełba na Turskiego, widział jego zmarszczone czoło nad wytężonemi przed siebie oczyma, czuł w ruchu jego dłoni, na szkatułce wspartej, że obejmuje nią rzecz własną, do niego jedynie i wyłącznie należącą, która jemu, Poleskiemu, tylko do przechowania była dana...

Uczuł, że mu się robi słabo. Chciał krzyczeć:

„To nie jest twoje! To należy wyłącznie do tamtej kobiety, która ciebie już nie kocha, nie masz przeto prawa zabierać sobie dzisiaj jej dawnej miłości, dawnych jej słów...“ I znowu był moment, że chciał się nieprzytomnie rzucić na Turskiego, wydrzeć mu szkatułkę, o której sam mu przypomniał, albo prosić i zaklinać, aby ją tutaj zostawił, zamkniętą na zawsze, gdyż ona i tak już nie ma dlań żadnej wartości...

W gardle dławiło go coś i piekło, jakby połknął kawałek rozpalonego żelaza.

Turski tymczasem powtórzył:

— Trzeba skończyć.

Sięgnął do kieszeni, wydobył pęk kluczy i wybrawszy z nich jeden niewielki, przekręcił go w zardzewiałym zamku i otworzył pokrywę.

Woń przedziwna, niepojęta uderzyła na Poleskiego, woń, którą dotąd tylko przeczuwał. W zamglonych oczach mignęła mu dłoń Turskiego, jak ją wkładał w stos listów... Chciał krzyczeć, wyć z nagłego bólu...

Turski odstawił szybko szkatułkę i przymknąwszy nieco wieko, zwrócił się do niego:

— Służący twój w kuchni musi mieć drzewo?

— Tak... zapewne ma drzewo — odparł głosem tak zmienionym, że sam nie mógł dźwięku jego poznać.

— Co tobie? Chory jesteś?

— Tak, cokolwiek... Zmęczyłem się dzisiaj rano.

— Wypoczniesz. Nie będę ci długo czasu zabierał. Każ tylko służącemu przynieść kilka szczap suchych.

Poleski, spełniając życzenie, zadzwonił i wydał odpowiedni rozkaz. Patrzył już z pozorną obojętnością, jak Turski z przyniesionych polan rozpala ogień na kominku. Zdawało mu się zrazu, że nie wie, poco się to dzieje właściwie, a potem naraz się ucieszył.

— Tak lepiej — myślał — lepiej! Nie będziesz miał tego! To zginie w ogniu... Jakiś ty głupi!

Z drapieżną złośliwością śledził walkę na twarzy Turskiego i czuł, że dawny przyjaciel jego zawahał się na moment, że chciał może jeszcze list który wziąć w rękę, przypomnieć sobie jego treść. pocałunkom równe słowa przebiec oczyma...

Wytężył całą swą wolę i słał ją oczyma w Turskiego.

— Nie będziesz czytał, nie będziesz! nie będziesz! — powtarzał w duchu, jak rozkaz.

Gdy jednak ujrzał, jak Turski pierwszą garść papieru w dłoń bierze i rzuca w ogień, ciemno mu się w oczach zrobiło. Przemocą tylko powstrzymał się od krzyku. A potem list za listem, list za listem szedł przed oczyma jego w płomienie...

Miał jakieś gorączkowe złudzenie, że to on sam jest książką, i ktoś wyrywa zeń, z jego wnętrzności kartę po karcie i rzuca w wysoko strzelający ogień... Uczucie rosnącej, bolesnej, zimnej pustki, jakiegoś zdzierania z jego krzywych kości po kawałku skóry, mięśni, żył... Działa się rzecz niepowrotna i nieodwracalna, ginęło coś bez śladu, co było życiem i urokiem życia i jego męką.

Turski śpieszył się. Zbytnio nagromadzone na dogasających polanach listy w twardych kopertach nie chciały się palić, musiał więc przerwać robotę i ogień rozjarzyć na nowo. Potem — aby łatwiej spłonęły — wyjmował już listy z kopert, czasem po kilka z jednej, i kładł w płomienie, odrzucając próżne koperty na niedźwiedzią skórę przed kominkiem. Wkrótce nagromadził się ich cały stos...

Za listami poszły jakieś drobne, śmieszne pamiątki:

zeschłych kwiatów kilka, pożółkła ze starości rękawiczka balowa, włosów pęk...

Wreszcie robota była skończona. Po stosie zwęglonego papieru chodzić zaczęły ostatnie, krwawe wężyki iskier; gdzie przeszły, zostawał już tylko szary, wiotki popiół. Na stole stała szkatułka rozwarta i pusta.

Turski podniósł się z twarzą od ognia zarumienioną.

— Przepraszam cię bardzo za to całopalenie w twoim domu, ale nie chciałem tego brać ze sobą. Koperty każ służącemu usunąć. Niech je wrzuci pod piec w kuchni.

— Dobrze.

— I nie będę ci więcej czasu zajmował. Zmęczony jesteś. Przyjdę innym razem, to pogadamy, może serdeczniej niż dzisiaj. Mam ci wiele do powiedzenia.

— Dobrze, dobrze. Do widzenia.

Został znowu sam.

Chodził po pokoju i rozmyślał, co to się stało? A właściwie nawet nie rozmyślał, jeno powtarzał sobie uporczywie to pytanie, nie umiejąc nietylko sformułować na nie odpowiedzi, lecz nawet treści jego pojąć.

— Aha, co się to stało? — powtórzył, zatrzymując się przed bibljoteczną szafą i obcierając bez myśli z kilku starych tomów bardzo starannie kurz na grzbietach osiadły.

Wyjrzał potem oknem, przypatrując się pilnie przechodniom, chociaż go to nic nie obchodziło, co się dzieje na ulicy. Wreszcie podszedł ku kominkowi. Wziął próżną szkatułkę w rękę i począł ją oglądać, jak gdyby ją widział po raz pierwszy. Przyjrzał się uważnie wertheimowskiemu zatrzaskowi, zeskrobał paznokciem osiadłą na nim plamę rdzy, dotknął palcami na czerwono wylakierowanego wnętrza...

— Tak. Co ja z tem zrobię teraz?

Postawił ją napowrót na stole i schylił się, aby pozbierać rozrzucone na podłodze koperty. Robił to systematycznie i dokładnie. Brał jedną po drugiej w rękę i układał je w stos, adresem do góry, bacząc, by pisma nie położyć przewrotnie.

Koperty były różne formą i papierem, ale pismo na nich jednej i tej samej ręki. Tylko adres się zmieniał. Czasami stało wyraźnie imię i nazwisko odbiorcy, kiedy indziej znów jeno jakieś litery snać umówione z dopiskiem „poste-restante".

Jeśli która z nich była zmięta, Poleski wyrównywał ją i wygładzał dłonią, nie zdając sobie zgoła sprawy z tego, co robi.

Wreszcie drgnął. W jednej z podjętych kopert zaszeleściło coś wewnątrz, jak gdyby list, przez Turskiego zapomniany... Mała, kilkunastoma wyrazami zapisana kartka, która się zaczepiła o sklejenie i nie wypadła, gdy list wyciągano...

Poleski odłożył ją na bok i strąciwszy na podłogę w nieładzie ułożony pracowicie stos kopert, począł rozgorączkowanemi palcami szukać w pozostałej reszcie...

Oto jeszcze jeden list, większego nieco formatu do zbyt małej koperty włożony, który wraz z innemi nie wypadł — i jeden jeszcze, leżący na ziemi osobno...

Zgarnął łup w rękę i poszedł z nim ku oknu.

Tutaj dopiero, usiadłszy w fotelu, oprzytomniał i zaczął sobie zdawać sprawę z tego, co robi.

— Poco ja to wziąłem? — pomyślał. — Przecież tego czytać nie będę, nie do mnie pisane.

Patrzył, nie czytając, na duże, równe pismo, tak podobne do liter na przysłanym mu dziś rano bilecie.

— Turskiemu niema poco oddawać. Najlepiej spalić odrazu...

Wpadło mu mimowoli w oczy zdanie:

,,Już nie ja, lecz usta moje kochają cię i chore są z tęsknoty za tobą..."

Odsunął papier dalej, aby nie ulec pokusie czytania.

— Już wiem, co zrobię. Wrzucę te kartki nie czytane do żelaznej szkatułki, zatrzasnę wieko, klucza nie mam, pozostaną więc tam na wieki ukryte...

Przyszło mu na myśl, że jednak Turski mógłby jutro przyjść i upomnieć się o szkatułkę, która jest jego fizyczną własnością.

— Jakkolwiek bądź — pod żadnym warunkiem czytać tego nie będę!

Pomyślawszy to z głębokiem i niezłomnem postanowieniem, zaczął czytać:

,,Romek, Romek! Czemu się Ty martwisz? Wiesz Ty, że taka wiosna jest na świecie, że się chce poprostu oszaleć? Jeździłam dziś rano powozem za miasto: zielono jest, drzewa wszystkie kwitną, nad każdym potokiem duże, żółte, do złotych gwiazd spadłych na ziemię podobne kwiaty... Romek! Czyż to nie grzech, żebyś Ty się martwił? Wiosna jest na świecie i ja Cię kocham! Pomyśl tylko, jacy naprawdę nieszczęśliwi są ludzie, którzy tego nie znają, nie wiedzą, co jest po długiem niewidzeniu zewrzeć się tak ustami, jak to my zrobimy za trzy, cztery dni... A nawet nie tak myśl! Myśl raczej, jacy są nieszczęśliwi wszyscy, wszyscy oprócz Ciebie na ziemi, których ja nie kocham! Którzy nie wiedzą, jak umieją całować moje usta, jak całe ciało moje umie całować! Och, Ty! Mój! Jakże ja po warjacku tęsknię za Tobą! Całuj, całuj, prędko bo zginę z tęsknoty".

I dalej, dalej jeszcze, słowa bez związku przed dziesięciu czy jedenastu laty na papier rzucane, niewystygłe do dziś, palące ogniem, jak haszysz oszałamiające.

— Aha — pomyślał Poleski — to się nazywa miłość...

Na małej kartce kilka słów tylko było:

— ,,Przyjechałam. Piszę. Gdyś nad ranem wysiadł z pociągu, miałam wrażenie, że to wszystko mi się śniło. I teraz mi się tak zdaje. To spotkanie w nocy, w zamkniętym, pędzącym w świat wagonie. Usta mam jeszcze gorące, nabrzmiałe i rozbolałe od Twoich pocałunków... Masz, masz, — wyciągam je ku Tobie, całuj jeszcze — do krwi!"

Trzeci list pisany był z jakiegoś nadmorskiego miejsca kąpielowego.

,,Nie kąpię się w morzu wcale. Smutno mi rozbierać się i wiedzieć, że Ciebie niema w pobliżu. Przyjedź! Chodziłam dziś po plaży i patrzyłam na kąpiących się ludzi. Och, jacyż oni wszyscy brzydcy! Do niczego nie mam takiego wstrętu, jak do ludzkiej brzydoty... Romek, gdybyśmy tu byli oboje?... Wiem, że nawet morze cieszyłoby się, widząc nas, bo tu niema takich dwóch pięknych ciał, jak nasze! O, bo i ty jesteś piękny, piękny! Jesteś poetą, czy tam czemś podobnem, a wiesz Ty, że mnie to właściwie nic nie obchodzi? Kocham Cię zato, że jesteś piękny, że ciało masz podobne do greckiego młodego boga, że pierś Twoja szeroka i gładka pachnie świeżą krwią, że pod skórą Twą miękką a mocną drgają mięśnie ze stali, że w chwili szaleństwa uścisk Twego ramienia tak rozkosznie boli i kości we mnie druzgoce... A jak Cię kocham? Ty! Czy ci to potrzeba mówić? Ty! Ty — —. Przymknij teraz oczy — widzisz mnie? Co? Taką mnie widzisz..."

Poleski odrzucił papier. Wzrok jego napozór bez

celu błąkał się po pokoju. Wstał wreszcie i zbliżył się ku sofie. Zdjął jeden z wiszących nad nią pistoletów. Starą, skałkową krócicę, o głowni bogato srebrem nabijanej. Krzesiwo było jeszcze dobre; za spuszczeniem kurka szły iskry długie i obfite. Wyczyścił zapał paznokciem, kominek przetknął znalezioną gdzieś szpilką. Potem zaczął czegoś szukać.

— Powinien być — szeptał do siebie, — pamiętam dobrze, że powinien być...

Jakoż znalazł rzeczywiście. Stary ojcowski rożek myśliwski z dobrą garścią prochu wewnątrz. Przesypał go na dłoni i począł mu się bacznie przyglądać w świetle okna.

— Ciekaw jestem, czy nie zepsuty? Tyle lat leży, ale wydaje się dość suchy. Zresztą zobaczymy.

Wsypał proch w otwór pistoletu, a nie mając czem przybić, zmiął jeden z listów księżnej i wpakował w lufę. Ubił papier dobrze i ze znajomością rzeczy żelaznym stemplem, w łożysku pistoletu osadzonym. Potem odkręcił dość dużą miedzianą mutrę od świecznika i przymierzył. Wchodziła do lufy doskonale.

Uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Czy aby proch nie jest zwietrzały? — zmartwił się znowu.

Mimo to podsypał zapał pod odwiedzionym kurkiem.

Położył pistolet i przeszedł się kilka razy po pokoju. Przed Chrystusem na krzyżu zatrzymał się na chwilę, — zdawało się, że chce uklęknąć i modlić się... Na klęczniku, ukryta w kącie, leżała róża pąsowa, dziś mu przysłana. Wziął ją w rękę i przyglądał jej się długo i smutnie. Zbliżył do ust, jakby chciał pocałować; cofnął dłoń.

Wzrok jego padł na otwartą, próżną szkatułkę stalową. Wrzucił do niej kwiat i zatrzasnął wieczko.

Poszedł szybko ku oknu, otworzył je, splunął niewiadomo dlaczego komuś przechodzącemu ulicą na głowę, poczem usiadł wygodnie w fotelu i wziął nabity pistolet w rękę. Wylot oparł o skroń.

— Czy też proch mógł się zachować bez zepsucia przez tyle lat? — pomyślał z zajęciem i nacisnął cyngiel.

Proch okazał się zupełnie dobrym i niezwietrzałym.

VII.

Wkrótce po pogrzebie Poleskiego, który się odbył w dżdżysty dzień przy bardzo nielicznym udziale jego dawnych znajomych, Turski, pożegnawszy się jedynie z profesorem Butrymem i jego żoną, wyjechał z Krakowa.

Pani Zośka śmiała się, dając mu jakiś kwiat na drogę, „na szczęście", jak mówiła.

— Ucieka pan przed kimś, panie Romanie!

— Nie, zaręczam pani. Chodzi o moje plany teatralne, dla których chciałbym przygotować grunt w Zakopanem. Zresztą tyle lat nie widziałem Tatr; radbym je znowu zobaczyć i przypomnieć sobie, jak to byłem młody.

Z przymrużonych oczek pani Zośki wyglądał filuterny uśmieszek.

— Młody to pan jest ciągle, ale co do uciekania, to my już coś wiemy o tem. Fe! Jacy wy wszyscy jesteście zabawni i... słabi!

Turski nie chciał dopuścić do poważnej rozmowy w tym przedmiocie.

— Jeślibym przed kim uciekał, to chyba przed panią — rzekł, skłaniając się z galanterją.

— A choćby! Zawszeć to tchórzostwo.

Ale naprawdę uciekał nie przed nią. Nawet nie przed księżną Heleną. Raczej przed tą duszną i gnębiącą go atmosferą, w jaką go nieznacznie wciągnęło

zbliżenie się do księżnej i jej przedziwnego towarzystwa. Tak jest, uciekł przed tem niepojętem, dławiącem go czemś, co się około niej działo — i jeszcze przed widokiem małego Iwonka, o którym wbrew chęci i niezrozumiale dla siebie myślał coraz więcej i częściej od owego dnia, kiedy, dowiedziawszy się o jego chwilowej chorobie, poczuł mu się dziwnie i śmiesznie bliskim. Napróżno usiłował szydzić i wykładał sobie długo, cynicznie, iż niema żadnej pewności, że ten chłopak właśnie jego obchodzić cokolwiek powinien. Czuł jakąś śliską podłość takiego rozumowania, a nie chcąc myśleć inaczej, usiłował nie myśleć o tem wcale.

Niezawsze mu się to udawało. Były chwile, kiedy jasna główka dziecka o twardych, szarych oczach jawiła się w jego wyobraźni tak żywo, że całej siły woli potrzebował, aby ją z niej wyprzeć.

— Jest to zabawne, — mówił sobie — jak człowiek łatwo poddaje się sugestji i w następstwie pozwala fantazji weprzeć w siebie uczucia, jakich nie posiada i posiadać rzeczywiście nie może. Nie wiedziałem nic o istnieniu tego chłopca, nie podobał mi się, gdym go ujrzał, a teraz gotówbym uwierzyć, żem tęsknił za nim całe lata! Wystarczyło, że kobieta, mająca niegdyś na mnie wpływ przemożny, rzuciła mi w zręczny sposób jego imię...

Zresztą niewiele sobie pozostawiał czasu dla namyślania się nad temi rzeczami. Na szczęście nazbyt był zajęty i pochłonięty przeprowadzeniem swoich planów teatralnych w Zakopanem, których nie porzucił pomimo stanowczej odmowy Zaremby, na którego współudział początkowo liczył. Zrazu szło wszystko dobrze, ale wnet zaczął się spotykać ze śmiesznemi,

zaściankowemi trudnościami, mogącemi zniechęcić odrazu mniej odeń upartego człowieka. Ale on — prawie rad był temu. Trochę bawił się obserwowaniem tak zwanych „stosunków miejscowych", składających się przeważnie ze ślepych uroszczeń i małomiasteczkowych ambicyj, — trochę upierał się rzeczywiście, aby postawić na swojem i wbrew wszystkiemu rozwinąć tu swój sen o poświęcanym przybytku sztuki dramatycznej, łączącym w sobie wszystko, co najlepszego widział na Wschodzie i na Zachodzie, — a poza tem był zadowolony, że wogóle coś robi.

Ponieważ nie chciał, aby cała rzecz wyglądała na jego osobistą fantazję, lecz owszem pragnął nadać przedsięwzięciu pewne cechy społecznego czynu, któregoby on był tylko inicjatorem i poniekąd wykonawcą, dającym prócz myśli potrzebny kapitał do rozporządzenia — wypadło się porozumieć z miejscowemi „czynnikami miarodajnemi" i ludźmi dobrej woli. Tych pierwszych znalazł niespodziewanie wiele, drugich zato znacznie mniej. Tydzień czasu upłynął, zanim się wogóle wyznał, kto tu jest miarodajny, a kto nie. Zrobił przez ten czas mnóstwo błędów, które spowodowały, iż odpowiednie mnóstwo ludzi obraziło się na niego, gdy on nawet nie przeczuwał o co. Jeden były student z dziwnie kabłąkowatemi nogami i takimże nosem, o śmiesznem, z niemiecka brzmiącem nazwisku, przestał mu się nawet kłaniać, a za jego przykładem poszło dwóch lekarzy, jeden fryzjer, jeden pokątny nauczyciel i jeden człowiek niewiadomego zajęcia, ale tego samego wyznania.

Ostatecznie dowiedział się, że sprawa teatru zależy tutaj w pierwszym rzędzie od pewnego pana, nie piastującego wyraźnie żadnego urzędu ani nie wykonującego żadnego zawodu, nazwiskiem Jutra-

sinkiewicz, który sam wprawdzie nigdy w teatrze nie bywał, ale zato nosił stale kute górskie buty, spodnie po kolana i skórzany strażacki pas na zapiętej pod szyją bluzie, mówił dużo o obowiązku pracy spółecznej i był prezesem w połowie istniejących na miejscu towarzystw, zadowalając się w drugiej połowie skromną godnością wiceprezesa. Towarzystwa, w których zarządzie by nie figurował, uważał za przewrotne i zgubne.

Ale pokazało się, że oprócz tego pana ma jeszcze w tej sprawie głos przedziwnie wielki zastęp ludzi. Przedewszystkiem cała rada gminna *in corpore*. Następnie Związek szynkarsko-gospodarczy, do którego obok prawdziwych karczmarzy, restauratorów i hotelarzy wszelkiego pokroju, należało jeszcze sto kilkadziesiąt właścicielek pensjonatów. Potem cały szereg osób na miejscu wpływowych i dostojnych. Gdy Turski przeczytał ich listę, wedle najlepszych źródeł spisaną, ciemno mu się przed oczyma zrobiło. Ci wszyscy musieli się na myśl jego zgodzić, musieli mu dać swoje przyzwolenie, aby mógł przystąpić do wykonania dzieła tak, jak je sobie wyobraził.

Po raz pierwszy od dziesięciu lat uczuł, że energja jego słabnie i zamiary poczynają się plątać w głowie. Nareszcie jednego dnia po dwugodzinnej rozmowie o potrzebie idealnego teatru polskiego z pewnym rzeźnikiem, mającym wedle zasięgniętych informacyj poważne wpływy na miejscu i w okolicy, uczuł, że nie wytrzyma dłużej, jeśli nie odpocznie i na jakiś czas tych wszystkich ludzi z oczu nie straci. Spakował tedy walizę i przeniósł się w góry, do Schroniska nad Morskiem Okiem, z zamiarem spędzenia tam przynajmniej kilkunastu dni. Listów nie pozwolił posyłać za sobą, zwłaszcza że ostatni, jaki jeszcze w ho-

telu w Zakopanem otrzymał, był od Rogockiego, niezmiernie długi, cudaczny i nudny, a donoszący mu w dopisku o zamierzonym przejeździe do Zakopanego księżnej Heleny, której mąż posiadał tu niewielką na uboczu położoną willę.

W samem Schronisku niewiele znalazł spokoju. Tłumy ludzi przejeżdżały tu w każdy pogodny dzień na obiady z Zakopanego, wieczorami roiło się od powracających z gór turystów. Tęskniąc za samotnością, spędzał też prawie całe dnie w okolicznych lasach albo na stokach najbliższych, leżąc nieraz godzinami twarzą do słońca, z przymkniętemi oczyma i cichym na ustach uśmiechem. Krótki pobyt w Krakowie i Zakopanem zmęczył go moralnie więcej, niż lata walk i potwornych wysiłków tam na Wschodzie spędzone. Odpoczywał. Myślał najczęściej o rzeczach z ziemią, górami i niebem związanych, rzadko sobie o ludziach przypominając. Ten sposób życia był dla niego nowy i cieszył go. Wiedział, że usposobienie jego żywe niedługo mu w bezczynności wytrwać pozwoli, ale tymczasem było mu dobrze.

O księżnej nie myślał prawie zupełnie. Wprawdzie nazwisko jej obiło mu się parę razy o uszy, rzucone w obcem jakiemś towarzystwie w Schronisku: ktoś mówił, że pono do Zakopanego już przyjechała, ktoś inny opowiadał anegdoty o otaczających ją jak zawsze ludziach, ale Turskiemu, przelatywały te echa mimo uszu, nie poruszając go wcale.

— Wyleczyłem się zupełnie — uśmiechał się, — jeśli było co we mnie z dawnej choroby...

Naszła go zato w górach inna myśl niespodziewana. Poleski. Zbyt długo nie żył z nim już bliżej i nazbyt wiele śmierci w życiu widział, aby mógł być zrazu nad miarę poruszony faktem, że dawny jego

przyjaciel rozsadził sobie czaszkę z pięknie inkrustowanej, muzealnej krócicy, nie postarawszy się nawet o browning, znacznie odpowiedniejszy do takiego celu. Nie rozumiał zresztą tego czynu ani jego pobudek. Przeszedł więc nad smutnym wypadkiem do porządku dziennego w przypuszczeniu, że w życiu Poleskiego musiały być jakieś rzeczy, o których on nic nie wiedział i które go wkońcu nie obchodziły. Dopiero dnia pewnego, kiedy błądził samotnie w lasach podtatrzańskich, naraz postać starego, serdecznie niegdyś kochanego przyjaciela i śmierć jego tragiczna stanęły mu z dziwną uporczywością w świadomości i odtąd powracały do myśli aż nazbyt często.

Nie mógł się opędzić zwidziskom. W skalnych wycieczkach, których próbował, przypominając sobie dawne szalone przejścia w tych górach, doznawał nieraz niespodziewanie wrażenia, że Poleski jest gdzieś blisko obok niego; parę razy nawet zdawało mu się, że słyszy jego głos, wołający nań z za załomu skały, z leśnej gęstwy, albo — najczęściej — z bezdennej u nóg przepaści... Stawał wówczas i nasłuchiwał, śledził dokoła oczyma poto tylko, aby za chwilę z pogardliwem ruszeniem ramion iść dalej.

Przypominała mu się stara mądrość wschodnia, która uczy, że człowiek formy wcielenia swego doszczętnie porzucić nie może, dopóki nie spełni zadania z nią związanego — i lęk mimowolny ogarniał go na myśl, że Poleski snać ma mu jeszcze coś do powiedzenia, czegoby on może wolał nie słyszeć. Niebardzo wierzył owej mądrości, ale zrozumiał, że śmierć garbatego towarzysza jego młodych lat miała jakiś niepojęty związek z nim samym... z faktem jego do kraju przybycia — — ?

Nie starał się rozwiązywać zagadki, ale też nie

odpędzał już myśli o Poleskim, oczekując jakby z zabobonną nadzieją, że przyjdzie jakaś chwila, w której usłyszy głos zmarłego przyjaciela, i da mu poznać to, czegoby napróżno logicznem rozumowaniem szukał.

Ostatecznie z tem wszystkiem szły mu dni spokojne, ciche i jasne, a szły tak szybko, że nawet nie spostrzegł, kiedy krótkie lato górskie poczęło się nakłaniać, wcześniejsze zachody słońca stawały się więcej czerwone, a na wyższe hale zaciągała się nieznacznie jakaś rdzawa złotawość, — a tam wysoko zimne ranne rosy w pewnych dniach srebrzysty szron zastępował, niknący rychło w ciepłych promieniach wstającego słońca. Żleby jeno zacienione i osłonięte skałami wilgotne wądoły srebrzyły się aż do popołudnia, nikłym oparem mgły nakryte...

Była już połowa sierpnia.

VIII

Lekkiem wiatrem wieczornym pędzona szła z jednego końca stawu po drugi fala drobna, w której łyskał i wraz wodą o nadbrzeżne kamienie rozbijał się księżyc jeszcze niecały, jawiący się gdzieś w szczerbach pociemniałej grani między Rysami a Mięguszowieckim Szczytem. Na skalnych upłazach od Czarnego Stawu był cień; słychać było jeno łoskot wodospadu i szum sączącego się niżej po kamieniach potoku, z szumem lasu przycichym złączony.

Turski siedział na głazie pod stokiem Miedzianego, z końcami stóp prawie już wodą stawu oblanemi. Myśli miał jak gdyby zmiażdżone tem potwornem cielskiem Mięguszowieckich Szczytów, co wprost z toni po przeciwległej stronie wyrastając, niemal cały widnokrąg oczom jego zabierały. Spuścił wzrok ku wodzie, nie mogąc znieść tego czarnego ciężaru na źrenicach i usiłował ścigać błysk każdej fali, w pewnem miejscu na powierzchni stawu się rozpalającej i gasnącej tuż około jego stóp...

W schronisku poza nim jasno było, gwarno i rojnie, ale zdawał się nie słyszeć tego tętna banalnego życia, co biło o paręset metrów odeń: objęła go noc tatrzańska, szczytów i nabrzmiałym rzeźwą wilgocią topniejących czarnem zwierciadłem stawu pod księżyc błyszcząca, zadumana w szumie drzew i wód, duszna

chwilami żywicznym zapachem lasów i wyziewami mokradeł, borówką porosłych — a zaś odświeżona wiatrem, spadającym ze gdzieś pod niebem resztek wiosennego śniegu.

Myśli jego roztapiały się w tej nocy, jak owe do duchów podobne zarysy smreków nadbrzeżnych i limb, pnących, się po zboczu na piętro ku Czarnemu Stawu ponad szumiącą w grubym cieniu wodą. Szedł za niemi okiem, zmęczonem od ustawicznego łyskania fali; przeczuwał raczej niż spostrzegał na ciemnem tle ciemniejsze, w wietrze ruchliwe plamy tych limb sędziwych z powyginanemi burzą, połamanemi śniegiem konarami. Tam ponad niemi, wiedział, jest już tylko pustka kamienna i głęboka, zimna, czarna woda, zastygła pod skrzesanemi wprost w jej toń ścianami szczytów granitowych...

Mgły się zaczęły kłębić wgórze ponad Czarnym Stawem, szarawe, ledwo widoczne, wysuwały się wzwyż i niknęły, uderzone wiatrem, co od Rysów spada. Jeden kłąb oderwał się w dole od potoka poniżej wo dospadu i szedł wgórę po limbach, po głazach, podobny zdaleka w nocy do jakiejś niekształtnej, olbrzymiej, przygarbionej postaci, na piętro skalne wstępującej... W pustać straszliwą, na czarną, wśród głazów i nocy zagubioną wodę...

Turski w niezrozumiały dla siebie sposób przygnębiony był dzisiaj przez cały dzień – i drażniło go to, że nie umiał znaleźć powodu tego przygnębienia. Dzień był piękny i pogodny; słońce tylko świeciło może nieco mniej jaskrawo niż zazwyczaj, jak gdyby leciuchnym oparem przysłonięte, który bladawą barwę nadawał całemu firmamentowi. Zachód świecił nad Tatrami długo niegasnącą, czerwono-żółtą łuną, a gdy wieczór zapadł i gwiazdy zaczęły błyszczeć

z firmamentu niespodziewanie jasno, jakby ku ziemi zbliżone, przygnębienie całodzienne Turskiego przeszło wprost w niepokój jakiś, z którym nie mógł sobie dać rady...

Samotność uspokoiła go nieco, przynajmniej zewnętrznie, ale czuł, że w powietrzu wisi coś dziwnego, co nerwy jego poprostu fizycznie wprawia w napięcie nadmierne, aż bolesne. Szczyty stały przed nim ciche, groźne, dziwnie oczom bliskie, jakby na coś niezwykłego oczekujące. Opary mgły, snujące się w dole, zniknęły, ale zato gdzieś z nad Żabiej Przełęczy, tuż pod księżycem, wysunął się obłok białawy i trwał nieruchomie z brzegami światłem miesięcznem przepojonemi. Uderzenia wiatru, idącego z gór, stawały się coraz częstsze i chwilami, miast dotychczasową świeżością, biły w twarz jakby ciepłym, niepokojącym oddechem... Miało się wrażenie, że to z poruszonej piersi skalnych olbrzymów ten życiem ciepły wiew zalata...

Niespodziewanie przyszedł Turskiemu na myśl Poleski. Zwidziało mu się zaraz, że cień jego gdzieś po wodzie stawu się przewija, wpada na brzeg i z cichym, zaledwie, zaledwie dosłyszalnym szelestem przemyka wśród gęstych zarośli czarnych drzew i topi się znów w bujnych krzakach nadwodnych. Naraz poznał, że jest on tuż za nim, na ścieżce, nieopodal biegnącej, — bliżej, na kamieniu, o który się plecami opierał, w zwieszającej się nad jego głową gałęzi kosówki.

Nie odwracał twarzy. Wiedział, że zwróciwszy się, spojrzy w pustkę i rozwieje zwidzenie, całkiem realne w tej chwili. Zasunął dłonie na twarz i oczy i czekał.

Wiatr szeleściał za nim w bujnych krzakach kosodrzewiny. Usłyszał w wietrze coś, jak gdyby szloch.

— Mów... — szepnął mimowoli ruchem warg raczej, niż głosem.

— Strzeż się, Romek! — mówiła za nim pustka.

— Czego? Czego mam się strzec?

Wiatr płakał znów w gałęziach kosówki.

— O, o, o! Dlaczegoś mi ty zostawił te listy? I czemuś je zabrał potem!? — skarżyło się coś poza Turskim, czy też w nim samym może...

— Listy!

Patrzył z wytężeniem we własną duszę; zaczynał z przerażeniem rozumieć...

— A! Więc to tak? Więc tak...

Nagła jasność świadomcści pokazała mu jakby w jednym błysku niedocieczony dlań dotąd związek wypadków...

Zaśmiało się coś.

— Ale i ty wróciłeś! Ha, ha, haaa!...

— Tadzik! — krzyknął głośno i zerwał się na równe nogi.

Miał moment złudzenia, że pochwyci cień za widmowe ręce i zmusi go, aby mówił wyraźnie...

Cisza była znów i pustka dookoła.

Jeno tam gdzieś na górskim stoku ponad nim kołysało. się nikłe światełko, ginęło i ukazywało się znów, skacząc i zbliżając się wyraźnie ku niemu.

Zaparł dech w piersiach. Coś jak gdyby żwir zaskrzypiał na ścieżce, drobne kamyki potrącone spadały niżej, chwilami dolatywał metaliczny stuk...

Turski nasłuchiwał, — potem zaśmiał się do siebie.

— Spóźnieni turyści...

Wkrótce słyszał już młode, wesołe głosy przechodzących o kilkanaście metrów ponad nim ludzi:

— Zgaś latarkę. Szkoda świecy.

— Słusznie. Jesteśmy na ścieżce. Schronisko jak na dłoni.

— Głodny jestem jak wilk.

— Nie dziwota...

— Ale wiesz, grań była cudowna!

— Bagatela! Pierwsze przejście w jednym dniu... Od Rysów przez Mięguszowieckie aż po Czubrynę!

— Wzięło się nareszcie tę wściekłą ściankę od Wyżniej Żabiej Przełęczy! Dość sobie na niej ludzie zębów i paznokci nałamali.

— Chodź prędzej. Wiatr idzie.

— Halny...

Przeszli w cieniu, stukając kutemi butami po kamienistej ścieżce.

— Wiatr halny — powtórzył Turski i uśmiechnął się, jakby z ulgą.

Więc to jest cały powód jego rozdrażnienia dzisiaj! Zbliżanie się tego wiatru duszącego, którego przyjście przeczuwają na kilkanaście godzin przedewszystkiem zwierzęta, dzieci i ludzie nerwowi, podobnie jak wianie sirokka we Włoszech.

Obrócił się znowu twarzą ku Rysom. Księżyc schował się już za skłębiony strzęp chmury, stający nieruchomo dęba u Czarnego Szczytu Mięguszowieckiego; woda w stawie przygasła i sczerniała, — słychać było jeno jej plusk o nadbrzeżne głazy, jakby przyśpieszony, niespokojny, namiętny. Była krótka chwila ciszy i naraz zatrzęsło się wszystko naokoło. Woda plusnęła gwałtowniej, zaskrzypiały trące się o siebie konarami drzewa, po kosodrzewinie jak gdyby przeszedł tabun niewidzialnych, rozszalałych rumaków...

Ciepły, nieposkromiony wiew szarpnął Turskiego za odzienie. Wgórze zarechotało coś i jękło — po

żlebach przepaścistych rozległ się huk, łomot i gruchot, jakby turnie lawiną kamieni miały się zsypać wdół...

I znowu cisza pod błyszczącemi niespokojnie na niebie gwiazdami.

Turskiemu nagle zrobiło się chłodno. Powoli, ze zwieszoną głową, skacząc przez głazy nad brzegiem wody, zwrócił się ku schronisku.

Gdy wchodził, uderzyło go jaskrawe światło na werandzie i gwar zmieszanych głosów.

Uprzedzili go dwaj zapóźnieni młodzi turyści i stali teraz na środku dużej, oszklonej werandy, otoczeni kołem dopytujących się ich ciekawie o przejście taterników. — Wśród ludzi młodych mieszali się także brodacze, nierzadko o siwiejących włosach, wszyscy przeważnie w zniszczonych manczesterowych kurtach, z czerstwemi ogorzałemi twarzami... Po przez ich głowy dojrzał Turski siedzących gdzieś w głębi „ludzi z miasta" w wytwornych, niby sportowych ubraniach, z białemi rękami, odbijającemi zabawnie od twardych, spękanych, pokaleczonych na skałach dłoni taterników.

U niektórych z grupy, otaczającej przybyłych turystów, znać było tylko żywe i szczere zainteresowanie zdobyciem niepokonanej dotąd ścianki na zachód od Żabiego Konia, z oczu innych wyglądał mimowolny żal, że „problem" taterniczy został bez ich współudziału „rozwiązany", dwóch czy trzech poglądało na zdobywców ze źle ukrytą zawiścią, powątpiewając półgłosem o dokonanym czynie, bo „oni prawdopodobnie ściankę obeszli od południa, co ostatecznie każdyby potrafił".

Młodzi nie słyszeli tego. Promienieli dzikiem, taterniczem szczęściem, młodością, zdrowiem. Jeden z nich, jasny, szczupły blondyn o mięśniach ze stali,

z rozpiętą na uznojonych piersiach wełnianą koszulą, nie miał nawet czasu zrzucić z pleców worka; odczepił jeden rzemień, a drugi trzymał jeszcze na ramieniu i opowiadał z żywą gestykulacją, jak w wąziuchnej rysie na końcach palców u rąk dźwigać się musiał wzwyż, nie wiedząc, czy dźwignąwszy się bez możliwości powrotu, dosięgnie znikomego chwytu, widniejącego ponad nim. Mówiąc to, wydłużał mimowolnie swą postać, unosił się na końcach stóp i zakrzywionemi jak szpony palcami dłoni jak gdyby wyszukiwał punktu oparcia gdzieś na powietrzu.

Drugi turysta zdjął worek i ocierając chustką spocone czoło, gryzł jakąś schwyconą na prędce ze stołu bułkę i z pełną gębą potakiwał szczerym uśmiechem i rozognionemi oczyma opowiadaniu towarzysza.

Turski, stojąc na uboczu, słuchał przez jakiś czas, zajęty nietyle szczegółami opowiadania, najeżonego technicznemi, taterniczemi wyrażeniami, jak raczej samym sposobem, w jaki ci chłopacy mówili: znać było, że cała duszą ich krąży jeszcze tam na skalnych wyżynach i nie umie odczuć nic ważniejszego w tej chwili nad rzut jakiś nadzwyczajny ponad przepaścią lub wspięcie się po ścianie, dla orłów na pozór jedynie dostępnej. To, co w tym dniu zrobili, było rzeczywiście ponad ludzką miarę zuchwałe, ale z ust opowiadającego brzmiała tylko rozszalała uciecha, że tego dokonali, bez śladu jakiejś chełpliwości.

Naraz Turski uczuł, że ktoś dotyka ręką jego ramienia. Stał poza nim Wierzbic.

— Pan tutaj? — wyrwało mu się z ust nie bez odcienia niechęci.

Malarz uśmiechnął się.

— Przyjechaliśmy pod wieczór wraz z księżną.

i tam dalej automobilem, który Rohityn kupił przed trzema dniami całkiem rzeczywiście.

— A! Więc i księżna tu jest.

— Owszem. Siedzi z towarzystwem w tamtym końcu werandy. Zobaczyła pana i przysyła mnie z zapytaniem, czemu się pan z nią nie wita.

— Owszem. Przywitam się.

— Doskonale. Tymczasem wypełnić mogę drugie polecenie. Mam zaprosić do jej stołu tych dwóch młodych bohaterów, ale koniecznie natychmiast, dopóki są brudni, podrapani, okryci potem i czerwoni na gębie. Czy pan nie wie przypadkiem, jak się ci wielcy ludzie nazywają?

Turski nie wiedział.

— Mniejsza o to. Przedstawię im się sam *lege artis*. Mam nadzieję, że mi wyjawią sławne nazwiska.

Młodzi taternicy byli wielce zakłopotani zaproszeniem. Blondyn, który się przedstawił Wierzbicowi jako Borzycki, spojrzał pytająco na towarzysza.

— Jak myślisz, Makuch?

Makuch nic nie myślał. Zjadał właśnie czwartą bułkę i był zły, że jakiś „ceper“ wtrąca się w ich ściśle taterniczą rozmowę.

Borzycki zwrócił na Wierzbica nieporadne spojrzenie błękitnych oczu. Cały zapał i dumna pewność siebie zgasły w nim teraz.

— Nie wiem, co panu odpowiedzieć... Jesteśmy brudni, trzeba się umyć, przebrać...

— Chodźcie panowie tak, jak jesteście.

— Wielki to dla nas zaszczyt; ale...

— Ale my jesteśmy w swoim towarzystwie i nie mamy zamiaru zawierać w tej chwili znajomości — rąbnął Makuch, połknąwszy szczęśliwie ostatni kęs

suchej bułki, poczem zaczął wołać na kelnera, aby mu podał piwo i „małą wieprzową“ z kapustą.

Borzycki poczerwieniał, czując niegrzeczność odpowiedzi swego towarzysza.

— Proszę pana nie mieć nam za złe. Zmęczeni jesteśmy naprawdę i głodni, ale gdy mnie pan raczy przedstawić księżnej, będę niezmiernie rad... przynajmniej na krótką chwilę...

Turski witał się już z księżną i Rohitynem oraz kilku nieznajomemi osobami, siedzącemi przy długim stole, kiedy Wierzbic zbliżył się z Borzyckim, usiłującym przez drogę na gwałt zapiąć koszulę pod szyją na ś. p. guzik, który się był urwał.

— Połowę zadania spełniłem — rzekł Wierzbic, przedstawiając, — pan Borzycki.

Księżna podała mu długą, białą, wypieszczoną dłoń. Nie uszło uwagi Turskiego, że przeszedł ją lekki dreszcz, gdy młode, spalone całodziennym trudem usta chłopca dotknęły jej ręki. Spojrzał mimowoli na Wierzbica: malarz miał zły uśmiech na wargach.

Tymczasem Borzycki jasnemi oczyma dziecka patrzył w twarz księżnej. Zakłopotanie chwilowe ustąpiło, — w naturalnym, zręcznym ruchu, jakim się jej skłonił, znać było powściągliwą swobodę towarzyską młodzieńca, umiejącego zarówno nosić na sobie frak jak teraz manczesterową bluzę turysty. Turski, stojąc nieco na uboczu, przyglądał się z przyjemnością jego smukłej, sprężystej postaci, mogącej się zczasem w kwiat męskiego piękna rozwinąć.

Księżna niedługo z nim rozmawiała. Drażniło ją to widocznie, że Borzycki wciąż z niezmąconym, rzecby się chciało: naiwnie niewinnym spokojem patrzył w jej oczy, nie poddając się odurzającemu urokowi

jej kobiecości. Wydęła usta wzgardliwie i po kilku uprzejmych słowach zaczęła rzucać roztargnionemi oczami wokoło.

— Ach tak, turystyka... To bardzo piękne... Znam nawet blisko jednego z najdzielniejszych taterników u nas...

Borzyckiemu zaświeciły się oczy.

— Czy można księżnę zapytać o nazwisko?

— Owszem. Golimski.

— Golimski? Golimski? Ten bła — —

Urwał, przypomniawszy sobie na czas, że nie jest w towarzystwie kolegi Makucha.

— Przepraszam księżnę, ale to nie jest wogóle taternik poważny, choć dużo lubi podobno mówić o sobie. Łazi wprawdzie trochę po górach...

Księżna okazywała widoczne znudzenie. Borzycki snać to spostrzegł, gdyż powstał z miejsca:

— Księżna raczy darować...

Ożywiła się naraz i uśmiechnęła powabnie.

— Bardzo, bardzo mi było przyjemnie! Radabym usłyszeć coś więcej o tych waszych szalonych przeprawach...

— Może kiedyś... jeśli to pani nie nudzi...

Była znów roztargniona.

— Owszem, proszę. Niech mnie pan odwiedzi.

Pożegnała taternika lekkiem, troszeczkę wyniosłem skinieniem głowy i zwróciła się do Turskiego:

— Pan nie siada z nami?

— Usiędę, jeśli pani sobie życzy.

— Pozwalam.

Na stole stały flaszki szampana, a z błogiej miny Rohityna można było poznać, że on im się tu kazał pojawić. Snać korzystał też z nich najwięcej, bo poczciwe jego oczy bez wyrazu zachodziły już jakąś

przyjemną mgłą, a na ustach kwitnął mu uśmiech dobroduszny i łaskawy. Nawet za odchodzącym Borzyckim patrzał z życzliwością.

Z mężczyzn było jeszcze przy stole dwóch młodych ludzi o niewyraźnych, choć mocno poprawnych fizjognomjach i trzeci, pono aktor, wszyscy w jasnych tenisowych strojach, o ile możności jak najmniej dla górskiej wycieczki odpowiednich.

Turski patrzył na kobietę, siedzącą obok księżnej. Nie pierwszej już młodości, o rudych utlenionych włosach i dużych, czarnych, jak gdyby zmęczonych oczach w subtelnej, szczupłej twarzy — z uprzejmym, zastygłym nieco uśmiechem na przywiędłych wargach błądziła wzrokiem po obecnych, zdając się właściwie nie widzieć nikogo. Mówiono do niej „Pani Ireno", nazwiska Turski nie dosłyszał. Na pytania odpowiadała żywo, ale z widocznem roztargnieniem, sama natomiast nie rozpoczynała wcale rozmowy.

W wyglądzie jej i trochę dziwnem zachowaniu było coś niepokojącego. Zdawało się Turskiemu, że musi ona odgrywać w tem śmiesznem towarzystwie jakąś rolę, której narazie nie mógł wyrozumieć.

Z zamyślenia wyrwał go głos księżnej:

— A pan co o tem sądzi?

— O czem?

Zaśmiano się.

— Zgoła nieprzytomny! Robi pan konkurencję Irze!

Pani Irena zwróciła się ku księżnej z najprzyjemniejszym w świecie uśmiechem:

— Przepraszam cię, moja droga. Ja zawsze wiem, co mam o czem sądzić!

Turskiemu zdawało się, że w głosie jej zabrzmiał jakiś ton nienawistny i kłujący, prawie groźny —

jednocześnie zaś oczy jej duże wpatrzyły się w Helenę z głębokim niekłamanym, miłosnym niemal zachwytem.

— Dziwni ludzie, dziwne kobiety — pomyślał z niesmakiem, który nagle zajął w nim miejsce ciekawości.

Wierzbic nachylił się doń przez stół.

— Idzie o to, że księżna pani — powiedział ten tytuł z naciskiem — upiera się wracać na noc, to jest na resztę nocy do Zakopanego, gdy my proponujemy przespać się w schronisku... Jest kilka wolnych pokojów... A tam na dworze wichura. Słyszy pani?

Rzeczywiście wicher targał węgłami domu i trząsł całą werandą tak, że zdawało się chwilami, iż roznniesie drewnianą budowlę jak pęk chróstu na drodze porzucony. Gdy wśród obecnych zrobiła się na moment cisza, słychać było, jak trzeszczą wiązania dachu. Szyby w dużych oknach dźwięczały cicho i żałośnie przy każdem silniejszem uderzeniu.

Księżnej rozdęły się nozdrza, jak chrapy u rasowego konia, który step poczuje przed sobą.

— Lubię to — rzekła jakby do siebie.

A potem zaraz dodała żywo:

— Muszę wracać. Już postanowiłam. Zresztą Iwo byłby niespokojny.

— Synek jest z panią? — zdziwił się Turski.

— Tak — odrzekła powoli, cedząc wyrazy. — Przyjechał z ochmistrzynią przed kilku dniami...

Powstała nagle.

— Jadę natychmiast. Państwo tutaj zostańcie. Pan mi da swój samochód? — zwróciła się do Rohityna.

— Pod warunkiem, że mi panią wolno będzie odprowadzić!

Zaczęto ją prosić, aby pozostała jeszcze, wszak

towarzystwo tak dobrze się bawi i jest tak przyjemnie. Choćby godzinę, choć pół godziny tylko!

Usiadła niechętnie — i natychmiast roześmiała się swobodnie, wyzywająco:

— Hej, wina jeszcze! Musimy oszaleć. Na przekór panu Turskiemu, który jest posępny. Tylko pan niech nie pije za wiele, panie Ludwiku, wszak mnie ma pan odprowadzić.

Rohityn przysiągł, że nie będzie pil i jakoby dla otrzeźwienia wychylił pół szklanki koniaku, który trzeba było koniecznie zapić znów szampanem. Język mu się już dobrze błąkał w gębie, gdy po chwili przysiadł się do Turskiego.

— Co pan myśli o tej bestji? — zaczął poufale.

— O jakiej bestji!?

— No, o tej czarownicy, co siedzi przy Helenie...

— Przy księżnej...

— Naturalnie. Miałbym wielką ochotę skręcić jej kark.

Turski miał znowu ochotę poradzić mu, aby to z własnym karkiem zrobił, ale zamiast to powiedzieć, skorzystał ze sposobności i zapytał:

— Kto to jest właściwie?

— Licho ją wie. Wdowa jakaś, czy coś podobnego. Przyjechała tutaj moim własnym samochodem, który przedwczoraj kupiłem — za gotówkę!

Turskiego oczy spotkały się z oczyma rudowłosej, jakby w przelocie.

— Bardzo ciekawa kobieta... — rzekł dość obojętnie.

Rohityn ryknął nieprzystojnym śmiechem.

— Cóż ona pana obchodzi, kiedy się pan kochasz w księżnej Helenie!

Pierwszym odruchem chciał Turski chwycić śmie-

jącego się właściciela automobilu za kark i wytrzeć jego buzią rozlane na obrusie wino. Pohamował się jednak. Wzgarda bezbrzeżna rozprężyła mu mięśnie.

— Cóż pan możesz o tem wiedzieć? — szepnął prawie smutno.

Rohityn był rozbrajająco pijany. Z natarczywością człowieka mało przytomnego zarzucił rękę na poręcz krzesła Turskiego i plótł, nie zważając zupełnie, jakie słowa jego robią na słuchaczu wrażenie. Zresztą Turski prawie nie słuchał. Obijały mu się o uszy obleśnie i nieszczerze bełkotane zapewnienia przyjaźni, zmieszane bez ładu z niesmaczną chwalbą, co to on, Rohityn, za majątki posiada, i że właściwie nic w życiu robić nie potrzebuje, bo „ojciec za niego pracował". Potem naraz rozczulił się i zaczął prosić Turskiego, aby mu przebaczył, iż on mu „zabrał szczęście jego życia". Przecież on wie, że Turski kochał się w księżnej Helenie i kocha się w niej dotąd rozpaczliwie...

Turski zwrócił ku niemu powoli wygoloną, bronzową od słońca i wichru twarz i zaczął mu się pilnie przypatrywać. W oczach miał jakiś zimny i groźny spokój. Rohityn zbyt był słowami swemi zajęty, aby to zauważyć. Odetchnął dumnie i nabrawszy w pierś powietrza, począł go nauczać, nie miarkując już głosu:

— Pan jesteś stracony, panie Turski! Pan się zbyt długo kocha w jednej kobiecie. Ja, panie, mam do kobiet szczęście poprostu szalone, ale umiem żelazną ręką... A gdy która nie jest dla mnie dobra, to poprostu: won! i przepadło... Ho, ho!

Księżna spostrzegła snać oczy Turskiego i nerwowy, ostatkiem siły woli powstrzymywany ruch jego muskularnej dłoni.

— Panie Ludwiku...

— Co?

Turski spojrzał mimowoli w oczy księżnej i zdumiał się, niemal przestraszył, nie spostrzegłszy w nich żadnego błysku oburzenia. Patrzyła na Rohityna spokojnie i uważnie.

— Niech tu pan przyjdzie. Tak. Proszę usiąść koło mnie.

Rohityn, rzuciwszy triumfujące spojrzenie na Turskiego, spełnił prośbę łaskawie.

Ale teraz księżna zaczęła go dręczyć przedziwnie i celowo. Zajmując go niby ciągle, obchodziła się z nim w widocznie wzgardliwy sposób, a gdy do niej mówił, zwracała się się wtenczas z najpowabniejszym uśmiechem do kogoś innego. Ci inni promienieli, zwłaszcza aktor był w siódmem niebie. Był przekonany, że zrobił na księżnej wrażenie i usiłował przybrać jak najbardziej zdobywczy wyraz na pyzatą, ogoloną twarz. Był zresztą młody, zarozumiały, źle wychowany, w miarę głupi i w miarę przystojny.

Wierzbicowi dostało się również kilka przyjemnych słów i długich spojrzeń, snać jakieś dawne historje przypominających. Znać było, że poddaje się ich urokowi, choć nie chce tego. Pobladł; w sarkastyczny uśmiech wygięte usta drżały mu nerwowo — spojrzenie zachodziło smutną mgłą...

Tylko na Turskiego nie zwracała uwagi — jakby z umysłu. Umożliwiło mu to zbliżenie się do pani Ireny.

— Pan mi chce coś powiedzieć? — zagadnęła go, gdy tylko znalazł się koło niej.

— Nie, pani. Chciałem tylko z panią rozmawiać.

— A, tak. Rozmawiać. Widocznie to, co pan ma do powiedzenia, powie pan poźniej.

— Bardzo żałuję, że pani rzeczywiście nie mam nic do powiedzenia.

Zaśmiała się.

— Czyż to możliwe? Wszyscy mi mają coś do powiedzenia...

Było coś złego w tych obojętnych słowach, a jednocześnie oczy jej stały się naprawdę bezbrzeżnie smutne i w jakąś dal zapatrzone. Ale natychmiast zmieniła ton i zaczęła z ożywieniem trochę nienaturalnem opowiadać Turskiemu o swojej głębokiej, serdecznej przyjaźni, ba! miłości do księżnej Heleny, z którą znają się oddawna, od bardzo dawna, choć rzadko mają sposobność być dłużej z sobą. Przy sposobności dowiedział się Turski, że nie jest wdową, owszem ma męża gdzieś na Kaukazie czy Uralu, którego bardzo kocha, ale „tak się jakoś złożyło, że nie żyją z sobą".

Mówiła to wszystko żywo, z uśmiechem, wodząc roztargnionemi oczyma po sali i — jak Turski zauważył — z uszyma ciągle i podstępnie napiętemi na każde słowo księżnej.

— Poco ta kobieta tak się męczy? — pomyślał. — Wszakże nie obchodzi ją zgoła nic z tego, co mówi. Co ją jednak obchodzi? Czemu tu siedzi?...

Powiódł okiem dookoła. Rohityn siedział ponury, usiłując rzucać na księżnę demoniczne spojrzenia, właściwie jednak był podobny do obitego psiaka i pił zapamiętale. Dwaj młodzi kawalerowie zanosili się śmiechem z powodu jakiegoś dowcipu, — aktor przymilał się głupio i obrzydliwie księżnej (patrzącej teraz na niego z drwiącym uśmiechem w lekko zmrużonych oczach), — ciągle w przekonaniu, że robi na niej potężne i upoważniające do słodkich nadziei wrażenie.

Wzrok Turskiego skrzyżował się z oczyma Wierzbica.

— A co? Czy nie mam słuszności? — mówiły te oczy zapamiętałe, szydercze i bezbrzeżnie smutne zarazem.

Zupełnie mimowoli skinął Turski głową potakująco i uczuł, że rumieniec na twarz mu występuje.

Zawstydził się i spojrzał na panią Irenę. Ale ona rumieńca jego nie widziała. Z rozdętemi nozdrzami i wyrazem jakiejś djabelskiej radości w oczach patrzyła na księżnę i jej nawpół pijanych, ordynarnych, samczo podnieconych adoratorów.

Turski uczuł, że tego dłużej nie wytrzyma. Inną znał księżnę Helenę przed laty. To, co tu widział, było jakiemś wyzywającem pokalaniem się, jakąś ohydą bez miary i sensu. Wolałby widzieć tę kobietę przecudną w szalonej orgji, — nagą — w szatańskiem rozpasaniu, niż w tym tanim triumfie, wśród tanich wielbicieli, z uśmiechem taniego zadowolenia na dumnych niegdyś ustach.

— Tadzik, Tadzik! Czyż to było warto? — szepnęło w nim coś i załkało — a jednocześnie przejmujący, fizyczny niemal ból ścisnął go za piersi.

Rozległ się stuk i brzęk. To Rohityn bez żadnego widocznego powodu rzucił flaszką w duże okno werandy.

Młodzież zaśmiała się pijacko — Wierzbic z niesłychaną uprzejmością podał mu drugą butelkę.

— Proszę. Jeszcze tamto okno jest całe — rzekł.

— Co pan robisz? — zawołała księżna po jednym momencie milczenia.

Rohityn wstał i starając się trzymać prosto na nogach, wlepił „demoniczne" oczy w księżnę. Odpowiedziała mu twardem, nad wyraz wzgardliwem spojrzeniem. Turskiemu zrobiło się niemiło; czuł, że może przyjść do zupełnie karczemnej sceny. Rohityn mełł jakiś wyraz na zębach, jakby nie mogąc go z ust wyrzucić — nabrzmiałe krwią żyły wystąpiły mu na karku i skroniach. Aktor przezornie usunął się w kąt

— pani Ira zaśmiała się zcicha, pochłaniając Rohityna nadmiernie rozszerzonemi źrenicami.

— Lutek...

Turski nie był pewien, czy to księżna szepnęła to zdrobniałe imię, czy też jeno złudzenie mu je w ucho rzuciło. Zobaczył tylko, że usta jej zlekka rozchylone wysunęły się nieco naprzód, a ciężkie powieki z długiemi rzęsami opadły do połowy źrenic.

Rohityn zatrząsł się i z rykiem płaczu upadł nagle na kolana przed jej nogami.

— Niech się pani na mnie nie gniewa! Ja już naprawdę nie mogę...

— Wstydź się pan. Proszę wstać natychmiast!

— Nie wstanę, dopóki mi pani nie przebaczy! Ja dla pani...

Porwał szklankę ze stołu i gruchnął się nią w czoło aż okrwawione szczerby prysnęły dokoła.

— Ja dla pani... — powtórzył i czerwoną od posoki głowę chciał skłonić na jej kolana.

Zerwała się.

— Jesteś pan ohydny. Proszę mnie puścić

— Księżno!

Uśmiechnęła się naraz z łaskawą pobłażliwością.

— Czas już na mnie — rzekła, zwracając się do obecnych, — muszę jechać do domu. Dobrej nocy państwu życzę.

I on już stał na nogach.

— Ja panią odprowadzę! Wszak mi pani przyobiecała...

— Nie. Jesteś pan nazbyt pijany.

— Ale zaręczam, księżno!... Zresztą nie mogę puścić szofera samego... W taką noc...

— Ach!... W takim razie ktoś z panów będzie nam jeszcze towarzyszył. Sam na sam z panem dziś nie pojadę.

Spojrzała po obecnych, a widząc snać, że ze wszystkich Turski jeden nie miał ochoty jej towarzyszyć, wyciągnęła rękę ku niemu.

Skłonił się jej w milczeniu, czując, że nie może odmówić.

— Umyj się pan z krwi — rzuciła Rohitynowi, który wyglądał rzeczywiście okropnie z czerwonemi smugami, płynącemi mu po oczach i nosie, aż na strzyżone wąsy.

On jednak patrzył na Turskiego.

— Pan z nami nie pojedzie!

— Pojadę, panie drogi, gdy księżna sobie tego życzy!

— Automobil jest mój!

Turski miał ochotę powiedzieć, że go może w tej chwili kupić od niego, ale nie chcąc zaostrzać niesmacznej sprzeczki, skinął na służącego.

— Proszę zawołać waszego szofera i niech zakładowy samochód będzie za kwadrans gotowy.

Księżna — już w płaszczu — wmieszała się.

— Nie potrzeba. Automobilem pana Rohityna ja dziś rozporządzam — wszak tak? Proszę pana.

Podała ramię Turskiemu.

W otwartych drzwiach werandy rzucił się na nich odrazu wiatr, jak zły zwierz, czyhający jeno na ich wyjście. Woal księżnej zatrzepotał się gwałtownie na powietrzu i musnąwszy Turskiemu twarz, wionął nań duszącą falą zapachu jej włosów. Turski usunął się ruchem trochę niechętnym i spojrzał na księżnę. Stała na najwyższym stopniu schodów, w lekkim czarnym płaszczu, w małym czarnym kapelusiku z czarnym woalem na czarnych włosach. Wyprostowana, nie-

ruchoma, podając twarz smagającemu ją wichrowi, patrzyła jakimś dalekim wzrokiem na góry, przygniecione potwornym kłębem trwających na nocnem niebie czarnych chmur. Usta jej wpół otwarte piły wiatr; pierś wznosiła się chciwie za każdym oddechem.

— Czy to ta sama kobieta? — pomyślał.

Za nim ozwało się skomlenie Rohityna, który, wytrzeźwiony nagle, wyszedł wraz z nimi, aby obudzić szofera.

— Księżno...

— Czego pan chcesz? — rzekła, jakby zbudzona i nie czekając odpowiedzi, poczęła schodzić ze schodów, kierując się wprost ku stojącemu nieopodal samochodowi.

Rohityn szedł za nią.

— Księżno, — błagał jeszcze, pomagając jej wejść na stopień — ja będę posłuszny... Bóg świadkiem, że trzeźwy jestem.

— O co panu chodzi?

— Obiecałaś... — szepnął głosem dziecka, dławionego przez łzy. — Obiecałaś... dziś ze mną... Helu!

Zmarszczyła brwi. Szybkim rzutem oka poszukała w cieniu Turskiego.

— Proszę, niech pan siada, panie Romanie. Tu, obok mnie. Panie Ludwiku, pan na przedzie. Prędzej.

Rohityn nie wsiadł. Zacisnął tylko zęby tak, że w świetle powozowych latarni widać było skurczone mięśnie żuchw... Wolnym ruchem oparł dłoń na kierownicy i zatrząsł się naraz jak w febrze...

— Jedź — krzyknęła księżna na szofera.

Ten spojrzał bezradnie na swojego pana.

Z piersi Rohityna wyrwał się jakiś zdławiony, nieludzki ryk; odwrócił się naraz i z hałaśliwym płaczem zaczął bić pokaleczonem czołem o węgieł drewnianego domu.

Szofer, nie czekając dłużej, przerzucił dźwignię; wóz pędem ruszył z miejsca.

Jechali w milczeniu. Szofer pewien, że o tej porze nie spotka żadnej przeszkody na drodze, puścił wóz, używając mało hamulca, pełną szybkością po wijącym się w ostrych wężowych zakrętach gościńcu wdół ku Roztoce. W pewnem miejscu księżna nagłym zwrotem samochodu wbok rzucona, wsparła się, chcąc utrzymać równowagę, o ramię Romana.

— Przepraszam — szepnęła, cofając się. Głos jej był cichy, lękliwy i przedziwnie miękki.

Jakby w odpowiedzi, zwrócił na nią twarz i spojrzał jej twardo w oczy.

— Czego pani chce od tego biednego półgłówka? — zapytał niespodziewanie.

Wyprostowała się. W jednej chwili zrobiła się dumna i niedostępna.

— O kim pan mówi?

— Ach, pani wie. Czemu go pani tak dręczy? w jakim celu trzyma go pani przy sobie?

— Ach...

Patrzyła przed siebie, na mknące, czarne sylwety smreków.

— Jeśli pan ciekaw... — zaczęła zwolna po chwili — wyjdę za niego zamąż. Jesteśmy zaręczeni.

— Co!?

Umilkł, spostrzegłszy, że krzyknął niepotrzebnie zbyt głośno.

— Tak. Jestem wolna. Wszak pan wie, że jestem rozwiedziona. Mogę wyjść, za kogo mi się podoba. Książę zna moje plany i nie ma nic przeciw temu...

— Ha, jeśli książę się zgadza — rzekł głośno, nadając umyślnie słowom grzecznie ironiczny ton.

Ale w duszy zrobiło mu się niewypowiedzianie smutno. Uczuł pustkę, powstałą nagle, niewiadomo skąd i poczem...

— Za Rohityna, za Rohityna — śmiało mu się coś w piersiach przez łzy.

— Co pan mówi?

— Nie mówię nic, księżno. Nie mam nic do powiedzenia. Wszak pani rozporządza sobą wedle woli.

Myślał, że przerwie tem przykrą rozmowę, którą sam wszczął nieoględnie, ale teraz księżna zaczęła mówić.

— Dziękuję, że to pan raczył stwierdzić. Ale ja wiem, że w duszy pan mnie potępia.

— Cóż pani na tem zależy?

— Może mi nic nie zależeć, ale pytam, jakiem prawem pan to czyni? Skąd pan przychodzi do tego? Czego wreszcie pan ode mnie chce?

Turski milczał, wsłuchany w świsty wiatru halnego, który po krótkiej przerwie poczynał się znowu zrywać, gniotąc gorącą duchotą piersi i gnąc drzewa przydrożne.

Czego on od niej chce? Rzeczywiście, czego chce? Czyż mu to nie powinno być najzupełniej obojętne, za kogo pani Helena, *primo voto* księżna Hazarapeljanowa, wychodzi zamąż? Cóż go ostatecznie łączy z tą kobietą, poniewierającą się dobrowolnie w towarzystwach cudacznych i zgoła dla siebie nieodpowiednich? Czy to, że kiedyś, pono przed dziesięciu laty? — całował jej usta i pił rozkosz z jej ciała, jak inni przed nim i po nim robili i jeszcze inni robić będą?

A jednak, a jednak...

Spuścił głowę na piersi. Przecież ona była mu niegdyś jedna i jedyna — przecież jedyne, obłąkane, bolesne szczęście jego życia niegdyś jej zwało się imieniem!...

Ocknął się, posłyszawszy głos księżnej.

— Więc cóż ja mam? — zaczęła znowu, milczeniem jego snać podniecona. — Dzieckiem prawie wydali mnie, sprzedali raczej staremu księciu; nie miałam jednego dnia szczęśliwego w całem mojem życiu. Jeśli już nie szczęścia szukając, ale poprostu choćby oparcia, zwróciłam się do kogo, to płacono mi zawsze egoizmem, zazdrością, podejrzeniami, pretensjami urojonemi i niesprawiedliwością, — poniewierano mnie, moją dobrą sławę dla chełpliwości po ulicach włóczono, krzywdzono mnie na każdym kroku, każdej chwili i przy każdej sposobności...

Turski wiedział, że to wszystko nieprawda. Za bogatego księcia sama uparła się wyjść, wbrew radom swojej rodziny, podupadłej ale uczciwej, — nie poniewierał jej nikt, nie krzywdził, nie szargał, aż chyba teraz dopiero ci ludzie, zmysłów zdrowych przez nią pozbawieni.

W słowach jej jednak brzmiała taka szczerość i tak głęboki żal, że Turskiemu szyderczy uśmiech rozpłynął się i zgasł na wargach.

— Może ona tak czuje naprawdę — pomyślał.

Schwyciła tę myśl jego w zwróconych na siebie oczach i zaczęła znów, jeszcze goręcej:

— I cóż, że zapragnęłam nareszcie mieć swój dom, prawdziwy dom swój, choć bez mitry książęcej i dopókim młoda, człowieka, który mnie kocha, rozumie pan? Kocha rzeczywiście, nie egoistycznie, i będzie mi towarzyszem, przyjacielem, opiekunem.

Turski chwycił się za głowę.

— Pani, pani, pani Helu! Niechże się pani opamięta! Przecie —

Chciał powiedzieć: przecie ja panią znam i wiem, co myśleć o tem wszystkiem, wiem, że w najlepszym razie łudzi się pani, tak mówiąc, — ale żal mu się jej zrobiło i zamiast tego rzekł tylko, jakby myślom swym odpowiadając:

— A jednak mimo wszystko, szkoda mi pani.

— Dlaczego?

Wzniósł głowę i spojrzał jej prosto w oczy.

— Kochasz go?

Nie zauważył nawet, że mówi jej: ty.

Zawahała się.

— On mnie kocha bardzo.

— Tak. Więc wyjdziesz za niego i będziesz go zdradzać, tak zresztą, jak i on ciebie...

— O nie! On mnie zdradzać nie będzie!

— Więc ty, ty! I to będzie owo szczęście i ów dom!

— Nie, — rzekła po chwili zwolna, — myślę, że i ja go nie będę zdradzać. On by nie zniósł tego.

— Ale czy ty jego zniesiesz, o to idzie! Przecie się zastanów! Spotkałem cię teraz w dziwnem otoczeniu, ale przecież ty w innym świecie żyłaś, do innych przywykłaś ludzi! To jest dzieciak, a przytem człek nieokrzesany, gruboskórny, głupi i nadewszystko — dziki!

— Podoba mi się to właśnie!

— Tak, dzisiaj, dopóki go trzymasz oczyma na uwięzi, jak zwierzę. Ale pomyśl, że on może jutro czy za rok, po pijanemu, z pięścią stanąć nad tobą!

— Nie będzie pił, nie będzie się miotał! szczęście mu dam.

Wyprostowała pierś, — wzniesioną na wiatr głowę zwróciła ku Turskiemu.

— I cóż pan myśli! że ja nie potrafię sobą zapłacić mu wszystkiego, co chcę mieć od niego? I że on nie będzie mi jeszcze dłużny? Piękna jestem zawsze, o! dzisiaj o wiele piękniejsza niż wtedy, gdyś ty mnie znał. Zdumiałbyś się, gdybyś mógł ujrzeć... Czuję, że dopiero teraz rozkwitam jak kwiat, nie! raczej jak owoc dojrzewam. Zrobię go najbogatszym z ludzi i będzie mi wdzięczny za to...

— Jeśli się zdoła poznać na tem, co mu dasz.

— Jakżeby mógł się nie poznać?

— Głupi jest.

— A! Pan nie wie, jaką on ma piękną duszę!...

— Ha! — rozrzucił ręce bezradnie, nie umiejąc znaleźć już słowa. Jakiś bolesny śmiech zatargał się w nim i gasł pod padającą coraz grubszą warstwą smutku... Szary, miałki popiół, grzebiący pod sobą wszystko.

Więc był niegdyś Rogocki, wspaniały, dziś zmarnowany człowiek i ofiarował jej pono wszystko, życie swe, silne męskie ręce i wielką, wyrozumiałą, prawie macierzyńską miłość, a odepchnęła go po pewnym czasie... Był on sam — z nieposkromionym szałem kochania ponad ludzką miarę potężnego — i z rąk mu się wydarła, — odtrąciła Wierzbica, artystę przedziwnego, któremu mogła się stać naprawdę natchnieniem i dobrą wróżką życia, bo ten sarkazmem zabijający się człowiek był dzieckiem w duszy i potrzebował kochających opiekuńczych dloni... Ale Rohityn został i jako mąż przy niej zostanie i o nim się mówi, że ma piękną duszę, bluźniąc temu wszystkiemu, co było.

Co było! Co było...

Wicher huczał nieustannie. Drzewa, schylając się, zaglądały w przelocie w błyskliwe ślepia samochodu i chichotały przeciągle, powtarzając sobie nawzajem: Wiesz? Rohityn ma piękną duszę! Wiesz? Rohityn ma piękną duszę, hu, hu, huuu — !

Coś jak gdyby szept daleki, daleki:

— Romek —

Turski oprzytomniał.

— Przepraszam panią, że o tem wszystkiem mówiłem, — zaczął po chwili głosem, jak gdyby zmęczonym. — Mogła mi pani przerwać jednem słowem, że mi nic do tego.

— Owszem, niech pan mówi. Wolno panu mnie obrażać. Choćby ze względu na... Iwonka.

Syknął mimowoli i zagłębił się w poduszki siedzenia. Samochód wydostał się właśnie serpentynami na szczyt Porońca; wiatr huczał po świecie, zupełnie znów rozszalały. Widno było teraz cały łańcuch Tatr, nakryty potwornym, skłębionym wałem nieruchomych chmur, czarniejszych wewnątrz od nocy, srebrnych brzegami od skrytego za niemi miesiąca. Reszta nieba była czysta i wyiskrzona gwiazdami.

Czasem — poprzez świst wichru, dochodził z lasu jękliwy trzask łamanego drzewa, — druty telefoniczne, rozpięte wzdłuż gościńca, dźwięczały nieustannie i ponuro.

Turskiemu przypomniały się burze, gdzieś na północ od Japonji na niewielkim pobrzeżnym statku kupieckim przebywane w chłodne, blade noce, kiedy wicher ryczał w wałach morskich pod niebem, tak samo jak teraz gwiaździstem. I przypomniało mu się, jak w jedną taką noc przyszło do niego zdaleka wspomnienie tej oto kobiety, która siedziała teraz obok niego — dalsza mu w istocie, niż wówczas na

wodach Oceanu Spokojnego. Tam w świście wichru czuł wiew rozszalałej, długo duszonej swojej tęsknoty, — w pianie morskiej, obryzgującej mu rozpaloną twarz — łzy, których jego oczom brakowało. Przypomniał sobie, jak w myśli tulił tam do ust jej ręce, jak błagał ją, aby wargami jeszcze raz, raz jeden jedyny dotknęła jego czoła. Mówił do niej wśrod obcych, dalekich ludzi, w noc na dalekiem morzu, iż to jego jest wina, że nie umiał w niej widzieć li tylko tego, co jest pięknem, światłem, jasnością i kwiatem życia...

Posłyszał naraz, że płacze cicho.

— Pani Heleno!

— Niech mi pan da spokój!

— Pani Heleno, ja nie mówię dlatego, że pani płacze. Już mi to może jest nawet obojętne...

— Więc czego pan chce ode mnie?

— Zdaje mi się, że trzeba jeszcze jedną rzecz powiedzieć. Kto wie, czy nieświadomie nie poto właśnie przyjechałem tam zdaleka... Cokolwiek jest, cokolwiekby się jeszcze stało, pani była jedyną, jasną pięknością w mojem życiu. Mówię o tem wszystkiem, bo to już umarło. Tęskniłem za panią długie lata do obłędu, do szału, zwidywały mi się pocałunki pani w chwilach... nie! Poco już o tem mówić!

— Więc co? Więc co? — —

Uczuł naraz, że nie wie, jak to powiedzieć, co myśli. Chciał ją właściwie prosić, zaklinać, aby pozostała piękną, taką, jak on ją widział w śnie swoim i we wspomnieniu, żeby przez pamięć, jak mu niegdyś była ubóstwiana, odrzuciła od siebie precz tę banalną ohydę życia, która ją kala i poniża, gorzej: pospolituje — i zrozumiał zarazem całą bezdenną śmieszność i głupotę podobnej prośby.

Zlekka położył dłoń na jej ręce. Drgnęła gwałtownie.

— Niech pani ręki nie cofa. Mówię z panią w tej chwili jak przyjaciel. Niech pani zapomni o tem, co powiedziałem. To było głupie i niepotrzebne. Pani ze względu na samą siebie powinna być piękną. Rozumie pani? Piękną! Nic więcej: piękną! Czemu pani taka nie jest?

Milczała przez chwilę.

— A kto temu winien, jeśli nie ty?

Glos jej był niskí, nabrzmiały, jakby gdzieś z poza dalekich łez przychodzący.

Zamyślił się.

— Obawiam się, że jednak naprawdę ja winien nie jestem.

— Przecież ty wiesz, żem ja ciebie jednego kochała.

— Nie wiem tego.

— Nie obrażaj mnie! — krzyknęła.

Spojrzał jej w oczy.

— Jeśli tak było... — zaczął powoli.

Nie dała mu skończyć.

— Było tak. Nikt mnie nie znał takiej, jaką się tobie oddałam. Nie wstydzę się tego, co mowię. Kochałam cię. Tyś jeden mi był mężczyzną i w twoim tylko uścisku poznałam... co to jest... rozkosz...

Słowa te wyszły jej z gardła jakimś niskim, zdławionym szeptem, zaledwie dosłyszalnym wśród wyjącego wiatru.

Czuł, że fala ognia przelała mu się przez żyły i płomieniem wybuchła na czoło.

— Moja głupia próżność samcza — pomyślał sobie samemu naprzekór.

— Wszakże wiesz, że i ja ciebie jedną kochałem — odrzucił jej głośno, siląc się na ton obojętny.

— I co ze mnie zrobiłeś? Mogliśmy być szczęśliwi, rozumiesz? Gdybyś był miał cierpliwość, gdybyś mnie nie był naglił, zadręczał, gdybyś nie był uciekł przed dziesięciu laty tak głupio, dziecinnie, niepotrzebnie! I cóżem ja miała robić?

Milczał, nie znajdując odpowiedzi. Tego, co myślał, powiedzieć jej nie mógł. Zresztą nie miałoby to żadnego celu.

A ona zasunęła dłonie na twarz i mówiła cicho, jakby skarżąc się sama przed sobą:

— I co ja winna, że tęsknię odtąd, że szukam i nie znajduję? Och, takam zmęczona, och, taka sponiewierana życiem! Spokoju chcę za jaką bądź cenę. Wszystko mi jedno, kto to jest, bo to już... nie będzie... to samo! Niech mnie tylko kocha, niech mnie uciszy, niech zahypnotyzuje, abym spała, spała, spała...

Zrobiło mu się jej naraz żal, straszliwie, niewypowiedzianie żal. W tem nagłem uczuciu zgasły wszystkie inne i rozpłynęły się bez śladu. Było mu jej żal w tej chwili tak, jak kogoś, co już umarł, o kim nie myśli się inaczej, jak tylko dobrze — i jeszcze, że nie był szczęśliwy.

Ujął obie jej ręce i wzniósł do ust. A potem chciał przygarnąć jej głowę, nie jak głowę kochanki, lecz dziecka, z którem się żegna, bo idzie na zatratę, a niepodobna już zwrócić go z drogi...

Lecz ona snać źle sobie ten ruch jego wytłumaczyła. Łagodnie ale stanowczo odsunęła go od siebie.

— Nie, nie... Dzisiaj już nie mogę... Jestem cudza.

— Przepraszam panią — rzekł oschle.

Wjeżdżali w Capowski Las długą, wśród drzew prosto wyciągniętą linją szosy. Wiatr bijący ich w twarz nie dochodził już do nich; zaplątany w szczytach smreków targał się wśród nich i miotał, łomocąc

ciężkiemi skrzydłami, jak orzeł, zrywający się gdzieś z gęstych haszczy. Czasem jęczały pod jego uderzeniem wszystkie drzewa, czasem trzask krótki i suchy, po którym następował długi łoskot łamiących się gałęzi, dawał znać, że któryś wynioślejszy smrek naporu nie wytrzymał i położył się przed mocą rozszalałego wichru.

W pewnem miejscu automobil musiał się zatrzymać: zwał potrzaskanych drzew leżał na drodze. Z trudem tylko udało im się tę przeszkodę objechać bokiem i minąć. Ledwo jednak z powrotem na gościniec wjechali, jakiś świerk potężny zakołysał się i momentalnie runął tuż poza wozem na drogę. Księżna odwróciła głowę.

— Czemu nie jedną chwilę wcześniej! — rzekła z trochę sztucznym żalem.

Turski uśmiechnął się blado, ale przyszło mu na myśl, żeby to może dobrze było: jedno gwałtowne uderzenie olbrzymiego pnia, trzask łamiącej się maszyny i cudna głowa księżnej zmiażdżona, od życia wyratowana...

O sobie nie myślał wcale. Obraz ten tak go zajął, iż spojrzał mimowoli na jej twarz, jakby szukając zamkniętych już na zawsze oczu, bladych, krwią ociekłych ust.

Naraz błysły mu w pamięci źrenice pani Ireny, w podmalowanych oczach rozszerzone przerażeniem i... dziką radością pijane. Przestraszył się tego zwidziska, nie wiedząc, skąd przyszło.

— Kto jest pani Irena? — zapytał nagle.

— Czemu pan o nią pyta?

— Ma złe oczy.

Wzruszyła ramionami.

— Moja przyjaciółka. Kocha mnie bardzo, bardzo.

Nie mówili już więcej z sobą.

Jeszcze chwil kilka i ze szczytu Cyrhli poczęły błyskać w dole światła Jaszczurówki — a dalej, jakby gwiazdeczkami drobnemi w czarnej dolinie znaczone, długie ulice Zakopanego. Wiatr ustawał; deszcz drobny i gęsty poczynał mżyć na świecie.

Księżna rzuciła szoferowi adres swojej willi.

— Koniec — pomyślał Turski i niewiadomo dlaczego jakaś bezdenna gorzka żałość ogarnęła go całego.

Nie spostrzegł nawet w zadumie jak minęli oświetlone ulice i zatrzymali się przed ustronnym domem. W dwóch oknach na dole błyszczało światło. Księżna podniosła się niespokojnie.

— Ochmistrzyni czuwa. Czy aby Iwonek nie chory...

Zwróciła się do Turskiego.

— Niech pan wejdzie ze mną na chwilę.

We drzwiach oddano jej czekającą na nią depeszę. Rzuciła na nią okiem i w milczeniu — wymownym ruchem podała otwarty papier Turskiemu.

Lekarz o znanem nazwisku telegrafował z Krakowa:

„Książę umierający. Chce widzieć żonę i syna“.

XI.

Turski nie przyjął wyzwania Rohityna. Obydwom czarno ubranym panom, którzy do niego przyszli, oświadczył spokojnie ale stanowczo, że nie przypomina sobie zgoła, aby obraził czemkolwiek zacną osobę ich klienta, dla jego zaś urojeń nie ma zamiaru bawić się w mniej lub więcej krwawą, ale zawsze w tym wypadku śmieszną komedję pojedynku. Czarno ubrani panowie byli innego zdania, a młodszy i zapalczywszy z nich przebąknął nawet coś o „dalszych krokach", jakie pan Rohityn „ewentualnie" będzie musiał przedsięwziąć, aby opornego przeciwnika zmusić do dania mu „satysfakcji". Turski podniósł na niego twarde, stalowe oczy, a potem uśmiechnął się leciuchno kątami ust. Młody i zapalczywy pan zrozumiał snać. Zamienił ze swym towarzyszem szybkie spojrzenie i oświadczył następnie, że „wobec tego" oni jako zastępcy pana Rohityna przyjmują do wiadomości, iż pan Turski nie miał go zamiaru niczem obrazić i mają nadzieję, iż klijent ich będzie w ten sposób uważał sprawę za załatwioną.

Turski oświadczył zimno, że również ma tę niepłonną nadzieję.

Na drugi dzień Rohityn, spotkawszy w kawiarni Turskiego (który był wrócił z gór na pobyt do Zakopanego), przywitał się z nim uprzejmie i skorzystał

z pierwszej sposobności w rozmowie, aby wyrazić radość z powodu usunięcia nieporozumienia, jakie między nimi zaszło.

— Czyż zaszło nieporozumienie? — rzekł Turski obojętnie, ruszając ramionami i sięgnął ręką po jakiś dziennik, leżący obok na stole.

— No, właściwie, widzi pan — mówił Rohityn — ja czułem się cokolwiek dotkniętym. Helena, to jest księżna — poprawił się — jest moją narzeczoną; prawdopodobnie już w jesieni się pobierzemy...

Turski powstał.

— Pan wychodzi?

— Nie, panie. Usiędę tylko przy innym stoliku, ponieważ nie mam zamiaru prowadzić rozmowy na temat pańskich... stosunków familijnych.

— Ależ panie!...

Zerwał się; twarz mu nabiegla krwią, oczy zabłysły groźbą i przerażeniem.

Turski położył mu na ramieniu rękę ruchem przyjaznym i dobrotliwym.

— Panie Rohityn, niech się pan nie oburza. Lepiej tak będzie dla nas obu. Ja zdziczałem trochę w Azji i teraz mniej kłamię, aniżeli potrzeba. Dlatego radzę panu całkiem po przyjacielsku: niech pan mnie nie wtajemnicza w swoje sprawy osobiste, gdy ja pana o to nie proszę.

Powiedziawszy to, skłonił lekko głową i usiadł z gazetą w ręku na uboczu.

Rohityn mruknął za nim jeszcze: „Pan zdziczał naprawdę i dlatego się panu przebacza", ale Turski udał pobłażliwie, że nie słyszy.

Zły był jednak i prawdziwie niezadowolony z siebie, że się dał wciągnąć w historje, które go stawiały z Rohitynem na jednym poziomie.

— Miłe koleżeństwo — wzdrygnął się. — Wkrótce mi gotów zaproponować, abyśmy sobie mówili po imieniu...

Ale ostatecznie nie o Rohityna mu chodziło. Czuł, że coraz mniej panuje nad wypadkami, — owszem, daje się raczej porywać prądowi, w którego środku znalazł się wbrew chęci, niewiadomo jak i kiedy. Księżna, wyjeżdżając przed paru dniami do umierającego męża, prosiła go, aby się zajął jej w pośpiechu opuszczonym domem, wysyłką niektórych rzeczy i tym podobnemi sprawami, które mógł doskonale załatwić ktokolwiek inny, bodaj ktoś ze służby.

Nie łudził się, że to obarczenie go drobnemi zleceniami miało jakiś cel; księżna chciała zaznaczyć swoją niby nieprzerwaną z nim zażyłość i zmusić go niejako w zupełnie prosty sposób, aby o niej myślał...

Dlaczego jej jednak na tem zależało? Tutaj kończyła się jego męska przenikliwość. A zwłaszcza że wiedział, iż nic nie jest tak dalekie księżnej, jak jakakolwiek chęć nawiązania z nim dawnego stosunku. Nawet przypuszczenie samo czegoś podobnego byłoby śmieszne. Owszem, był przekonany, że najlżejsze bodaj usiłowanie jego w tym kierunku (do czego zresztą wcale nie miał ochoty), spotkałoby się niewątpliwie z jej strony z chłodną i stanowczą odprawą.

— O co jej więc chodzi właściwie? — mruczał nieraz do siebie, gniewając się, że wogóle o tem myśli.

W kilka dni po rozmowie z Rohitynem spotkał na jakimś samotnym spacerze panią Irenę. Była śmiesznie ubrana w letnią różową suknię, zgoła dla cery jej i koloru włosów nieodpowiednią, w słomkowym kapeluszu i z lekkim czarnym szalem na ramionach. Poznała go zdaleka i poczęła mu dawać radosne znaki.

Zbliżył się i przywitał. Zagadnęła go odrazu, czy nie ma wiadomości od księżnej Heleny.

Nie, wiadomości nie miał.

— Ach, naturalnie, biedaczka! Tyle przykrości tam musi przechodzić... To anioł, nie kobieta! Przecież z mężem jest rozwiedziona, a jednak na pierwsze jego wezwanie...

Urwała i wpatrzyła się Turskiemu w oczy z dziwnym, jakby drwiącym półuśmieszkiem.

— Poleciła panu pewno zająć się tutaj domem? — rzuciła nagle i nielitościwie.

Turski uczuł, że czerwieni się, niewiadomo dlaczego.

— Tak, dała mi rzeczywiście niejakie drobne zlecenia...

Opanował się i spojrzał bystro w podmalowane oczy pani Ireny.

— Skąd pani wie o tem? — spytał.

— Ach, Boże! Czyż to trudno się domyśleć? Hela jest tak dobra, rzeczywiście tak dobra...

Zmusił się do uśmiechu.

— Cóż to ma do rzeczy? W tym przypadku, zdaje mi się, to ja raczej dobry jestem... że się zajmuję...

— Ach, naturalnie, naturalnie! Pan jest dobry... Pan nie szczędzi czasu ani fatygi, aby się tu różnemi drobiazgami zająć, gdy ona musiała do męża — chorego, pan wie, tak ciężko chorego...

— Co prawda, mógł mnie zastąpić jej lokaj.

— O, nie! To jest właśnie przedziwna delikatność i subtelność uczucia tej wyjątkowej kobiety... Ona czuła, że w tak ciężkiej chwili musi dać panu sposobność okazania swej dla niej pieczołowitości, zadokumentowania niejako przed światem, że pan jej nie

jest obcy, że pan mimo wszystko, co zajść mogło, zawsze z... tą samą przyjaźnią... I wierz mi pan, to nikogo nie zdziwi! Wiedzą wszyscy, że Hela, ten anioł dobroci, ma w sobie dziwną — duchową! duchową moc przyciągającą i nikt jej nie może być wrogiem, nikt się na nią gniewać nie może. Kochają ją wszyscy... są jej przyjaciółmi... Pan przyzna, że to rzecz nadzwyczajna, z dawnych... miłośników umieć sobie zrobić przyjaciół...

Trzepała te obojętne napozór zdania głosikiem cienkim, z widoczną słodziuchną przesadą, a równocześnie w oczach jej skrzył się jakiś nienawistny, szyderczy blask...

Turski zdumiał się i przeraził. Patrzył na nią jakiś czas z uwagą, a potem zapytał nagle bez ogródki:

— Dlaczego pani jej tak nienawidzi?

Zkolei przestraszyła się pani Irena. Zatrzymała się naraz — na ustach błąkał jej się jeszcze słodki półuśmiech, ale z szeroko rozwartych, pociemniałych oczu wyjrzało jakieś wypłowiałe, nad ludzkie siły ciężkie znużenie, przemocą dotychczas ukrywane. Westchnęła kurczowo i spuściła wzrok ku ziemi.

— O to mnie jeszcze nikt nie posądził — rzekła po chwili, uderzając końcem parasolki zeschłe liście jesionów, leżące na drodze.

— Ja nie posądzam. Ja widzę.

— Owszem, ludzie się dziwią, że ja ją tak kocham... — szepnęła trochę nieśmiało.

— I pani chce, aby tak sądzono?

Zapanowała już nad sobą. Roześmiała się swobodnie i spojrzała Turskiemu śmiało wprost w oczy. Zauważył, że pod pokrywą bielidła wystąpiły jej na twarzy ceglaste wypieki.

— Co też pan mówi! Jest to najlepszy dowcip,

jaki mi się zdarzyło w życiu usłyszeć! Ja ją tak kocham, tak strasznie kocham... Czyż inaczej mogłabym jej przebaczyć to wszystko...

Urwała nagle — usta zadrgały jej — skurczem bolu? okrucieństwa? czy też tłumionego płaczu?

— Co jej pani ma do przebaczenia?

— Źle się wyraziłam. Nic jej nie mogę przebaczać, bo ona nic nie zawiniła. Trudno jej robić zarzut z tego, że jest tak niesłychanie piękna, że taki urok nieprzezwyciężony posiada, że wszyscy, wszyscy, którzy się do nie zbliżą, muszą dla niej oszaleć! Och, to jest jedyna kobieta, na całym świecie jedyna. Czyż pan sam nie przyzna? Zawsze taka była.

— Pani zna ją oddawna?

— Nie wypada mi liczby lat wymienić; wszakże ona ciągle tak młodo wygląda... Ale znamy się prawie od dziecka. Dziewczętami — och! nie była wtenczas jeszcze księżną — kochałyśmy się bardzo, bardzo. Zawsze byłyśmy razem. *Deux inseparables* — mówiono o nas... Tylko wie pan? To takie zabawne! Wówczas ja miałam włosy czarne, a ona jasne, bardzo miłe, chociaż trochę w przykry, lisio-żółtawy kolor wpadające. Ostatecznie dobrze, że je później zaczęła czernić... Zresztą była dla mnie zawsze ideałem piękności, dobroci. Patrzyłam w nią, jak w obraz... Krwi bym jej swojej była utoczyła...

— I cóż? Rozstała się pani z nią, wychodząc zamąż, — badał Turski, niby mimochodem i bez zainteresowania, choć czuł, że pani Irena opowie mu tylko to, co zechce — i dlatego, że zechce.

Uśmiechnęła się nieco wstydliwie.

— Ja wcale za mąż nie wyszłam.

— Jakto? Wszakże słyszałem...

— Ach, to jest taka rzecz... Stanowisko panny,

gdy się nie jest już tak najzupełniej młodą, jest trochę śmieszne i krępujące. Wymyśliłam sobie więc tego męża, który nigdy nie istniał. Hela wie o tem, ale ona umie milczeć, gdy chce. Jej można każdą tejemnicę śmiało powierzyć. Nie sądzi pan?

— A mnie? Skąd pani wie, że ja umiem tajemnicy dochować?

— O! ja pana znam. Może nawet lepiej, niż pan sam siebie.

Ruszył ramionami na ten dość banalny i zwykły frazes. Szli jakiś czas wolno, w milczeniu.

— Ale byłam zaręczona — zaczęła znowu po chwili, — i tutaj stało się właśnie to nieszczęście...

— Nieszczęście?

— A tak. Trudno to nazwać inaczej. Nikt nie był winien przecież. Ja byłam młoda i... kochałam narzeczonego. Mniejsza o to. Chciałam się Heli pochwalić... Był taki cudnie piękny, tak pełen życia, młodości, śmiał się zupełnie jak dziecko pełnemi, czerwonemi usty i oczy mu tylko błyszczały pod rozwichrzoną płową czupryną. Hela nie znała go jeszcze.

— Ach! — Turski przystanął i wpatrzył się w panią Irenę z nagłem zainteresowaniem.

— I co, co się stało? Teraz niech pani mówi..

Uśmiechnęła się blado.

— Nic się nie stało, a raczej to, co się musiało stać. Przywiozłam go do niej na wieś. W lubelskiem wtenczas jej rodzice mieszkali. Pan wie, ona jest taka piękna, tak szatańsko piękna...

— A potem?

— Och, drobnostka. Wróciłam do Warszawy sama. Młode dziewczęta łatwo płaczą, więc ja też przez długi czas płakałam.

— A on?

— Niech pan pomyśli! Zastrzelił się, gdy Hela uparła się wyjść za księcia. Młody był, niedoświadczony, zdawało mu się, że kobieta tak piękna mogłaby być jego żoną, gdy on nawet majątku znaczniejszego nie posiadał.

Turski zagryzł wargi aż do krwi. Czuł, że go w gardle coś dusi.

Pani Irena zaśmiała się naraz jak gdyby nieprzytomnie. Z oczu wyzierało jej obłąkanie.

— Wie pan? Widziałam! Ot tu — taka duża dziura na skroni, oko jedno wysadzone, ust nawet nie zamknął. Brzydki był, och, brzydki był po śmierci!

Załkała krótko bez łez.

— Pani Ireno!

— Dzieciństwo. To już było tak dawno. Ale odtąd ja tak się boję o Helę... Mam zwidzenia, że ją ktoś zastrzeli albo zresztą inaczej zabije — i że będzie taka brzydka po śmierci... Początkowo niewiele o tem myślałam, lecz później, teraz... Staram się ciągle być przy niej...

— Pani czyha na jej śmierć?

— Nie, nie! A niechże mnie Bóg broni. Raczej nad jej życiem czuwam. To tak łatwo mogłoby się zdarzyć. Ktoś pijany, albo doprowadzony do rozpaczy — bez jej winy, naturalnie: — mógłby dobyć rewolweru, noża, albo — bo ja wiem? — chwycić ciężką butelkę szampańską ze stołu... Dobrze, jeśli ja przy tem będę, abym mogła zbrodniczą rękę powstrzymać. A jeśli mi się już to nie uda, to przynajmniej oczy przerażone jej zamknę — krwawą, brudną ranę w tej pięknej głowie własnemi włosami zasklepię...

Zwróciła się wprost ku Turskiemu.

— Panie Romanie, czy pan myśli, że jej grozi

niebezpieczeństwo? Czy ją może kto zabić? Tak się obawiam.

Turski zmarszczył brwi.

— Niech pani wraca do Warszawy — rzekł brutalnie. — Księżnej Helenie nic się nie stanie. Da sobie zawsze radę.

— I ja tak myślę! i ja tak myślę — rzekła na pozór wesoło, ale w głosie jej zadrgał jakiś cień rozczarowania i znowu to okropne, bezradne znużenie...

Obok ścieżki, wiodącej dnem wąskiej doliny u stóp Giewontu, nad brzegiem huczącego po skałach potoku, wśród buków, jesionów i górskiej jarzębiny, leżał stary, omszały pień zwalonej burzą jodły. Usiedli na nim odruchowo i oboje równocześnie. Słońce przechyliło się już ku zachodowi i cień lesistego grzbietu począł wypełniać wnętrze wąwozu. Wschodnie zbocze błyszczało jeszcze w słońcu; na ciemnej zieleni buków i czarności jodeł rdzawiły się liście jesionów, przedwczesnemi przymrozkami nocnemi powarzone.

Od wody potoku, od omszałych kamieni i ziół wilgotnych bił już przedwieczorny chłód...

Turski zamyślił się, zapomniawszy na chwilę o swojej towarzyszce. Naraz — jak gdyby sobie przypomniał, że jest ona ciagle tuż blisko przy nim, wzniósł głowę i zaczął jej się przyglądać badawczo, z ciekawością i zdziwieniem zarazem. Musiała być piękna, nawet bardzo piękna kiedyś. Znacznie niższa od księżnej Heleny, miała coś nerwowego w subtelnej i harmonijnej budowie; w ruchach ciało jej się wyginało linją doskonałą, jak grzbiet skradającej się łasicy. Z pod sukni wysunęła jej się nieco noga, wąska w kostce o stopie drobnej, rasowej, wysokiej w podbiciu.

Spojrzał na jej strzeliste, szczupłe ramiona, na

przywiędłe lica, które niegdyś musiały mieć owal przecudny, dziś nazbyt znaczącemi się kośćmi twarzy zepsuty, na oczy jej czarne, znużone, a jeszcze przedziwnym, gorączkowym ogniem błyszczące.

— Niepotrzebnie włosy utleniła — pomyślał. — Powinny być czarne, jak chmura. A może to zrobiła dopiero wówczas, gdy tamta poczerniła swoje? aby nie być do niej nawet barwą włosów podobną?...

— Dlaczego mi się pan tak przypatruje? — spytała naraz, poruszywszy się niespokojnie pod jego badawczem spojrzeniem.

Miast odpowiedzieć, zapytał, nie spuszczając z niej oka:

— Poco mi pani to wszystko opowiadała?

Spuściła skromnie wzrok ku ziemi.

— Mój Boże, tak się jakoś złożyło...

— A więc bez celu?

Ruszyła ramionami, ale zaraz podnosząc głowę, uśmiechnęła się swoim zwyczajnym, trochę sztucznym uśmiechem.

— Pan mnie nic nie miał do powiedzenia, więc musiałam ja panu...

— Nie rozumiem.

— To takie proste. Wszyscy, to jest ci wszyscy z otoczenia Heli mają do mnie zupełnie nadzwyczajne zaufanie. Nie lubią mnie, wiem, choć nie rozumiem dlaczego, lecz gdy mnie który spotka, zwierza się natychmiast, opowiada o swojej miłości... do niej, do niej! Skarży się, wylewa łzy, paskudne, śmieszne męskie łzy przede mną, prosi o radę. Ha, ha, ha! A ja muszę wszystkiego wysłuchać, pocieszyć, współczucie okazać. Pan wie, że mnie mają za mężatkę, wdowę, rozwódkę — więc się nie krępują. Bardzo

ciekawych rzeczy dowiaduję się czasem. Och! jakież to wszystko obrzydliwe!

— I pani się dziwi, że ja nic nie mówiłem?

Przypatrzyła mu się badawczo i zrobiła nieokreślony ruch głową.

— Nie miałbym nic do powiedzenia — dodał po chwili, — nic ciekawego, niech mi pani wierzy.

Nie odpowiadała. Przechyliła się wtył, na głaz tuż za zwalonym pniem sterczący i oparłszy się oń barkami, patrzyła wciąż z natężeniem w twarz Turskiego. Ale on zauważył, że ona go wcale nie widzi. Był w tej chwili tylko przedmiotem, przypadkowym punktem oparcia dla jej oczu, aby — błąkając się, nie przeszkadzały chwytanemi obrazami jakiejś jej myśli uporczywej i samotnej. Miał wrażenie, że ma przed sobą lunatyczkę czy kobietę w hypnozie pogrążoną; oczy jej powlokły się jakiemś szkliwem — z poza rozchylonych nieco warg błyszczały drobne, równe, białe zęby...

— Pani Ireno — szepnął, chcąc przerwać ten przykry stan.

Nie poruszyła się wcale, jeno brwi jej ściągnęły się zlekka, jak gdyby szukała czegoś w pamięci z natężoną uwagą.

Naraz zadrżała gwałtownie całem ciałem, jakby pod wpływem wstrętu czy przestrachu.

— Co pani jest? — zapytał z mimowolnym niepokojem.

Spojrzała nań przytomniej.

— Zimno mi, och, zimno...

Pochylil się nad nią, aby ją odziać zsuniętym z ramion szalem.

I naraz — zatrzęsły się w nim wszystkie nerwy jakimś przewrotnym prądem pożądania: pociągnęły

go jej malowane usta, zwiędłe pod warstwą bielidła policzki, zapadłe, podczernione oczy lunatyczki...

Nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co robi, chwycił jej wątłą postać w ramiona i przywarł ustami do jej szyi.

Sprężyła się i krzyknęła przeraźliwie z przestrachu i zdumienia — w tejże jednak chwili opuściła bezwładnie ramiona po bokach i przymknąwszy oczy, szybkim ruchem głowy podała mu rozwarte nieco, wilgotne, pragnieniem drgające wargi.

Nieoczekiwana, nie przeczuta słodycz rozeszła się po żyłach Turskiego. Te usta nie całowały go same, lecz poddawały się pocałunkom jego przedziwnie, chłonęły je, łasiły się koło jego twarzy, miękkie, chłodne, niespodziewanie pachnące a żądne.

Obłąkanie go ogarnęło. Zsunął wargi po jej licu na szyję i cisnąc ją ramionami ku sobie, prawie bezwiednie targnął zębami zapięcie lekkiej różowej bluzki...

Jęk czy westchnienie wydarło jej się z ust; ruchem ramion wyrzuciła z rozerwanego odzienia dwoje piersi drobnych, krągłych, świeżych jak u młodego dziewczęcia, czystą, szlachętną krwią w ukryciu pachnących.

Przypadł do nich nienasyconemi wargami, znacząc krwawe piętna pocałunków na białej, nieskazitelnej skórze.

Krew poczynała mu słonić oczy...

Nagle pani Irena odepchnęła go obiema rękami od siebie tak silnie i niespodziewanie, że się zatoczył i upadł na jedno kolano.

Wróciła mu przytomność; spojrzał na Irenę z przerażeniem. Stała przed nim wyprostowana, z szeroko rozwartemi oczyma, bledsza jeszcze niż zazwyczaj, mimo że puder z jej lic starł był swemi pocałunkami.

Ogarnęło go zmieszanie — i wstyd; chciał coś powiedzieć, usprawiedliwiać się, czy przepraszać, czując równocześnie, że wszystko będzie zarówno głupie jak bezsensowne.

Ona patrzyła przez chwilę na niego, jak klęczał bezradnie na jednem kolanie, tak jak był upadł — i naraz wybuchnęła zupełnie warjackim śmiechem. Śmiały się jej oczy, śmiały się usta — zanosiła się, dusiła się spazmami niepohamowanego śmiechu.

Zerwał się na nogi.

— Pani Ireno!

— Ach, ach, ach! A więc nareszcie! Całował mnie jej dawny kochanek, tak jak tamten — mój — ją niegdyś musiał całować! Och!

Zakryła oczy rękoma i nie oglądając się za siebie odbiegła szybko.

Gdy znikła w gęstwinie, zdawało się Turskiemu, że słyszy jeszcze łkanie, coraz bardziej się oddalające.

Został sam.

Wieczór już zapadał; chłodno było naprawdę. Machinalnym ruchem wyciągnął zegarek.

— Szósta...

Przypomniał sobie, że za pół godziny ma decydujące zebranie w sprawie swojego teatru. W pierwszej chwili skrzywił się z niechęcią. Iść w tę zgraję ludzi, co zdążyli mu już obrzydnąć najgruntowniej — i słuchać znowu głupstw, wygłaszanych z niesłychaną powagą, oglądać znowu dostojne rybie oczy pana Jutrasinkiewicza, który każde przemówienie zaczyna jednakowo: Ja państwu bynajmniej swego zdania nie narzucam, lecz... — i wkońcu obraża się, gdy zgromadzenie uchwali coś wbrew temu zdaniu jego, którego niby nie narzucał; nie! dość, dość, już dość tego!

Otrząsnął się ze wstrętem, jak pies, który przebiegł przez zimną wodę, i szedł dalej — zupełnie mimowolnie układając sobie w głowie plan całej kampanji na tem nudnem zebraniu. Wyszukiwał zwrotów, których trzeba użyć, dobierał argumentów, przygotowywał sposoby odparcia przypuszczalnych zarzutów — wszystko, aby nareszcie ci ludzie pozwolili mu wyświadczyć sobie dobrodziejstwo z zachowaniem pozorów, że to oni sami pewnego społecznego i kulturalnego czynu dopełniają.

Z tego stanu rzeczy zdawał sobie najzupełniej sprawę. Ale uśmiechał się pobłażliwie nad sobą samym. Wszakże przez tyle lat był przerażająco praktyczny i wyrachowany — dlaczegóżby teraz nie mógł sobie wreszcie pozwolić na fantazję zrobienia czegoś... wprost przeciwnego?

Nie spostrzegł nawet, kiedy i jak myśli jego wzięły inny obrót. Po pewnym czasie dopiero zauważył ze zdziwieniem i złością, że rozmyśla o rozmowie z panią Irą i o tej scenie ostatniej, której wspomnienie napełniało go uczuciem nieznośnego wstydu. Co go właściwie opętało? co skusiło? jak można było w ten sposób...

— Eh! — warknął z zawziętą niechęcią i przyśpieszył kroku na leśnej ścieżynie, potykając się w cieniu o wystające wśród kamieni korzenie smreków.

— Ostatecznie musiała być jakaś wewnętrzna przyczyna, — próbował rozumować spokojniej — która w danej chwili pchnęła mnie do zrobienia tego nadzwyczajnego i śmiesznego głupstwa. Nie uświadamiałem jej sobie wówczas i teraz jeszcze nie mogę jej znaleźć. Ani wyglądem swoim, ani zachowaniem pani Irena nie mogła wywołać u mnie jakiegoś zaćmienia zmysłów, boć przecie o czemś więcej nie może być nawet mowy, gdy ja jej prawie nie znam. Więc cóż?

Litość, wywołana jej opowiadaniem? Ale przecie człowiek zdrowy na umyśle — a za takiego chcę jeszcze uchodzić — z litości nie rozrywa kobiecie sukni pod szyją i nie zjada warstwy pudru z jej twarzy? Parsknęła mi śmiechem w oczy: ty, tamtej dawny kochanek..

Doznał naraz wrażenia, że pod ciemnemi drzewami tuż nad jego ramieniem jak cichy, szary ptak nocny — sunie myśl Poleskiego. I znowu te dziwne, raz już słyszane słowa, bez głosu wprost w duszę mówione:

— Głupcze, głupcze! hipokryto! Przecież ty ją całowałeś z nienawiści do tamtej, o której twierdzisz, że ci jest już obojętna!...

— Więc cóż? — odparł Turski myślą — jeślibym jej nawet nienawidził...

— Ha, ha, ha! ha, ha, ha! — śmiał się cichy, szary ptak, wciąż nad ramieniem jego lecący. — Nienawiść, to śliczne słowo, taka doskonała, blaszana pokrywka na różne inne rzeczy. Widzisz,, ja także kobiet nienawidziłem...

— Cóż to ma do rzeczy?

— Nic — szydził cień — jeno, że jesteś podobny do żaka, który, nie znalazłszy łaski u ukochanej panienki, z bajronicznym gestem ,,kala się w rozpuście", ściskając spotkaną w sieni pokojówkę. A często jeszcze od niej dostaje po nosie. Och, Romanie Turski! Och, Romanie Turski, któryś z Azji ,,nowym człowiekiem" powrócił!

Zatrząsł się i pędem prawie wybiegł z lasu na otwarte pole.

Naprzekór sobie, z uporem i zawziętością zaczął znowu myśleć o czekającem go zebraniu, które go w tej chwili właściwie nic nie obchodziło.

— Poco mi teatr budować? — ironizował — kiedy sam teatr robię i to jeszcze ze strony lichej komedji?

Ale w duszy było mu naprawdę smutno i nad wyraz głupio.

Naturalnie — spóźnił się. Pełno już było w dużej, drewnianej sali, której zwykłe przeznaczenie dawały niedwuznacznie poznać ściągnięte pod pułap na linach gimnastyczne przyrządy. Ponieważ światło elektryczne tego dnia ,,wyjątkowo odmówiło" (co mu się zresztą dość często zdarzało), paliły się po kątach jakieś stare lampy naftowe, z których jedna uporczywie i nieuleczalnie kopciła.

A na podjum, za stołem, nieodzownem zielonem suknem przykrytym, stał pan Jutrasinkiewicz i przemawiał.

Turski zdziwił się trochę, że obrady rozpoczęto bez niego, ale ostatecznie nie mógł wymagać, aby czekano, gdy na czas nie przyszedł. Usiadł cicho na jednym z wolnych krzeseł i słuchał.

Jutrasinkiewicz, spostrzegłszy, że wszedł, chrząknął z powagą, cofnął wtył lewą nogę a wysunął natomiast prawą, w również srodze żelazem okuty but ubraną, przesunął dłoń na piersiach o jeden guzik wyżej — i po niewielkiej pauzie cienkim głosem eunucha zaczął widocznie resume swego przemówienia.

— Otóż ja państwu zdania swojego nie chcę narzucać, ale mniemam, że w Zakopanem teatr nie jest jeszcze potrzebny. Dobrze jest bawić się sztuką, ale narazie są rzeczy ważniejsze. Przedewszystkiem trzeba spełnić obowiązek społeczny: starać się o tężyznę fizyczną, która niewątpliwie przyczyni się do podniesienia ducha narodowego. Tutaj nie powinno się znajdować nic takiego, coby oczy przyjezdnych odwodziło od Tatr. Ta skalista pustynia powinna nam się stać

szkołą życia... Wyłożyłem już obszernie w swem przemówieniu, jak to rozumiem. Żałuję, że pan Turski, lekceważąc nas i sprawę, spóźnił się i nie słyszał tego. Trzeba nam iść tam w góry, na trudy i niebezpieczeństwa, wyrabiać w sobie hart, odwagę i siłę woli. To jest moje zdanie, którego zresztą państwu nie narzucam. Otóż tu jest pole do działania. I dotąd wprawdzie ludzie w góry chodzili, ale nie tak, jak trzeba. Myśmy właśnie zawiązali towarzystwo (którego prezesem mnie raczono wybrać), celem uprawiania racjonalnej turystyki, letniej, zimowej, wiosennej i jesiennej, pojętej jako tyleż kategoryj służby społecznej. Bo proszę ja panów, każda pora roku przynosi z sobą pewne...

— Tośmy już słyszeli! — przerwał mu zgoła niegrzecznie jakiś głos z głębi.

Pan Jutrasinkiewicz zdziwił się, oniemiał na chwilę i zaczął znowu nie bez pewnej melancholji w głosie:

— Więc dobrze. Nie będę powtarzał, choć to są rzeczy nadzwyczaj ważne. Streszczę się. Towarzystwu wzmiankowanemu brakuje jeszcze wielu rzeczy, dla których zdobycia są potrzebne środki materjalne. Jeśli tedy pan Turski chce być ofiarnym dla dobrej sprawy, to... niech rozważy to, co powiedziałem. Takie jest przynajmniej moje zdanie, którego zresztą nie narzucam nikomu... Gdyby jednak panowie sądzili inaczej i wbrew mojej radzie postanowili teatr tu utworzyć, ja — jak nigdy nie wymawiam się od służby publicznej, tak i teraz, mimo mnóstwa zajęć i istotnego braku czasu, gotów jestem dla dobra ogółu wziąć udział w projektowanym komitecie, bez względu nawet na to, czyby mnie panowie zaszczycili w nim stanowiskiem przewodniczącego, czy też jaki skromniejszy nałożyli obowiązek. Ja, proszę panów, nie mam osobistych ambicyj, lecz pragnę tylko zawsze wedle sił służyć dobru społecznemu.

Huczne oklaski były oznaką, że nienarzucane nikomu zdanie miało w zgromadzeniu pewną, nietyle liczną, ile głośną grupę zwolenników.

Turski uczuł, że mu się chce spać — i że sprawa teatru stała mu się w karygodny sposób djabelnie obojętną.

Na podjum wystąpił mały człowieczek o żywych ruchach z płonącem, przenikliwem okiem. Turski poznał jednego z miejscowych lekarzy, inteligentnego i gorącego zwolennika swej myśli. Zrobił mimowolny ruch, jakby go chciał powstrzymać od bezcelowego przemawiania, ale się opamiętał, że tego przecież nie można.

Lekarz mówił żywo i z zapałem. Tłumaczył, że stanowisko pana Jutrasinkiewicza, „który zresztą jest bardzo godny i szanowny człowiek“ *(Brutus is an honourable man!)*, w tym przypadku nie da się utrzymać. Turystyka swoją drogą, a swoją drogą teatr! Pan Turski, mogąc zrobić sam, wzywa nas do współudziału... Chodzi o to, aby się stał wielki czyn kulturalny... Mamy zadokumentować, że chcemy, aby tu stworzono idealną „świątynię sztuki“ dla całej Polski, że rozumiemy jej potrzebę i znaczenie. O kapitał troszczyć się nie potrzeba, — pan Turski daje go do rozporządzenia, zastrzegając sobie tylko odpowiedni wpływ na kierownictwo...

— Otóż to! — wtrącił półgłosem ze swego krzesła pan Jutrasinkiewicz z gestem beznadziejnym i boleściwym...

— Ciekaw jestem, czy ona świadomie od początku dawała mi się całować, jako dawnemu wielbicielowi

tamtej, — myślał Turski, straciwszy z uwagi wątek dalszego przemówienia lekarza...

Dziwna ociężałość spadła mu na powieki. Widział poprzez rzęsy kopcącą lampę w kącie; w uchu dźwięczały mu głośne słowa mówcy, nie oznajmując się jednak w mózgu żadnym sensem.

— Poco ja tu przyszedłem?... Aha, niepotrzebnie wszcząłem tę rozmowę w automobilu... Jestem ciągle śmieszny od chwili, kiedym tu przyjechał... To jeszcze doktór przemawia... Ktoby powiedział, że ona włosy farbuje; wyglądają, jakby były z natury czarne.

Drgnął i wyprostował się w krześle.

Doktór skończył był właśnie mówić, rzuciwszy naostatek gorące wezwanie do obecnych, aby poparli usiłowania pana Turskiego, wezwanie, które zresztą bardzo słaby odgłos znalazło — poczem miejsce jego przy zielonym pulpicie zajął jakiś młody człowiek o bardzo stanowczej fizjognomji i mocno rozwichrzonych włosach.

Pojawienie się jego powitano długotrwałemi oklaskami, które zgłuszyły słabe brawa, jakie doktór za przemówienie swoje otrzymał.

On zaś — młody człowiek, o minie srogiego lwa — poszukał płonącemi oczyma wśród siedzących Turskiego i zwrócił się, jakoby wprost ku niemu.

— Czego pan Turski od nas chce? — mówił. — On chce poprostu, żebyśmy mu pomogli zrobić karjerę! Wiemy, że był niegdyś literatem, a gdy nie znalazł powodzenia w tym zawodzie, gdy społeczeństwo odrzuciło z niechęcią, że nie powiem wzgardą, jego poetyckie elukubracje bez sensu i głębszej myśli, gdy się przekonał, że na tej drodze ani wieńca laurowego, ani groszy nie znajdzie, wyrzekł się pierwszego, a po drugie pojechał podobno gdzieś do Azji, przerzuciwszy się z lekkiem sercem do mniej patetycznego, ale intratniejszego zato zawodu kupca, Nie wiemy niestety — a może na szczęście? — jakiemi środkami grosz tam zdobywał, czyją krew, czyj pot na złoto zamieniał, ale ostatecznie wrócił tutaj człowiekiem, jak sam twierdzi, majętnym. Nie mam powodu wątpić o tem, pytam się jednakowoż, poco wrócił? On sam odpowiedziałby prawdopodobnie, że zatęsknił, jak się to mówi, za ojczystą ziemią, macierzystym językiem, bratnią dłonią, siostrzaną łzą — i tak dalej, że zapragnął pracować między swoimi i dla swoich — znamy te wszystkie piękne i puste frazesy! Ja powiem, dlaczego pan Turski wrócił! On sobie przypomniał o wieńcu laurowym, którego znowu tam w Azji nie mógł zdobyć. On ma już pieniądze i chce teraz jeszcze zostać wielkim człowiekiem, o ile możności dobroczyńcą kraju, ojczyzny, społeczeństwa! Ale ludzie, którzy mają pieniądze, lubią robić dobrodziejstwa w ten sposób, aby się oni sami trochę zabawili — to też pan Turski, nieszczęśliwy literat i kupiec szczęśliwy, nie pomyślał o wybudowaniu szpitala, nie ofiarował swego, nieznanemi nam środkami zdobytego kapitału na jakiś fundusz agitacyjny politycznej partji naprzykład, na oświatę ludową, na przytułki dla bezrobotnych, lub wogóle na coś rzeczywiście pożytecznego, lecz pomyślał zato o budowie teatru! Pański i estetyczny pomysł; znać dawnego, zbogaconego na kupiectwie literata i podobno szlachcica! Znajcie mnie! Nie chcieliście dawniej moich sztuk wystawiać, teraz ja sam je sobie będę wystawiał w moim własnym teatrze! A przytem — przyjemna zabawa, aktoreczki, coś tam... wiemy, wiemy! Te wszystkie jego fantazje i plany mogłyby nas ostatecznie nic nie obchodzić, gdyby nie

chytrość jego, dalibóg zbyt daleko już posunięta. Pan Turski chce, abyśmy, właśnie my zbudowali teatr za jego pieniądze. Chce naszej firmy, chce uświęcenia przez społeczeństwo swojej, do niczego mądrego nie prowadzącej zachcianki... Hola, panie Turski! Nie tędy droga — i społeczeństwo nie da się brać na kawał! Gdy lud zapragnie teatru, to sobie go zbuduje sam, a twoich krwią i potem ociekłych groszy azjatyckich nikt nie potrzebuje... Baw się na swój rachunek i pod własną firmą — my zachowamy sobie nieskrępowane niczem prawo sądu o tem, co będziesz robił — i skorzystamy z niego w razie potrzeby!...

Pienił się i rzucał, i mówił tak coraz zapalczywiej, gniewając się nad miarę i potrzebę, zwłaszcza że nikt mu nie oponował.

Turskiego przemówienie to zaciekawiło istotnie. Słuchał tak, jakby to nie o niego chodziło w tym przypadku: podziwiał sofistyczną wprawdzie ale niezaprzeczoną logikę mówcy, umiejętność działania na słuchaczy i zręczność, z jaką każdą okoliczność umiał wyzyskać, każdy fakt do swego sposobu przedstawienia rzeczy nagiąć, każdy zamiar przeciwnika (Turski nie wiedział, czemu on jest tym przeciwnikiem?) w złem świetle przedstawić.

Ta formalna strona mowy tak go zajęła, że nie miał nawet czasu zdziwić się tą napaścią, ani zastanowić nad jej pobudkami. W istocie bowiem tego człowieka nie znał, nic mu złego nie zrobił, ani nie poczuwał się w sumieniu do żadnej zbrodni wobec tego społeczeństwa, którego on tak zajadle bronił.

Młody człowiek skończył nareszcie mówić i z miną dumną otarł pot z uznojonego czoła. Zaległa chwilowa cisza. Snać nawet zwolennicy jego wahali się ze zbyt

hałaśliwem wyrażeniem oklaskami swego uznania ze względu na obecność Turskiego.

Wtedy Turski powstał z miejsca i skłoniwszy się lekko w stronę znużonego mówcy, dał mu sam krótkie brawo, które rozpętało w jednej chwili niebywałą burzę oklasków. Ci jeno, co bliżej Turskiego stali i spostrzegli, że on pierwszy w dłonie uderzył, sykali z pogardą patrząc na niego i mówili dość głośno, aby mógł słyszeć, że to jest bezwstyd i wyzywająca bezczelność z jego strony, za którąby mu się właściwie nauczka porządna należała.

Turski poszedł do domu, straciwszy najzupełniej ochotę przemawiania na tem, przez siebie samego zwołanem zebraniu

---

X.

— Księżna... Gdzie księżna?

Lekarz pochylił się nad łóżkiem.

— Księżna pani wyszła na chwilę. Zaraz wróci. Niech książę zechce się uspokoić.

Chory poruszał wargami bez głosu i przymknął oczy. Zdawało się że zasypia.

Wyschła, trupia twarz o wyciągniętych rysach i głęboko zapadłych oczodołach odcinała się straszliwą żółtością od białej pościeli; chude, siecią nabrzmiałych żył pokryte dłonie drgały niekiedy nerwowo na ciemno-czerwonym atłasie kołdry. Rozpięta na piersi koszula odsłaniała szyję wydłużoną i suchą, na której znaczyła się twardym węzłem krtań i po bokach, jak napięte sznury, dwie niespokojnie i z przerwami pulsujące tętnice. Na nieogolonym zdawna podbródku puszczał się szczecinowaty, brudno biały zarost, sine usta zapadały w szczeliny między zębami.

Była to już agonja beznadziejna a tem okropniejsza, że od kilku dni się ciągnąca. Zwapniałe, sztywne tętnice z trudem już tylko przewodziły po obumierającem ciele krew, mozolnie przez wyczerpane i zatrzymujące się co chwilę serce w nie wtłaczaną. Opuchniętemi i z powodu skrzepów kilkakrotnie napróżno operowanemi nogami książę już od kilku tygodni nie mógł poruszać, obecnie stracił sen, nie pomagały

żadne środki uspokajające: zdawał się tylko drzemać ustawicznie, słysząc jednakowoż wszystko, co się koło niego działo.

Z chwilą przyjazdu księżnej ożywił się na krótko. Pargaminowe policzki zabarwiły mu się przelotnym rumieńcem; zdawało się, że znużone i ciężkiej pracy podołać już nie mogące serce wzmogło się i raźniej rozprowadza krew po strupieszałym organizmie.

Uśmiechnął się do żony dwornie sinemi wargami i usiłował unieść się na pościeli.

— Dziękuję ci, księżno, żeś przybyła — rzekł. — Wdzięczny ci jestem bardzo, bardzo...

Chwilowe podniecenie przeminęło jednak wkrótce; leżał znów bez ruchu z piersią forsownie chwytającą powietrze, z żyłami, targanemi przerywanem tętnem.

Na syna, przyprowadzonego nieco później, popatrzył krótko; jakiś niewyraźny cień rozrzewnienia przemknął mu po twarzy.

Dzieciak poglądał na niego przerażony i nieśmiały, nie mogąc się zdobyć na zbliżenie ust do ręki człowieka, którego ojcem nazywał...

— Niech Iwo stąd idzie — wyszeptał książę — nie trzeba, aby patrzył... na śmierć... tak wcześnie.

— Niech idzie — powtórzył nerwowo, skinąwszy słabą ręką i zmarszczył naraz brwi, jakby skurcz bolesny rysy jego ściągnął.

Odtąd chłopiec nie wchodził do pokoju chorego ojca. Księżna zato prawie nie odstępowała męża przez pierwsze cztery dni. Tak, jak była przyjechała z dworca kolejowego, w kapeluszu i podróżnej sukni, zarzuciwszy tylko biały fartuch pielęgniarki, zaczęła się krzątać około męża, nierychło uległszy namowom lekarza, aby odpoczęła przynajmniej po podróży. Nazajutrz i następnych dwóch dni jeszcze była ciągle

na stanowisku. Z niesłychaną tkliwością silnemi a delikatnemi dłońmi unosiła w razie potrzeby głowę chorego, zmieniała mu przepocone prześcieradła, nie pozwalając się nikomu wyręczyć, podawała leki i czuwała po nocach, zwracając tylko niekiedy na lekarza spojrzenie załzawionych, tkliwością poświęcenia słodko błyszczących oczu.

Wychodziła z domu rzadko, a kiedy ją spotkał kto znajomy w sklepie lub na ulicy, śpieszącą się, niedbale ubraną, rzucała jeno kilka słów, jakby mimochodem, pozwalających się domyślać, jak jest zajęta, znużona, jak ofiarna i pełna zaparcia się wobec starego męża, z którym się rozłączyła...

— Potrzebuje opieki — mówiła z tęsknym uśmiechem — a któż mu potrafi zastąpić moje ręce? Muszę, muszę śpieszyć do domu...

Tak było przez cztery dni. Piątego ubrała się staranniej, wyszła wcześniej na mszę do kościoła, potem do sklepu, do cukierni, przez damy z towarzystwa odwiedzanej, do modniarki, do księgarni i jeszcze do kogoś znajomego — i nie wróciła do domu, aż w popołudniowej porze.

Książę był tego dnia nadspodziewanie silniejszy; rozglądał się niespokojnym wzrokiem za żoną, nie chciał jednak pytać, dlaczego jej przy nim niema. Wymienił tylko kilka razy imię syna, dopytywał się, co robi, czy zdrów i wesoły, czy wyprowadzono go na spacer przy pięknej, strugą światła przez okno bijącej pogodzie...

Wreszcie po południu księżna wpadła do pokoju, zarumieniona ruchem, z błyszczącemi z pod odrzuconego woala oczyma. Przyklękła odrazu z oznakami najżywszej tkliwości przy łóżku chorego.

— Biedaku! Taka jestem niedobra — mówiła,

cały dzień cię pozostawiłam samym! Czy bardzo gniewasz się na mnie?

Książę usiłował uśmiechnąć się grzecznie martwiejącemi ustami.

— Dziękuję ci, żeś przyszła — wyszeptał z trudem. — Chciałem właśnie...

Przerwała mu.

— Wiesz, zamówiłam sobie śliczny płaszcz, koloru starego złota...

— Niedobrze. Byliśmy rozwiedzeni, ale wypada, żebyś po mnie nosiła żałobę. Ze względu na syna...

— Ależ ty nie umrzesz przecie!

— Umrę. I właśnie dzisiaj, kiedy jestem silniejszy, może już ostatni raz, chciałem z tobą kilka słów...

Spojrzał na lekarza, jakby mu pragnął dać wzrokiem do zrozumienia, że chce być sam na sam z żoną. Lekarz się zawahał; spostrzegł, że księżna ziewnęła ukradkiem.

— Nie, nie! Daj pokój. Będziemy jeszcze mieli dużo czasu. Odpocznij lepiej. Ja muszę wyjść na chwilę, zobaczyć co robi Iwonek.

Wybiegła z pokoju, jak ptak, jeno fala światła wpadła przez rozchylone na moment drzwi do zaciemnionego zasłonami u okien wnętrza.

Książę zwrócił przygasłe naraz oczy na lekarza.

— Panie profesorze, czy pan myśli... że ja jutro... będę jeszcze żył?... Chcę z księżną kilka słów...

Lekarz udał rozweselonego pytaniem.

— Ależ co książę sobie myśli! Mam jak najlepszą nadzieję, że przed zimą wstaniemy z łóżka i będziemy jeszcze w ciepłem jesiennem słońcu spacerowali po plantach!

Chory przeczył głową niecierpliwie.

— Niech mnie pan nie okłamuje. Ja przecież wiem...

Następnego dnia, po bezsennie spędzonej nocy, kiedy serce co chwilę w piersi się zatrzymywało, uderzając potem z nagłym wysiłkiem w skruszałe żyły — niespokojny był od samego rana. Dopytywał ciągle o żonę i niecierpliwił się, że nie przychodzi, a wreszcie prosił lekarza, aby komuś ze służby polecił ją wezwać.

Księżna nie wychodziła tego dnia z domu. Zamknęła się jeno w jednym z dalszych pokojów, napisała kilka listów, których jej nie śpieszno było wysłać na pocztę, potem przerzucała — nie czytając — nowości, wczoraj z księgarni przysłane, szlifowała długo, paznogcie, wspominając z żalem o zostawionej w Zakopanem garderobianej, która zazwyczaj rolę manikury u niej pełniła, przewracała wreszcie stosy jedwabnych pończoch, wziętych ze sklepu do wyboru, namyślała się długo nad barwą każdej pary, przyglądała jej się pod światło, w cieniu i na śnieżnem podłożu swej skóry...

Wchodzący lokaj zastał ją rozciągniętą na otomanie w jaskrawem kimonie japońskiem, z wysoko upiętemi włosami. Obrzuciła go dosyć obojętnem spojrzeniem.

— Książę pan...

— Ach, tak! Powiedz, że przyjdę tam wkrótce — odparła niechętnie, nie ruszając się z miejsca.

— Pan profesor mnie przysyła. Kazał powiedzieć, że książę pan prawdopodobnie nie dożyje do jutra.

Wstała bez pośpiechu.

— Powiedz panu profesorowi, że będę u księcia za chwilę.

Po odejściu lokaja przypudrowała twarz, umiejętnem, lekkiem dotknięciem węgla podczerniła ogromne, ciemne oczy — i, spojrzawszy w zwierciadło, rozczuliła się nad sobą, że tak smutno i źle wygląda. Wyszedłszy z pokoju, wstąpiła na moment do Iwonka, rozpłakała się bez potrzeby i powodu nad nim i z oczyma pełnemi jeszcze łez, pojawiła się wreszcie u łóżka umierającego męża.

— Hela...

— Byłam u dziecka... Tak posmutniał, że teraz nikt się nim nie zajmuje. Nie gniewaj się na mnie...

— Nie. Chcę właśnie mówić z tobą... o nim...

Zrobił słaby gest w stronę lekarza.

— Proszę, niech nas pan zechce zostawić... panie profesorze...

Lekarz usunął się w milczeniu do drugiego pokoju i zamknął drzwi za sobą.

— Nie wiem, czy to dobrze — mówiła księżna czule ale niespokojnie, — że chcesz rozmawiać... Męczy cię to i wyczerpuje.

— Wszystko jedno. I tak już niedługo. Muszę mówić, dopóki... Hela!

— Czego chcesz ode mnie?

— Ja kocham tego chłopca.

— Słusznie. Twój syn przecie.

— Nie wiem tego. Ale to wszystko jedno... Teraz już wszystko jedno... Kocham go tak, jakby był mój. I chcę, aby nikt... nie śmiał o tem wątpić... nigdy...

— Denerwujesz się i mnie obrażasz niepotrzebnie.

— Starałem się nie obrażać cię nigdy. Znosiłem. Udawałem, że nie widzę. Byłaś moją żoną... Słowa jednego nie słyszałaś...

— Więc poco teraz o tem mówisz?

— Nie pytam się ciebie, kto jest ojcem Iwona. Czy ja, czy kto inny...

— To ty sam powinieneś wiedzieć najlepiej.

— Tak jest. Powinienem, ale... Mniejsza o to... Nie chcę zmuszać cię do kłamstwa. Jestem ostatni z rodu. Nazwisko i majątek pozostawiam twemu synowi. *Je vous al aime de toute mon ame...*

Odetchnął ciężko, krople potu wystąpiły mu na skroniach i perliły się w głębokich zmarszczkach pożókłej skóry. Milczał przez chwilę, z wysiłkiem chwytając powietrze.

— Zmęczony jesteś. Mam zawołać doktora?

— Nie. Jeszcze chwilę... W testamencie napisałem...

Urwał, twarz mu się nagle zmieniła, słabą ręką sięgnął do piersi.

— Boli... — szepnął przez zaciśnięte zęby.

— Co ci? — zaniepokoiła się.

Chory nie odpowiedział. Rysy twarzy ściągnęły mu się kurczowo; z pod opadłych na źrenice powiek woskowych i przejrzystych wyglądały jeno skrawki białka oczu, nabiegłego krwią; usta rozwierały mu się, chwytając powietrze, jak u ryby na piasek wyrzuconej. Suchemi palcami błądził po piersi...

Księżnę ogarnął lęk. Uniosła się z siedzenia i rzuciła wkoło bezradnem spojrzeniem, jakby oczekując pomocy. Była sama w pokoju z człowiekiem snać umierającym... Z lekkim okrzykiem zwróciła się ku drzwiom, chcąc zawołać lekarza.

Książę odetchnął głębiej i zatrzymał żonę ruchem ręki.

— Zostań. Już przeszło...

— Nie, nie! Zawołam doktora.

— Nie chcę. Muszę jeszcze mówić z tobą. Taki ból straszny... tu w piersi...

— Uspokój się. Może ci podać jakie lekarstwo?

Patrzyła zakłopotana na flaszki, stojące obok łóżka, nie umiejąc sobie zdać w tej chwili sprawy, co właściwie zawierają.

— Nic nie potrzeba. Mówię ci, że już przeszło. Otóż w testamencie... Siadaj... W testamencie zapewniam ci dożywocie na większej części majątków... Iwona, i opiekę nad nim — popóki... będziesz wolna.

Księżna patrzyła teraz na dłonie umierającego, bezwładnie na kołdrze złożone.

— Tak... dopóki będę wolna, — powtórzyła jak echo.

A potem wzniosła naraz głowę i spojrzała mu prosto w przymknięte oczy.

— A jeśli wyjdę zamąż?

Rysy chorego żadnem drgnieniem nie zdradziły, jakoby mu to brutalne pytanie przykrość sprawiło. Był snać na nie przygotowany.

— Jeśli... gdy wyjdziesz zamąż, zostanie ci renta, dwanaście tysięcy koron rocznie...

— Ależ to nędza! — wykrzyknęła mimowolnie.

Książę ciągnął niewzruszony dalej, odpoczywając jeno po każdem niemal słowie:

— Opiekę nad Iwonem... utracisz wtedy...

— To mój syn!

— Tak. Ale chcę... aby w danym wypadku... zapomniano o tem, pamiętając tylko... że to jest... książę Hazarapeljan.

— Jakto: w danym wypadku?

— Gdy wyjdziesz... za mąż... nieodpowiednio... do jego tytułu... i stanowiska... do nazwiska, które nosisz sama w tej chwili.

Pobladła lekko i zacięła usta.

— Niewiadomo, co ty nazywasz: nieodpowiednio.

— Ty wiesz...

— Wszakżeś się zgodził.
— Tak. Dopóki żyłem. Twoje dziecko wówczas zostałoby przy mnie... A zresztą...
— Co?
— Gdybym się nie zgodził, zrobiłabyś wbrew mojej woli... Nie chciałem gorszego skandalu.
Księżna pochyliła głowę.
— O zamążpójściu teraz nie myślę — zaczęła po chwili, — ale to ci powiedzieć muszę, że mnie krzywdzisz. Krzywdzisz mnie straszliwie.
— Hélène!
— Co mi masz do zarzucenia? Przecież to są twoje fantazje, te obawy co do pochodzenia Iwona! Nie przeczę ci, bo cię nie chcę więcej rozdrażniać, widząc, żeś chory. Czy mi masz za złe, żem się bawiła, będąc młodą? Wszakże tego sam chciałeś!
— Na pozory nie zważasz! Na pozory!
— A! więc byś wolał, abym na nie zważała, a za to oszukiwała cię za plecami? Nie robiłam tego. Wierna ci byłam...
Lekarz uchylił drzwi.
— Czy książę nie męczy się zanadto?
— Nie, profesorze. Jeszcze chwilę. Muszę koniecznie...
Doktór pokręcił głową z niezadowoleniem i cofnął się, ulegając błagalnemu tonowi w słowach chorego.
A on obrócił na żonę oczy, naraz szeroko rozwarte i błyszczące.
— Coś ty powiedziała? Powtórz, powtórz!
— O co pytasz?
— Nie zdradzałaś mnie nigdy? Naprawdę? Nie byłbym cię nigdy o to pytał, ale gdyś zaczęła sama...
— Robert! Robert!

— Tak w obliczu śmierci... Bo ja umrę niezadługo. Powiedz mi...
— Czyż ty tak myślałeś naprawdę? Biedaku! Cóżeś ty musiał wycierpieć!
— Bóg jeden wie...
— Przecież to ci powinno być najlepszym dowodem, że kiedym spotkała człowieka, który... zrobił silniejsze na mnie wrażenie, zażądałam sama rozwodu od ciebie... nie chcąc w sposób — mnie niegodny i uwłaczający tobie...
— Byłaś... jego kochanką?
— Nie! Jak możesz pytać o coś podobnego!
— Czuję, że... mówisz prawdę... w tej chwili. Bóg ci zapłać. Więc... Iwo... jest mój syn! Bóg zapłać! W ostatnią godzinę... Tam... tam...
— Co?
Wskazywał drżącą ręką.
— Tam... w sekretarzyku... testament... Odpis jest u notarjusza, ale to nic... Gdy tylko tutaj... Pióro i atrament...
Podała mu skwapliwie opieczętowany papier i kałamarz, który służył lekarzowi przy pisaniu recept.
— Przysięgnij tylko mi, że będziesz szanowała..., że będziesz godnie... i nie dasz powodu...
— Robert! Czyż wątpisz?
— Nie! Wierzę. Chcę wierzyć... Daj mi pióro... Prędko! Dopóki mogę...
Usiłował unieść się na poduszkach, ale to mu się nie udało. Przybliżył papier do oczu...
— Nie widzę liter... Czytaj... Pokaż mi, gdzie jest... to zastrzeżenie...
— Szybko przebiegła dokument oczyma. Znalazła tam widocznie coś, co ją zdumiało lub nawet przestraszyło, bo zmarszczyła brwi i rzuciła szybkie

spojrzenie na męża, ale opanowała się w tejże chwili i podsunęła mu papier z najzupełniejszym spokojem, bez pośpiechu, z miną doskonale obojętną.

— O tu, stąd dotąd — pokazała palcem.

Przekreślił wskazany ustęp i dopisał na dole trzęsącą się ręką:

„Dnia... roku... może w ostatnią godzinę, ale w zupełnej przytomności umysłu i z własnej woli, przekreśliłem od słów: W razie, gdyby moja żona... aż do: wyznaczony opiekun. — Robert Stanisław książę Hazarapeljan".

Pióro wypadło mu z ręki.

— Dobry jesteś... — szepnęła.

Zwrócił na nią gasnące oczy. Coś jakby uśmiech przebiegł po jego zwiędłych, sinych ustach.

— *Tu es belle, oh! comme tu es belle Helene...*

Jak gdyby nagły, lekki dreszcz nim wstrząsnął. Żachnął się ostatnim wysiłkiem na poduszkach...

A ona mówiła tymczasem:

— Dziękuję ci. Nie chodzi mi o dochód ani o majątek.... Zamąż i takbym prawdopodobnie nie wyszła. Ale tak mnie zabolała twoja nieufność... Nie wiedziałam, że w ten sposób możesz moją żywość i tęsknotę za życiem tłumaczyć. Teraz, gdy wyzdrowiejesz, zobaczysz! Wszystko będzie dobrze! Będziesz bardzo, bardzo kochał Iwonka, jeszcze więcej, niż dotychczas. Ja będę do ciebie przychodziła często — i będziemy mówić... wspominać... Jakże się czujesz w tej chwili? Czy lepiej?

Chory leżał bez ruchu z przekręconą na ramię głową i patrzył na nią szklistemi oczyma z pod opadłych nieco powiek. Usta miał rozchylone i jakby poczerniałe, palce sztywno leżały na rozłożonym testamencie.

Księżna zaniepokoiła się. Jakiś niewytłumaczony lęk ją ogarnął.

— Chcesz może przespać się trochę? — mówiła drżącym i przycichłym głosem. — Wyjdę na chwilę. Poprostu dlatego, abyś mógł odpocząć. Wrócę za godzinkę. Może lekarz tymczasem...

Książę nie odpowiadał. Więc ona wstała i sądząc, że zasnął z tak wpół otwartemi oczyma, cicho, cichutko, aby go nie zbudzić, wyciągnęła papier z pod jego dłoni. Ręka, poruszona, zesunęła się bezwładnie po kołdrze aż na brzeg łóżka. W mętnych oczach jego, patrzących niewiadomo gdzie, było coś niewymownie strasznego.

— Robert! Nie patrz tak! Ja się boję!

Nieświadomym, szybkim odruchem przykryła mu oczy dłonią. Chłodne, wiotkie powieki zasunęły się pod dotknięciem na źrenice. Cofnęła rękę i nachyliła się nad nim. Z sinych ust, z poza języka, leżącego bezwładnie w jednym kącie na zębach, nie wychodził żaden oddech, — nabrzmiałe żyły na szyi, zrywane do niedawna nieregularnem tętnem, wygładziły się i zapadły, — mętna, popielata bladość zachodziła na wyschłe policzki...

Wyrwał się jej z gardła straszliwy krzyk grozy, przestrachu, wstrętu.

Książę był nieżywy.

XI.

Społeczna myśl Romana Turskiego wzięła w łeb całkiem ordynarnie i dokładnie. On sam zato wziął się do budowania teatru. Nabył obszerny szmat gruntu na wzgórzu, zamykającem zakopiańską osadę od wschodu — i nie zwłócząc dłużej tam, naprzeciw Tatr, pobielonych już ponad czarnemi, leśnemi reglami wczesnym śniegiem jesiennym, kazał przed zimą zakładać podwaliny pod budowę.

Wzgórze całe wraz ze stokami miało być zamienione w leśny park, dołem szerokim liściem w lecie szumiący, wyżej czarny i pachnący żywicą drzew szpilkowych. Jeno zbocze południowe, ku Tatrom otwarte, miało zostać niezalesione.

— Będzie tu łąka — mawiał do znajomych — wczesną wiosną fijoletowa od wydostających się z pod śniegu krokusów, — jak dywan turecki różnemi barwami kwiatów na zielonem tle tkana w lecie, pod jesień coraz więcej błękitna od goryczek... potem złota i rdzawa, aż biel śniegu wszystko pokryje...

Szczyt wzgórza łysy zrównano, tworząc obszerną platformę, od wschodu, północy i zachodu ogromnym półkręgiem lasu ciemnego zamkniętą.

Główna oś budynku, greckim perystylem z jońskich kolumn otoczonego, miała iść w kierunku igły magnetycznej, w ten sposób, że wejście przez wy-

niosły portyk zwróconeby było ku północy, a scena umieszczona w południowej części, kończącej się razem z platformą tuż przy opadającej ku Tatrom łące.

Wbrew radom inżynierów i architektów Turski uparł się ztyłu poza sceną nie przeprowadzać zwyczajnego w nowożytnych teatrach korytarza. Jedynem jej zamknięciem w głębi miała być ściana, dająca się na całej szerokości rozsunąć i otwierająca wtedy widok na góry.

Godzinami całemi siedział Turski nad planem i śnił o tym teatrze. Widział już w myśli gotowy gmach do greckiej świątyni podobny, z co najbielszych, niepożytych granitów tatrzańskich nad ciemną masą leśnego wzgórza wzniesiony. Wyobrażał sobie, jak widzowie, zdążający na pierwsze, uroczyste przedstawienie, będą wstępować wężowemi drogami wgórę — z pomiędzy brzóz, jesionów i jaworów w dole między buki czerwone, między modrzewie, coraz gęściej smrekami przetkane, aż ich ogarnie na chwilę surowy, poważny, chłodny bór świerków i jodeł, zakończony nagle wieńcem czarnych limb przed otwierającą się płaszczyzną szczytową i białym szlachetnego gmachu portykiem. Po stopniach szerokich, przez drzwi z bronzu odlane, pomiędzy kolumny pójdą przez atrium z sadzawką po środku, po mozajkowej posadzce, około kutych w marmurze posągów największych twórców dramatycznych świata, aż tam pod purpurową zasłonę, salę widzów od przedsionka dzielącą...

W sali wznoszące się amfiteatralnie rzędy siedzeń z ciemnego, dębowego drzewa, bez złoceń, bez pluszów czerwonych, kością jeno na rzezanych poręczach wyłożone, dokoła ścian balkon jeden na korynckich słupach oparty, z kamienną u góry balustradą. Na stropie peplon ogromny, fałdzisty, ciemno-

purpurowy, z elektrycznem słońcem po środku. Dla orkiestry miejsce zostawiono półkoliste, niezbyt wielkie i nieznacznie tylko wgłębione — i drugie, do wyboru lub równoczesnego użytku w głębi wysoko, ponad balkonem, jak chór kościelny, w otwartej niszy czy loży...

— Mogę zrzucać cichą muzykę na głowy zadumanych ludzi, lub dwom orkiestrom kazać z sobą po przez salę widzów rozmawiać, — myślał Turski i patrzył znów na rysunek ujęcia scenicznego otworu, przedstawiający portyk nad poziom sali czterema szerokiemi, od orkiestry idącemi stopniami wzniesiony, z korynckiem belkowaniem i wypełnionym rzeźbą naczółkiem. Miejsce nudnej kurtyny zajmowała znowu ciężka, na bronzowych pierścieniach zawieszona i rozsuwana zasłona. Po obu bokach stać miały trójnogi z bronzu z czarami dla palenia kadzideł, na przodzie, wśród stopni, w miejscu budki suflera, ołtarz grecki niewielki.

Zastał go raz na takich rozmyślaniach, nad planami schylonym, dyrektor Malinowski, który od czasu, jak budowa zaczęła realne przybierać kształty, coraz częściej zaglądał do Zakopanego, niby to dla wypoczynku i „odetchnięcia świeżem powietrzem", a w rzeczywistości ze źle ukrywanym zamiarem wymyszkowania, czyby się nie dało nowego teatru objąć w zarząd lub dzierżawę. Turski udawał, że nie domyśla się celu jego odwiedzin i przyjmował go grzecznie oraz dawał wszelkie wyjaśnienia, jakich tenże niby mimochodem zażądał.

Malinowski pytał wiele i krytykował jeszcze więcej. Nie podobał mu się grecki plan budynku i wystawione na wiatry miejsce, na którem miał być wzniesiony; co do wewnętrznego urządzenia i rozkładu miał

mnóstwo zarzutów, przeważnie praktycznej natury, i dawał Turskiemu dobrotliwie fachowe rady, dziwiąc się prawdziwie i głęboko, że on nie chce uznać ich słuszności. Patrzył na niego wtedy z politowaniem i uśmiechał się dyskretnie, mając go snać za człowieka zgoła straconego i niezupełnie z głową swoją w porządku.

Tym razem rozmowa zeszła na przestrzeń, dla gry aktorów przeznaczoną.

— Naturalnie scena będzie obrotowa, — upewniał się Malinowski.

Turski potrząsnął głową.

— Nie. Nie myślę nawet o tem.

— Jakto? Ostatni wyraz techniki teatralnej...

— Nie chodzi mi o ostatni wyraz, choć i to, nawiasem mówiąc, jest już przestarzałe. Nie mam zamiaru pokazywać sztuczek magicznych ani zadziwiać niby doskonałemi złudzeniami rzeczywistości i szybkością zmian.

— Więc... o co panu właściwie chodzi, mistrzu kochany?

— O sztukę.

— Aha. Rozumiem. Chce pan stylizować. Można, można... Nie wiem, czy pan widział, przed kilku tygodniami właśnie tak jedną współczesną rzecz wystawiłem... A więc tak zwana Reliefbühne i gra świateł elektrycznych...

— Owszem. Światłem elektrycznem będę się obficie posługiwać i w razie potrzeby zamknę scenę na płytko jedną tylną dekoracją, dającą się łatwo zmieniać, ale naogół nie to mi jest najważniejsze.

— Ciekaw jestem.

Turski się uśmiechnął.

— Niech pan patrzy: to jest narys budynku, a to jego przekrój podłużny.

— Doskonale, — potwierdził Malinowski, nie mogąc się zorjentować, co właściwie przedłożone mu rysunki mają oznaczać.

— Otóż widzi pan, — ciągnął Turski dalej, — że zniwelowany grunt, na którym gmach stoi, wznosi się jednak ku południu nieco ku górze, tak że tylna część sceny jest już na równym poziomie z łąką, zaczynającą tutaj łagodnie opadać w stronę gór.. Dzieli ją od niej tylko ta ściana, dającą się rozsunąć, lub w razie potrzeby zastąpić olbrzymią taflą szklaną.

— Taflą szklaną? Czekajże, mistrzu kochany, toż taka szybka parę tysięcy będzie kosztowała...

— Może i więcej. Mniejsza o to.

— Tak, tak, ja wiem, że pan ma pieniądze, — rzekł Malinowski z pewnem politowaniem, jakby wątpiąc, czy równą ilością rozumu Turski rozporządza.

On tymczasem uśmiechnął się do swojej myśli.

— Pomyśl pan teraz, że w jakąś słoneczną, przedwieczorną godzinę zbierają się widzowie w moim teatrze. Scenę zalega mrok; świateł nie kazałem zapalać, majaczą tylko na niej czarne gałęzie smreków, ustawionych po bokach zamiast kulis i dekoracyj.. Naraz tylna ściana się rozwiera — i jako przedłużenie sceny, ukazuje się ta łąka, a za nią wzgórza lesiste, a za niemi ozłocone zachodzącem słońcem Tatry... A w nocy mogę otworzyć teatr na gwiazdy i na księżyc...

— Zimno będzie, — wtrącił Malinowski.

— Dam każdemu kołdrę! — krzyknął Turski z pasją...

— W zimie i to nie pomoże.

— Na zimę mam taflę szklaną!

— Bardzo ładnie, bardzo ładnie. Ale co to za uciecha będzie dla widzów, gdy za tą taflą ujrzą gapiów, cisnących się, aby widowisko podglądać, w baranich kożuchach, z nosami o szkło rozpłaszczonemi...

— Cała łąka będzie ogrodzona.

— Aha. W lecie aktorzy będą musieli mieć tuby, aby ich na widowni słyszano, gdy głąb sceny będzie otwarta... Ja to wiem z praktyki, jak głos w takich razach ucieka. A przecież będą musieli przekrzyczeć hałasy z zewnątrz dochodzące, ryk bydła, turkot wozów na gościńcu w dole, melodyjne echa pijanych śpiewek góralskich...

Turski chodził zły po pokoju.

— Jakoś to będzie.

— Pewnie, pewnie; pan ma pieniądze. Dekoracja w każdym razie prześliczna. Tylko dziwię się, że pan przed chwilą nastawał na wywoływanie złudzeń rzeczywistości na scenie, a teraz sam...

— Nie! — przerwał Turski. — Ja złudzeń nie wywołuję, nie udaję rzeczywistości, ale wciągam ją żywą do teatru, gdy mi tego potrzeba.

— Ano, można i tak. Więc wszystkie sztuki, w pańskim teatrze wystawiane, będą się dziać w górach, zimą w zimie, latem w lecie, dniem we dnie, a nocą w nocy. Któż to panu takie sztuki będzie pisał?

— Nie mam zamiaru wyłącznie i zawsze korzystać z tego urządzenia.

— Pańska fantazja, śliczna pańska fantazja! Mojemu Zarembie to by się spodobało, — zakończył dyrektor i postanowił w duchu zaczekać, aż teatr Turskiego zbankrutuje lub sprzykrzy się właścicielowi i dopiero wtenczas objąć go w dzierżawę. Obliczał w myśli, ile będzie musiał włożyć w to cudactwo,

aby je przerobić na przyzwoity, europejski teatr nowożytny.

Zarembie zato — jak przewidział Malinowski — rzeczywiście podobały się fantastyczne plany Turskiego. Widywali się często w Krakowie, gdzie Turski przyjeżdżał osobliwie, aby z dawnym dyrektorem rozmawiać. Przy pierwszych spotkaniach zastawał go powściągliwym i małomównym, jak gdyby nieufnym, ale w miarę, jak dzieło postępowało i nowe pomysły się rodziły, stary pan ożywiał się coraz więcej i nawet zapalał. Jakaś młodzieńcza, niepożyta siła promieniowała zeń wtedy, przygasłe, badawcze oczy nabierały szczerego blasku, usta się uśmiechały z przedziwną, głęboką miłością dla sztuki: rzucał nowe myśli, podsuwał projekty, ożywiał, zachęcał, podpierał, chociaż nie łudził, że przedsięwzięcie jest dosyć szalone i o wiele rzeczy trzeba będzie ciężko walczyć, wiele przezwyciężyć, w wielu może nawet ulec.

Wytworzyła się między nimi na tym gruncie serdeczna zażyłość. Były wieczory w długie jesienne szarugi i później, gdy śnieg już zaczynał prószyć, że siedzieli we dwóch godzinami całemi, rojąc i licząc, budując i śniąc zarazem, a zawsze tworząc. Zaremba, człowiek olbrzymiej i wytwornej kultury, znał doskonale Zachód, umiał niejako napamięć wszystkie jego teatry, pochłonął całą dramatyczną literaturę Europy, od najdawniejszych greckich tragików począwszy aż do doby współczesnej. Z wyszukanem smakoszostwem artystycznem pomagał Turskiemu układać program tak zwanego repertuaru, a raczej układał go sam za niego: przypominał rzeczy zapomniane i cenne, wyszukiwał arcydzieła nieznane, w sztukach ogranych i lekceważonych pokazywał piękno, kreśląc plan ich nowej, a naprawdę jedynie

słusznej inscenizacji. A potem sięgał do swoich tek i wydobywał rękopisy dramatów, komedyj, widowisk autorów nieznanych, których nikt nie chciał wystawiać od czasu, gdy on przestał być dyrektorem. Były tam nieraz rzeczy dziwaczne i niespodziewane, ale uderzające śmiałością pomysłu, poczuciem życia sceny nadzwyczajnem, nigdy nie banalne, zawsze zaciekawiające.

Autorowie, odpędzeni od progów oficjalnych „przybytków sztuki", często wyśmiani, składali te manuskrypty wzgardzone w jego ręce.

— Ależ ja nie jestem dyrektorem! — mawiał wtedy Zaremba.

— To nic, — odpowiadano mu. — Pan jeden mógłby to wystawić, a gdy pan tego zrobić nie może, to i tak rzecz jest skazana na zagładę.

I miano słuszność. W ten chaos pomysłów twórczych on patrzył jak na szkic jakiegoś dzieła muzycznego, które trzeba dopiero zorkiestrować, na instrumenty rozłożyć i mądrą ręką dyrygenta wydobyć ton właściwy, właściwe tempo i napięcie. Gdy Turskiemu niektóre rękopisy pokazywał, ten ruszał nad niemi ramionami; skoro mu jednak swój plan inscenizacji rozwinął, Turski oczy szeroko otwierał: widział wstające przed sobą arcydzieło — sztuki nietyle dramatycznej, ile scenicznej, nie przez pisarza, ale przez Zarembę, reżysera doskonałego, stworzone i zdumiewał się coraz więcej nad wielkością genjuszu tego człowieka.

Kiedy indziej znowu Turski opowiadał. Mówił o teatrze w Indjach, w Chinach i w Japonji, na który własnemi patrzył oczyma, a nadewszystko chętnie przypominał sobie przedziwne, na Jawie wśród malajów widziane przedstawienia... Przy dźwiękach gamelanu,

orkiestry na poły barbarzyńskiej a jednocześnie wyrafinowanej, hałaśliwej i dziwnie tęsknej zarazem, wpadają na scenę płytką kolejno pary aktorów w hieratycznych, jako wspomnienie z Indji zachowanych strojach, przedstawiają się stosownie do charakteru tańcem poświętnym, wojowniczym lub miłosnym i siadają na długiej ławie zprzodu, w nieruchome posągi zamienieni, robiąc miejsce parze następnej. A gdy wszyscy, co w przedstawieniu brać mają udział, miejsca już zajęli, występuje na podjum między muzyków i zastygłych aktorów bard, starzec zazwyczaj ogromny i siwobrody.

Wznosi ręce i gamelan wita go dziesiątkami rozszalałych instrumentów muzycznych, które milkną nagle na dany znak.

Bard rozpoczyna opowiadać. Snuje ze siebie powieść bohaterską, dawną, dramat dziwny, pełen bogów i ludzi, słońca i krwi — dając niekiedy znak instrumentowi któremuś, aby zajęczał zcicha, rozśpiewał się miłosnym snem, zaśmiał dzwonkami, albo uderzył w grom, stosownie do jego słów...

Epopeja zwolna nabiera życia, tętno w niej szybsze, akcja wyrazistsza; już nietylko muzyczne narzędzia, ale i ludzie grać poczynają.

Oto bard skinął dłonią: z ławy wstają rycerze i w rytm słów jego walkę krwawą przed oczyma widzów poczynają, — w gamelanie bęben gra, chrzęszczą zbroje żelazne. Znów cisza. Walka minęła jak sen, jeno przyciche słowa barda snują opowieść dalej... Mówi o miłości, o cud-królewnie, w lesie przez wygnanego księcia spotkanej. Tancerki wionęły przez scenę; ruchem rąk i torsów nagich, pląsem nóg młodych pokazują wszystko, o czem bard opowiada...

— Pierwotna to budowa dramatu, — mówił Turski — ale jest w niej jakaś moc dziwnie sugestywna. Długie noce, w teatrach jawańskich spędzone, pozostały mi w pamięci na zawsze, jakby widzenie fantastyczne. I kto wie, czy tam nie kryje się jakaś wielka prawda sztuki. Ruch, słowo i dźwięk wiążą się tutaj razem, ale w walorach swoich pozostają nienaruszone, nie niszczą się wzajemnie i nie zacierają, jak naprzykład w najbardziej barbarzyńskim, nonsensowym wytworze europejskiej cywilizacji, w operze. Przecież to jest potworność, kazać aktorowi jednocześnie śpiewać za orkiestrą, wygłaszać zdania o pewnej treści i znaczeniu, i grać ruchami i tańcem! To jest sztuczka cyrkowa a nie sztuka; nienawidzę opery! Tam — na Jawie, — w społeczeństwie o starej kulturze, które nam się spodobało nazwać barbarzyńskiem dlatego, że jest inne niż nasze: słowo ze swą treścią wiedzie prym, ale muzyka, jemu poddana, idzie z nim razem, a aktor, uwolniony od konieczności mówienia, tem swobodniej i głębiej może się we właściwej swej dziedzinie, to jest w ruchu wyrażać... Zmiana dekoracji w takiej sztuce jest niepotrzebnem głupstwem. Śnię o stworzeniu u nas czegoś podobnego, w scenie mojej naprzestrzał otwartej, na tle śnieżnych Tatr. Pan by mi to urządził, — ale kto mi napisze potrzebny tekst?

— Niech to pan zrobi sam — wtrącił Zaremba, nie spuszczając wzroku z twarzy Turskiego.

Turski poczerwieniał mimowoli.

— Nie potrafię, a zresztą... nie chcę. Boję się, że zrobiłbym to niedoskonale, może nawet niedołężnie; nie ufam już sobie, a mam jeszcze dość miłości własnej...

Więcej nie było o tem mowy.

Z częstych rozmów z Zarembą zyskiwał Turski niezmiernie wiele i tem goręcej pragnął, aby on objął

artystyczne kierownictwo jego teatru. Ale stary pan odmawiał niezmiennie i stanowczo.

— Owszem, pracować z panem jestem gotów, — rzekł mu raz, — ale tylko, że tak powiem, jako nieoficjalny doradca. Zobaczy pan, że i tak mnie będą robili odpowiedzialnym za niepowodzenia, jakich pan dozna.

— Czyż muszą być niepowodzenia?

— Muszą, panie Turski, muszą! Na to niech pan będzie przygotowany. Program pański i artystyczną działalność będą krytykowali bez litości — ci wszyscy, których pan do współkierownictwa nie zawezwał, gdy im się zwidziało, że są do tego powołani. A ponieważ takich będzie daleko więcej, niż tych, których pan istotnie może potrzebować, *ergo — et cetera!*

— Niech będzie. Wytrzymam.

— Do przedsiębiorstwa będzie pan grubo dopłacał...

— I na to jestem przygotowany.

— Tak... rozporządza pan znacznym bardzo kapitałem, ale i to się wkońcu wyczerpie.

— Ha, trudno.

Zaremba się roześmiał.

— Tak było ze mną. Wie pan, przypomniało mi się zdarzenie... Spotkałem niedawno po długiem niewidzeniu jednego z naszych wielkich pisarzy dramatycznych, w wiecznej biedzie żyjącego. Pan go zna zresztą... Otóż rozmawiamy o różnych rzeczach. Pyta mi się wkońcu, czy nie myślę o objęciu jakiego teatru na własną rękę. Mówię, że nie mogę. — „Dlaczego?“ — Bo nie mam pieniędzy. — Widzę uśmiech niedowierzania. — „Jakto? Naprawdę już nie masz?“ — Nie mam. — „Nic?“ — Nic, mówię. Odetchnął z ulgą. — „Nareszcie! Jesteś teraz artystą!“ — i rzucił mi

się z rozrzewnieniem na szyję! Był dumny, bo pierwszy raz w życiu kupił mi wtedy flaszkę wina.

Śmieli się obaj i obliczali w przybliżeniu, kiedy Turski przy swojem przedsięwzięciu zostanie „nareszcie artystą“.

Zresztą dość było takich, którzy mu usiłowali pomóc do tego w jak najkrótszym czasie. Poprostu nie mógł się opędzić tabunom aktorów obojej płci, którzy chcieli się angażować u niego — za bajeczne sumy naturalnie, dekoratorom, mechanikom, doradcom literackim, dramatycznym autorom żądającym zaliczek, kasjerom, sprawozdawcom, wzmiankarzom, krawcom i fryzjerom.

Rozpoczął się około niego ten śmieszny taniec ludzi, którzy poczuli w czyjejś kieszeni grosz, gotowy do wypłynięcia na świat, a suponując u jego właściciela brak wszelkiego doświadczenia, starali się ubiec rzeczywistych i urojonych konkurentów w korzystaniu ze złotej patoki. Łaszono się Turskiemu obrzydliwie w oczy, poza oczyma zato mówiono wzgardliwie, że jest idjota i osioł.

Budowa tymczasem, na którą nie skąpił pieniędzy, postępowała w szybkiem tempie; architekci zapewniali go, że gmach za rok, na przyszłą jesień, będzie już gotów. Turski więc śpieszył się ze swej strony, aby sobie podczas zimy złożyć trupę według swego serca, z którą już w lecie zamierzał rozpocząć próby.

Nie było to zadanie łatwe ani proste. Wogóle sił naprawdę dobrych — jak zawsze — mimo ogromnej ilościowo podaży, trudno było dostać, — do tego dołączała się ta jeszcze okoliczność, że ani Turski, ani wspierający go radą i doświadczeniem Zaremba nie chcieli dawać w składzie personalu przewagi aktorom uznanym i rutynowanym.

— Byłoby dla mnie ideałem — mówił Turski do Zaremby, — nie mieć ani jednego artysty z tych, którzy przed istnieniem mego teatru byli już wielcy, a natomiast złożyć trupę z ludzi prawdziwie zdolnych, którzy dotychczas nic nie umieją, może nawet desek scenicznych nie oglądali.

Zaremba podzielał jego zdanie, ale lubił się droczyć, więc odpowiadał na to:

— Chce pan, aby się od pana wszystko zaczynało!

— Nie, dyrektorze, — (tak zawsze starego pana nazywał), — naprawdę nie o moją zarozumiałość tu idzie. Raczej jest w tem może trochę nieufności we własne siły. Chodzi mi o to, że mam pewne myśli, będące stanowczo inowacją ze względu na dotychczasową sztukę sceniczną, i chcąc je przeprowadzić u aktorów uznanych i gotowych, muszę przełamać wpierw ich rutynę, do czego niezbyt się czuję na siłach. Obawiam się, że wobec niezaprzeczonego i już wyrobionego artyzmu tego lub owego aktora znanego, ulegnę i będę miał teatr może doskonały, ale nie taki, jaki mieć chciałem.

— A więc eksperymenty?

— Może. Ale pan mi chyba z tego zarzutu nie postawi. Wszakże pan sam przez całe życie nic innego nie robił.

Zaremba się zaśmiał.

— Zgoda! Ma pan słuszność. Ale nie jest tak źle, jak pan sądzi. Wszystko się da zrobić. Przedewszystkiem między wybitnymi i rzeczywiście wielkimi aktorami znajdują się ludzie dużej artystycznej inteligencji, którzy z największą łatwością i ochotą poddają się nowatorstwom i wskazany im ton chwytają, gdy tylko widzą w nim sztukę, a u kierownika chęć szczerą stworzenia nowych jej walorów. Mówię to

z długiego doświadczenia. Z takimi ludźmi da się pracować, — trzeba ich tylko umieć wynaleźć. Chętnie panu w tem dopomogę. Poza tem może pan myśl swoją urzeczywistnić i szukać materjału poza teatrem, gdzie także niewątpliwie cenne perły pan może wyłowić.

Jakoż Turski szukał i znalazł sporo, nieraz tam, gdzieby się najmniej tego można spodziewać. Stał się poprostu rybitwą ludzi. Rozglądał się w towarzystwie, na balach, wieczorkach i zebraniach, bywał na zgromadzeniach ludowych, śledził pilnie uczestników amatorskich teatrzyków po zapadłych mieścinach — i tak powoli uzupełniał i kompletował swymi „obiecującymi nieukami“ to, co Zaremba z teatrów mu zgarniał.

Brakowało mu tylko aktorki — takiej, jaką sobie wyśnił, którąby mogła stać się osią jego trupy. Wszystko to, co miał, przez swoje i Zaremby starania, nie odpowiadało jeszcze jego życzeniu, i zwątpił był już prawie, aby znalazł kobietę, jakiej pragnął.

— Snać wszystkie są w życiu poniekąd aktorkami — mówił do Zaremby — i może dlatego właśnie tak trudno znaleźć taką, którąby była zdolną wyłącznie do czystego, świętego kłamstwa sztuki.

Zaremba się uśmiechał.

XII.

W jakiś czas po śmierci starego księcia, kiedy już było powszechnie wiadomo, że młoda i piękna wdowa po upływie okresu obowiązkowej żałoby ma zaślubić niejakiego pana Rohityna, wszyscy, którzy ją bliżej poznali, usiłowali jej to wybić z głowy, tłumacząc, że ówże Rohityn zgoła nie jest osobą dla niej na męża odpowiednią. Robiono mu zarzuty słuszne i niesłuszne. Rozpatrywano jego pochodzenie, majątek, stanowisko, badano przeszłość, stawiano horoskopy na przyszłość, wyciągano na jaw szczegółowo jego wady, przywary i niedostatki towarzyskie, słowem w pewnych kołach zajmowano się nim w owym czasie więcej, niż przez całą resztę jego życia dotąd.

Księżna w ślicznym stroju wdowim słuchała zarzutów, mając pełno łez w oczach i melancholijny uśmiech na ustach. Nie przeczyła niczemu. Zdawało się nawet, że sobie podoba w tej roli ofiary, że współczucie i żal, które jej towarzyszą, jako istocie skazanej przez swe zaślepienie na nieodpowiednią i pewno w przyszłości nieszczęśliwą partję, mają dla niej pewien osobliwy i smutny urok.

— Cóż robić — mawiała. — Kocham go. On ma tak piękną duszę...

(Piękna dusza Rohityna stała się już przysłowioną w całym Krakowie).

— Ale pani będzie nieszczęśliwa! — odpowiadano.

— To już widocznie mój los. W pierwszem małżeństwie także szczęśliwa nie byłam.

— Niewart jest pani! Pani jest nadzwyczajna, pani jest wyjątkowa... — i tak dalej, chwalono ją bez końca.

Ocierała rożkiem batystowej chusteczki łzę z oka i przyznawała, że to wszystko może prawda, ale Rohityn wywiera na nią nieprzezwyciężony urok, któremu ona już oprzeć się nie może.

Zdarzyła się taka rozmowa raz w przytomności profesora Butryma. Jakaś starsza dama, ponoś krewna księżnej, przedkładała jej z wielkim zapałem, że popełnia szaleństwo, którego kiedyś w przyszłości gorzko będzie żałować.

Profesor milczał i uśmiechał się.

Dama wyliczyła wedle ustalonego już tekstu całą litanję wad Rohityna, którą księżna właśnie setny raz słyszała, zaklęła ją na wszystkie świętości, na dziecko i prochy dostojnego męża w grobie, aby nie kalała nazwiska i nie robiła rzeczy, która ją musi zdyskwalifikować w towarzystwie — poczem uniesiona duchem proroczym poczęła jej w niezmiernie czarnych barwach malować okropne obrazy z przyszłego jej pożycia z drugim (co nie daj Boże!) mężem.

Zakończyła prawie że przekleństwem i zapewnieniem, że jej noga więcej tego progu nie przestąpi, i wyszła, obiecując przyjść jeszcze nazajutrz.

Profesor ciągle milczał i uśmiechał się.

Księżna zwróciła na niego oczy pełne przerażenia i łez.

— I co pan mówi na to wszystko? Co pan mówi! Widzi pan, co ja muszę cierpieć... To jest okropne.

— Naprawdę bardzo okropne.

— Pan sobie żartuje!

— Nie, księżno. To jest naprawdę tak okropnie nudne, że ja na miejscu pani byłbym już dawno wyjechał z Krakowa.

Westchnęła.

— Ach! Gdybym to mogła...

— Cóż panią trzyma?

— To tak trudno powiedzieć. Napozór niby nic, a jednak jest tyle rzeczy...

— Ha, to niech pani cierpi.

Księżna zerwała się z błyskami w oczach.

— Nie mogę już dłużej! Nie mogę! Spokoju mi nie dają, męczą mnie, przeklinają mnie i dziecko moje. Zaco? Dlaczego? Cóż komu do tego?

Chodziła po pokoju żywemi krokami, z namarszczoną brwią, jak burza.

— Naturalnie. Cóż komu do tego.

— I niech pan powie jeżeli nawet Ludwik, to pan Rohityn jest dla mnie nieodpowiedni...

— Wcale tego nie myślę.

Zatrzymała się zdumiona.

— Jak? — —

— Nie myślę wcale, aby pan Rohityn był dla pani nieodpowiedni, księżno. Owszem, o ile go znam, sądzę, że jest to najwłaściwszy narzeczony, jakiego pani sobie mogła wybrać.

— Jak to pan rozumie? — zapytała trochę niepewnie.

Butrym poprosił o pozwolenie zapalenia papierosa.

— To jest właściwie wcale niezły człowiek — zaczął, wpatrzony w błękitny dymek. — Zbyt wiele zwraca się uwagi na pewne, że tak powiem, zewnętrzności jego charakteru. Młody jest. Pod wpływem pani zmieni się w nim jeszcze niejedno. A sądzę, że

ma w sobie pewne dane, które pozwalają przypuszczać, że będzie to mąż dla pani doskonały.

— Jakież to dane? — spytała z mimowolnym i zgoła nieopatrznym przekąsem.

Profesor uśmiechnął się leciuchno kącikami ust. Księżna musiała to zauważyć i zmieszała się .co jej się zresztą bardzo rzadko zdarzałc.

— Tak, tak, ma pan słuszność — podjęła z nienaturalną trochę żywością, — to jest rzeczywiście człowiek... Tak jest, ma w sobie naprawdę coś niemal demonicznego, jakąś dziwną moc, silny jest, nieposkromiony, jak koń bez wędzidła i piękny...

Profesor strząsał powoli popiół z papierosa do popielniczki.

— Nie myślę tego.

Spojrzała nań pytająco i niespokojnie.

— Ja sądzę — ciągnął dalej, — że właściwie jest całkiem inaczej. Demonicznego niema w nim nic, ani szatańskiego nawet, z wyjątkiem chyba miny. Ale z tego można się poprawić. Nie jest także nieposkromiony, a w stosunku do kobiet, zwłaszcza do pani, prawdziwie i dziecinnie słaby. To są duże zalety, zwłaszcza gdy napozór wygląda inaczej. Robi się bardzo przyjemna zabawa, rodzaj gry, bo, księżno droga, trzeba przyznać, że my się w życiu zawsze najlepiej grą, byle dobrą, bawimy. On będzie pani jako mąż słuchał z najgłębszą i najuleglejszą pokorą, która jednakowoż nie będzie nudna, bo dla własnego zadowolenia zachowa całkiem mimowoli pozory, że jest „szatanem“, którego pani cudem ujarzmia i pokonywa. A przytem dla urozmaicenia czasem małe, maleńkie wybuchy, czasem gniew i potem te przeprosiny z całowaniem zgrabnych pantofelków... Nie wiem, czy będzie bardzo cierpiał, gdy mu pani krzywdę

zrobi, ale to pewna, że krzyczeć będzie bardzo głośno i da pani miłe złudzenie odczuwanego przez miłość czy zazdrość bólu. To wszystko są rzeczy, których lekceważyć nie można, i dlatego sądzę, że Rohityna, tego doskonałego człowieka, naprawdę źle wszyscy znajomi pani oceniają.

Mówił, a księżna patrzyła nań zboku, jakby się chcąc upewnić, czy nie drwi. Gdy jednak spostrzegła, że profesor ma zupełnie poważny wyraz twarzy a w głosie jego nie drga ani cień ironji, ruszyła ramionami nieznacznie i trochę niecierpliwie.

On kończył tymczasem:

— Rozumiem dobrze, że takiego człowieka, właśnie takiego mogła pani pokochać tak głęboko i naprzekór wszystkiemu. Jestem przekonany, że zrobi pani bardzo, bardzo dobrze, wychodząc za niego zamąż.

Księżna zwróciła rozmowę na inny przedmiot, a Butrym zauważył, że jest chłodna i jakby urażona. Przy pożegnaniu, które nastąpiło prędko wobec rwącej się wciąż dalszej rozmowy, podała mu wyniośle sztywną dłoń do pocałowania i nie zachęcała go wcale do ponownych odwiedzin.

Butrym śmiał się, powtarzając pewnego dnia żonie w domu tę rozmowę.

— Złośliwy jesteś, Mietku — rzekła pani Zośka.

— Wcale nie jestem złośliwy. Nie uważam bynajmniej, aby wdowa po księciu Hazarapeljanie robiła znowu taki nadzwyczajny mezaljans, wychodząc za Rohityna. Jest on sobie taki, jak tysiące innych, ani lepszy, ani gorszy. Irytuje mnie to poniewieranie zupełnie przeciętnego człowieka i łamanie rąk nad krokiem księżnej, jakby ona była czemś innem, jak również przeciętną kobietą.

— Nie mów! Ona jest poprostu nadzwyczajna.

— W czem?

— Choćby w tem, że jest piękna, cudowna i że tak sobie umie przygiąć do nóg, zdeptać was wszystkich...

— Jakto: nas wszystkich?

— O, ciebie nie! Naturalnie. Ty jesteś człowiek nieskazitelny.

Pogardliwa ironja zgrzytnęła w głosie słodkiej pani Butrymowej.

Profesor ruszył ramionami.

— Gotowaś mi robić zarzuty, żem się do jej rydwanu nie zaprzągł — rzekł lekko i z humorem.

Żonę jego to podrażniło.

— Nie bój się, nie byłoby tam miejsca dla ciebie. Cóżby z tobą robiła? Zresztą... starzejesz się znacznie w ostatnich czasach.

Profesor wziął jakąś książkę w rękę i nie chcąc prowadzić dalej tej rozmowy udawał, że czyta.

Pani Zośka milczała przez jakiś czas, przerzucając nuty na fortepianie. Wreszcie zagadnęła niespodziewanie:

— A wiesz, ten Turski, to jest skończony osioł.

— Co mówisz?

— Że Turski jest osioł.

— Niech będzie.

— Naturalnie. Bo żeby mieć taką kobietę i uciec przed nią i pozwolić sobie zabrać ją innemu...

— Przedewszystkiem: nie widzę w niej nic nadzwyczajnego, a następnie: cóż on mógł na to poradzić.

— Nie! Z tobą nie można dzisiaj mówić. Wogóle nigdy. Udajesz zawsze, że uważasz na to, co ja mówię, a w rzeczywistości myślisz o czem innem. Nie wiem nawet, dlaczego się fatygujesz, aby mi odpowiadać!

Butrym odłożył książkę.

— Słucham cię.

— Nie mam już nic więcej do powiedzenia. Możesz czytać.

Jakoż chciał czytać dalej, ale w tej chwili oznajmiono wizytę.

Profesor rzucił okiem na bilet i podał go żonie

— To do ciebie. Golimski.

— Dlaczegoż do mnie?

— Bo ja z nim nie mam nic do mówienia — rzekł i wyszedł z książką z pokoju.

Pani Zośka w jak najfatalniejszym humorze kazała prosić przybyłego do salonu. Gdy jednak za chwilę podawała mu zgrabną i małą, choć trochę za krótką dłoń do pocałowania, wdzięczny uśmiech igrał jej już na ustach, a z przymrużonych filuternie z odrobiną kokieterji oczek niktby nie był poznał, że miała niedawno sprzeczkę z prawowitym małżonkiem. Nie lubiła wprawdzie Golimskiego, którego uważała za przykrego zarozumialca, ale lubiła zato przedstawiać się zawsze i wszystkim „z lepszego profilu“, jak mawiał nieboszczyk Poleski. Była więc uprzejma nawet może ponad konieczną potrzebę.

Golimski przypisywał to wyłącznie własnym zaletom, które, jak sądził, na „tej poczciwej profesorowej“ głębokie wywarły wrażenie. „Poczciwa profesorowa“ widziała to i śmiała się z tego troszeczkę w duchu, ale postępowania swego nie zmieniała.

Na brak tak zwanego powodzenia u kobiet Golimski wogóle nigdy uskarżać się nie mógł — był tęgi, dobrze wyrosły, bardzo układny, przystojny i niezbyt inteligentny — od czasu jednakowoż bliższej jego znajomości z księżną Heleną spadła na niego jakaś aureola niezwyciężonego zdobywcy serc niewieścich, którą nosił z wielką godnością i pewnością siebie, jako rzecz zasłużoną i należną. Patrzył na kobiety przejmująco i trochę wyniośle, i wysuwał w uśmiechu naprawdę piękne, czerwone usta o dziewczęcym zakroju warg, ponad któremi golił starannie wąsy, aby ich linji nie psuły.

Koło księżnej Heleny kręcili się tymczasem ludzie inni, przedewszystkiem Rohityn, i o Golimskim poczynano już zapominać, kiedy pojedynek z Poleskim przypomniał go na nowo i napowrót niejako na świeczniku postawił.

Rzecz napozór dziwna: wśród kobiet nie mówiono i nie myślano o tem, żę dostał w twarz od ułomnego człowieka za publiczne znieważenie imienia byłej swojej kochanki, a natomiast patrzono na głęboką szramę, lewy policzek jego żłobiącą, jak gdyby ją w jakiej zaszczytnej i rycerskiej sprawie otrzymał. Golimski zauważył wnet, że to, co się obawiał sam, iż go w towarzystwie pognębi, raczej nowego mu dodaje blasku i coraz chętniej i częściej opowiadał o walce swej z garbatym lekarzem, o której początkowo nie śmiał nawet wspominać. Ułożył sobie już nawet osobną o tem legendę.

I teraz w rozmowie z panią Butrymową rychło na ten zeszedł temat.

— Ach, proszę pani, — mówił, uśmiechając się tajemniczo — zrozumie mnie pani łatwo, że w tym wypadku musiałem być słabszym...

Pani Zośka udała zdziwienie.

— Nie rozumiem pana.

— Przecież to takie proste. Miałem przed sobą kalekę, nie mogłem więc użyć całej swojej przewagi, nie mogłem się stać poprostu mordercą...

— Raczej więc zamordowanym — rzuciła Butrymowa nie bez pewnej zjadliwości.

— Tak — rzekł Golimski z głębokim i szlachetnym patosem i zamyślił się bardzo widocznie.

— Nad czem pan duma?

Ocknął się, jakby ze snu zbudzony.

— Myślę, że jest jednak jakaś sprawiedliwość losu...

— Że pan został pokonany? — spytała niby naiwnie.

— Nie, ale... ta śmierć Poleskiego...

— Ach!

— Wyjawię pani tajemnicę. To był dalszy ciąg naszej walki.

— Jakto?

— Poleski nie był pozbawiony pewnej... powiedzmy sobie szlachetnej dumy.

— Nie wątpię o tem ani na chwilę — rzekła pani Zośka poważnie.

— Otóż to. Spostrzegł on, że mu się dobrowolnie dałem pokonać i to go tak dotknęło, że po skończonem spotkaniu zaproponował mi sam jeszcze... amerykański pojedynek — kłamał Golimski.

— Co pan mówi!

— I los chciał, że on czarną gałkę wyciągnął.

— Natychmiast po spotkaniu?

— Tak jest. W godzinę miał się zabić i ostatecznie dotrzymał słowa, choć to tam podobno więcej trochę upłynęło, niż godzina. Ale trudno, do życia jest się tak przywiązanym!

— Panie Golimski!

— Słucham.

— Przecież... po pojedynku był pan nieprzytomny...

— Ach, to się tak opowiada!

Pani Zośka stała teraz przed nim wyprostowana. Dotychczasowa uprzejmość zniknęła jej z twarzy — usta miała zaciśnięte, w oczach zimny błysk wzgardy. W chwili jednak, kiedy spojrzał na nią, uśmiechnęła się znowu, ale jakoś dziwnie. Z nieznacznym, jakby powątpiewającym ruchem głowy wyciągnęła kąty zaciśniętych, wąskich ust i wzniosła brwi cokolwiek ku górze. Cała twarz jej wyrazem swym syczała jak żmija, do której się prawie stała podobną.

— Co pan mówi — powtórzyła z chłodną ironją, — to pan jest człowiek poprostu nadzwyczajny! Ta szlachetność...

Golimski mało był skłonny do tego, aby się mieszać — zmieszał się jednak naprawdę, posłyszawszy jej głos.

— Jak to pani rozumie? — wybąknął, usiłując jeszcze nadrabiać miną.

Pani Zośka, zamiast odpowiedzieć, zapytała niespodziewanie:

— Czy to bardzo bolało, gdy Poleski w kawiarni uderzył pana w twarz?

Golimski zerwał się z krzesła. Trochę odstające uszy poczerwieniały mu nagle.

— Proszę niech pan siada. Jakie wino piliście wówczas? Veuve Cliquot? Moet et Chandon? Perier Jouet? A może Pol Roger? Ach, ja przepadam za marką Pol Roger!

— Przecież to nie należy do rzeczy...

— A więc, może opowie mi pan coś o księżnej. To przecież miało związek bezpośredni. Jestem ciekawa, a pan chyba z właściwą mężczyznom... otwartością — wszak to się tak nazywa, co?

Golimski przypomniał sobie nagle, że właśnie na

tę godzinę gdzieś z kimś się umówił, poczem ukłoniwszy się pierwszy raz w życiu nader niezgrabnie, wyszedł z salonu, usiłując bez powodzenia zachować minę wyniosłą i lekceważącą.

Ledwo drzwi się za nim zamknęły, pani Zośka zaczęła się uśmiechać do siebie z wielkiem zadowoleniem. Przechodząc koło zwierciadła, rzuciła weń okiem i na moment — jakby mimowolnie — przybrała ten srogi wyraz twarzy, którym gościa wystraszyła. Poczem skinęła samej sobie głową z uznaniem i zaczęła oglądać swój nosek, niewiadomo, dlaczego z jednej strony troszkę zaczerwieniony. Oględziny uspokoiły ją snać, że nic poważnego jej twarzy nie grozi, więc uśmiechnęła się jeszcze raz do zwierciadła, zrobiła doń oczy naiwne i dobre i poszła się pochwalić mężowi, jak się gościa pozbyła.

Nim jednak doszła do jego pokoju, ogarnęła ją jakaś niechęć i przykre uczucie niesmaku. Ponieważ zaś nie wiedziała dokładnie, o co jej chodzi, więc wpadła w złość na męża, jako na istotę w domu najbliższą, że to on „zaprasza i przyjmuje tego błazna, którego ona dopiero musi bawić". Szła więc dalej z zamiarem dania mu odpowiedniej bury.

Ale profesor Butrym na swoje szczęście już był wyszedł z domu. Obawiał się poprostu, że go żona może wezwać do niemiłego mu Golimskiego i uciekł. Wałęsał się trochę po mieście bez celu, aż w Rynku spotkał się z Rogockim. Były adwokat mimo chłodu ubrany był w lekką, wyszarzałą pelerynę, — łydki miał owinięte angielskiemi powijakami, co wysokiej postaci jego nader śmieszny nadawało wygląd, zwłaszcza że pod pachami niósł całe mnóstwo zawiniątek i paczek. To przeszkodziło mu także przywitać się z Butrymem: nie mógł się ani ukłonić, ani ręki mu podać pod grozą uronienia części swego ciężaru w błoto pokrywające krakowski Rynek, wybrukowany po staremu „kocimi łebkami", gwoli zachowaniu „historycznego charakteru miasta".

Butrym podszedł ku niemu.

— Cóż pan tak objuczony? Czy pan połowę sklepów krakowskich zrabował?

Rogocki zaczerwieniał się wstydliwie.

— Nie... ja tylko... to jest... księżna Helena prosiła mnie o załatwienie przy sposobności kilku drobnych sprawunków, a że przytem mam jakieś swoje rzeczy przy sobie...

— Może panu pomóc nieść? — zaofiarował się profesor.

— Dziękuję panu, dam sobie radę. Ale — dobrze, żem pana spotkał! Mam coś, co pana zainteresuje. Wstąpimy... ot tu do handelku, mają doskonałe tanie wino austrjackie, pokażę panu przy sposobności...

Butrym chciał się wymówić, ale było już zapóźno. Rogocki nie puszczając pakunków, chwycił go za płaszcz wskazującym i środkowym palcem dłoni i pociągnął za sobą do ciemnej i niezbyt czystej izby. Przywitano go tutaj jak stałego bywalca z odłobiną rażącej Butryma poufałości.

— Sługa pana mecenasa dobrodzieja — mówił brudny subjekt, pełniący obowiązki kelnera, — jak zawsze: ósemka czerwonego, kompot z brušnic, rydze kiszone i wkońcu kuropatwa z kaszą tatarczaną. Stasik! Nakryjno prędko dla pana mecenasa!

Rogocki zwrócił się do profesora z niejakiem zakłopotaniem.

— Pan się zapewne dziwi, że ja o tak niezwykłej porze... ale widzi pan, ja mam swoją metodę. Jadam właściwie tylko raz na dzień, około piątej...

— Czy zawsze kompot z bruśnic i rydze kiszone?

— Tak jest, i kuropatwę! Przekonałem się, że najlepiej jadać codziennie to samo, a ten porządek potraw sobie ułożyłem, bo to mojemu żołądkowi odpowiada...

Butrym zauważył w duchu, że Rogocki może raz na dzień jada, ale z pewnością więcej razy pija, gdyż biła od niego skombinowana woń wódki i piwa. Chcial wstać i pożegnać się, ale to mu się nie udało.

— Siadaj pan! Przecież ja panu jeszcze nic nie pokazałem! — zawołał „pan mecenas dobrodziej“ głosem rozdrażnionym i zmusiwszy Butryma przemocą, aby usiadł, począł z miną wielce tajemniczą wydobywać z przyniesionej z sobą teki i licznych kieszeni ubrania, różne świstki papieru, pokryte notatkami i rysunkami.

Gdy to wszystko już leżało na stole, przykrył cały stos szeroką łapą i uśmiechnął się z dumnem zadowoleniem pod sumiastemi wąsami.

— Niech pan zgadnie, co to jest?

— Nie wiem. Swistki papieru.

— Tak, ale co na nich?

— Tego już żadną miarą przeczuć nie mogę.

Rogocki nie kwapił się z wyjawieniem tajemnicy, chcąc snać ciekawość towarzysza podniecić, która w istocie była bardzo mała. Ale on tego nie uważał. Zabrał się do jedzenia kompotu, przegryzając niekiedy kiszonym rydzem i tylko z pod' oka pilnował profesora, aby mu nie uciekł. Wreszcie gdy mu podano kuropatwę, przy czwartej lub piątej „ósemce“ wina, jak śmierć cierpkiego, odsapnął i wyrzucił jak bombę z siebie:

— To są materjały do dzieła o początkach samodzielnej sztuki cechowej w Polsce!

Profesor uśmiechnął się grzecznie i udał, że wierzy, ale gdy rzucił okiem na podsunięte mu przemocą papiery, zainteresowało go naprawdę to, co zobaczył. Notatki, choć nie systematycznie ułożone, miały dużą wartość, niektóre kopje rysunków zadziwiały wprost mistrzowstwem. W miarę, jak przeglądał materjał, z rzeczywistem już teraz zajęciem, zdumiewał się coraz więcej. Uwagi rzeczowe i krytyczne, jakie tu i owdzie były adwokat robił, uderzały niespodziewaną trafnością i głębią, świadcząc o umyśle autora żywym, bystrym i subtelnym, choć niewątpliwie chaotycznym. Wprawdzie niekiedy między najpoważniejsze zdania wpleciony był jakiś ustęp cudacki i dziwacznie od treści odbiegający, wiele myśli było tam nieskończonych, urwanych w połowie, gdzie indziej znowu pojawiał się wniosek, może nawet w istocie swej przekonywający, ale zgoła niczem nie poparty, mimo to — wszystko razem było czemś nowem i niepospolitem.

— Robota warjata, ale genjalnego, — pomyślał profesor i wzniósł od papierów oczy na Rogockiego.

Siedział posępny, z namarszczoną brwią, z rękami głęboko wsuniętemi w kieszenie.

— Warto naprawdę, aby pan z tych notatek opracował dzieło. Możnaby się pokusić o wydanie w Akademji...

Rogocki kiwnął ręką z lekceważeniem.

— Nie, to głupstwo jest wszystko. Ot tak sobie czasem, gdy nie mam co robić...

Przed chwilą dumny jeszcze ze swoich papierów, zaczął je teraz zgarniać pogardliwie z brudnego stołu i zapychać niemi kieszenie marynarki. Kilka kart spadło na podłogę; nie schylił się po nie nawet.

— Co pan robi? — zawołał Butrym, podnosząc świstki, — przecież tego szkoda!

Rogocki nie odpowiadał długo. Wreszcie spojrzał profesorowi prosto w twarz z jakimś błyskiem bezradnej i lękliwej rozpaczy.

— Panie, ja nie jestem zadowolony z siebie! — wykrztusił stłumionym głosem, z dziecinną niemal skargą.

— Co się panu stało?

— Ja nie wiem, ja nie wiem! Ja przecież mam dużo w sobie energji, życia, — mówił, jakby to wszystko sobie samemu opowiadając, — a czasem taki jakiś przestrach... Co się ze mną dzieje, może się już stało... ja nie wiem.

Butrym nie odpowiadał. Przyszło mu na myśl, że ma przed sobą człowieka, który prawdopodobnie wkrótce znajdzie się w domu obłąkanych — i to jeszcze, że ten człowiek nieszczęśliwy, w pewnych momentach, zdaje sobie z tego sprawę, choć mu tak trudno przyznać się do tego przed samym sobą. Znać było, że czasem broni się przeciw tej świadomości wszelkiemi siłami i sposobami wszelkiemi: winem, gorączkową a krótkotrwałą pracą, chwalbą własnej wartości, przez którą sam się chce okłamać, i czasem lękliwą, do wyznania podobną skargą, której zaprzeczenia oczekuje.

Ale Butrym nie mógł się zdobyć na zaprzeczenie. Schylił głowę przygnębiony, choć to, co odczuwał, nie było zgoła podobne do litości ani współczucia. Był tylko smutny, że widzi człowieka ginącego i zna przyczynę jego zguby, nie wartą w istocie jednego dnia życia ludzkiego. Przypomniał sobie wyczytane gdzieś w talmudzie słowa rabiego Tharfena, dzieciobójcy, który mówił do swej córki: „Bóg stworzył kobietę, aby mężczyzna szczęście z niej miał; iżeś się stała cierpieniem dla człowieka, umrzej!"

Ha, ha! czy miał słuszność rabi Tharfen dzieciobójca? Czy nie powinniby raczej umierać ci, co w naczyniu rozkoszy boleść jeno i zatratę znaleźć umieją — —?

Myślał tak, a Rogocki tymczasem mówił dalej, wsparłszy łokcie na stole i wcisnąwszy kudłatą głowę między dłonie.

— Znalazłem poważne, wielkie zadanie życiowe: uratować kobietę, któraby może zginęła beze mnie, — porzuciłem dla tego celu wszystko, kancelarję, pan wie... nie miałem czasu zajmować się sprawami innemi, a teraz...

— Dajmy temu pokój, — przerwał Butrym, — to pana drażni.

Ale Rogocki pod wpływem wina, czy też jakiegoś przebytego wzruszenia, był dzisiaj skłonniejszy do zwierzeń, niż kiedykolwiek. Przybliżył się teraz ku niemu i wytrzeszczywszy oczy, pochwycił go trzęsącą się ręką za klapę surduta.

— Pan myśli, że ja się upijam? — zaczął znów, — nie, nie! Ja tylko muszę sztucznemi środkami podniecać siłę nerwową, która opuszcza mnie czasem, bo to takie trudne, tak strasznie trudne zadanie. Męczy mnie to wszystko i boję się, by mi nie brakło... Pan nie wie, pan nie wie nic!

Urwał i począł się z lękiem rozglądać dookoła, aż nagle, bez żadnego widocznego powodu, chwycił rozpaczliwym ruchem rękami za głowę.

— Panie Mieczysławie! Ja nie jestem zadowolony z siebie, — powtórzył znowu i ryknął płaczem, jak małe dziecko.

Subjekt, stojący w rogu pustego o tej porze pokoju, przypatrywał się tej scenie z obojętnym pół-

uśmiechem na wargach; był snać u stałego bywalca do podobnych wybuchów przyzwyczajony.

Butrym wstał i zapłaciwszy swój drobny rachunek wyszedł, nie żegnając się nawet z płaczącym wciąż Rogockim.

W kilka minut po jego wyjściu Rogocki, uspokojony już, wzniósł głowę. Nie spostrzegłszy profesora, nie zadziwił się nawet, jeno, jakby sobie coś przypomniał, gwałtownym ruchem wyrwał z kieszeni mizerny niklowy zegarek.

— Płacić! — krzyknął nerwowo.

Subjekt podbiegł natychmiast, ale okazało się, że wykrzyk Rogockiego był zgoła retoryczny. Pogrzebawszy nieco w dziurawej kieszeni od kamizelki, krzyknął, że jutro rachunek załatwi i wyszedł śpiesznie, jakby w obawie, żeby go nie zatrzymano.

Objuczony pakunkami, roztrącając ludzi po drodze biegł niemal pędem w stronę mieszkania księżnej Hazarapeljanowej. Na schodach skakał wgórę po trzy stopnie odrazu, aż wreszcie zdyszany, spotniały, czerwony od wina, płaczu i zmęczenia, zadzwonił do drzwi przedpokoju.

Księżna przyjęła go jak najfatalniej. Nie czekając nawet, aż położy przyniesione jej sprawunki, wpadła nań odrazu przy drzwiach z wyrzutami:

— Co pan robi? Czemu się pan tak spóźnia? Pan już przed godziną powinien być tutaj!

Usprawiedliwiał się poważnie.

— Proszę pani, nie mogłem. Pani mi kazała kilka rzeczy załatwić, a potem spotkałem kogoś znajomego...

— Wiem. Czuję. Wino pan pił.

— Jedną szklaneczkę tylko.

— A pij pan sobie i dziesięć, to mi nie szkodzi,

ale gdy pana proszę, aby pan tu był dość wcześnie, bo około siódmej ma przyjść Rohityn...

— Czy przyszedł już może? — przeląkł się Rogocki.

— Nie. Na szczęście spóźnił się. Niechże mnie pan teraz słucha. Niech pan nie mówi, żem ja panu przyjść kazała i niech pan nie wychodzi ode mnie, dopóki on tu będzie.

— Ależ, proszę pani...

— Już ani słowa. Niech pan tylko zrobi tak, jak proszę.

— Dobrze. Myślę jednak, że jeżeli pani nieprzyjemnie go przyjmować, to można powiedzieć, że pani wyszła, albo zresztą niech mnie to pani zostawi...

Wyraz zaciekłej, tępej nienawiści przemknął mu po twarzy.

— Nic panu nie zostawię. Niech się pan nie wtrąca do niczego, tylko mnie słucha. A teraz przejdźmy do jadalnego pokoju.

Rogocki zasępiony ruszył ramionami i ociągając się szedł za księżną. Zauważyła to i odwróciwszy się, rzuciła mu przez ramię uśmiech krótki i dobry, który podziałał na jego mroczną duszę, jak promień słońca na mglisty, deszczowy krajobraz. Rozjaśnił się natychmiastowo, nabrał pewności siebie, czy też jednego z tych złudzeń, któremi biedne życie swe podpierał.

W jadalni postawił przed nim służący talerz owoców i pękatą, oplataną butlę chianti o długiej szyjce. Rogocki spojrzał na księżnę z wdzięcznem zdziwieniem; podróżował niegdyś wiele po Włoszech i lubił to wino nadewszystko, nietylko dla smaku jego, zapachu i mocy, lecz że mu przypominało ubiegłe i najpiękniejsze lata życia...

Wiedziała o tem.

— Chciałam — rzekła, na wzrok jego odpowiadając, — żeby się panu dzisiaj zdawało, że pan siedzi gdzieś we Fiesole, ponad gwiaździstą, cudną, kwiatami pachnącą Florencją tam w dolinie.

Pochylił głowę. Był tam niegdyś z nią razem, dawno, strasznie dawno temu... On, — młody, zamożny, szerokiem wzięciem cieszący się już adwokat, który oszalał i rzucił wszystko i zrujnował się materjalnie i moralnie w przeciągu jednego roku, czy dwóch, goniąc po świecie za nią, za cudną, za najpiękniejszą, która mu wówczas mówiła: „Jesteś moją ostoją w życiu, mojem oparciem, mym sterem... i zawsze nim będziesz...“

Drżała mu ręka, kiedy nalewał krwawy płyn w kryształową, rzniętą szklankę...

— Fiesole, Fiesole — powtórzył w zamyśleniu. — Czy pamięta pani ten krużganek na górze pod franciszkańskim klasztorem i ową ławkę kamienną, z której widać Florencję, całą w złotej śreżodze, w czarne ramy cyprysów ujętą?...

— Pamiętam.

— I stare, rosochate drzewo oliwne, ponad białą drogą schylone, pokryte pyłem... Jest tam w pobliżu za wysokim, odwiecznym murem jakiś tajemniczy ogród, z którego na wiosnę wyglądają jeno rozkwitłe drzewa migdałowe...

Przerwał suchym, nerwowym spazmem, który targnął jego szeroką piersią, na szczęście dość wcześnie opanowany, aby nie zamienić się w wybuch oszalałego płaczu.

Księżna zdawała się tego nie uważać.

— I róże, — mówiła, snując dalej obudzone wspomnienia — całe mnóstwo tak niesłychanie, tak nieprawdopodobnie pachnących róż...

— Niema róż, — warknął, — powiędły już, powiędły...

— Są róże, — odrzekła z niespodziewanym uśmiechem, wskazując ogromną więź kwiatów w kącie pokoju na małym stoliku stojącą. — Przysłał mi je dziś rano pan Rohityn.

Rogocki zamruczał coś niewyraźnie. Twarz jego rozświetlona przez pewien czas wspomnieniami, przybrała znowu wyraz osowiały i tępy. Coś jak gdyby odruch nienawiści przemknęło znów po niej i zgasło. Księżna śledziła z pod oka grę uczuć na jego twarzy.

— Męczy mnie, — rzekła cicho.

— Rohityn?

— Tak. Boję się go. Nie chcę być z nim sam na sam.

Oczy Rogockiego stały się ojcowsko dobrotliwe i stanowcze.

— Niech się pani nie obawia. Ja tu będę. Pani wie, że ja czuwam nad panią.

— Proszę o to.

Nim zdążył cośkolwiek odpowiedzieć, służący oznajmił przybycie Rohityna.

Wszedł uśmiechnięty i zadowolony z siebie jak zawsze i stanął jak wryty, spostrzegłszy Rogockiego w pokoju. Przywitał się z nim kwaśno i usiłował mu zaraz na wstępie dać do zrozumienia, żeby sobie jak najprędzej poszedł do kroć stu tysięcy djabłów. Ale Rogocki zdawał się zgoła nie rozumieć jego aż nadto przejrzystych uwag. Owszem z jak największą flegmą zasiadł sobie wygodnie w dużym fotelu i popijając wciąż wino, zaczął jakieś długie i nudne opowiadanie, którego zresztą nikt nie słuchał. Księżna przeglądała świeżo jej przysłane dzienniki mód; Rohityn przysiadał na różnych krzesłach, wstawał, chodził po du-

żym pokoju i przysiadał znowu, nie starając się wcale ukryć zniecierpliwienia i złego humoru. Wreszcie przystanął tuż za księżną.

— Helu... — szepnął.

Spojrzała nań surowo.

— Proszę mi nie mówić po imieniu; on słyszy...

— Niech go licho weźmie! Skąd on się tu wziął?

— Nie wiem. Przyszedł. Nie mogłam go przecież za drzwi wyrzucić...

— Ja oszaleję! Obiecałaś... obiecała pani postarać się, że dzisiaj będziemy sami, że nam nikt nie przeszkodzi...

— Cóż ja winna jestem? I ja też chciałam... Zresztą może on sobie wnet pójdzie.

— Zabiję go!

— Lutek! miej rozum.

Więc Lutek usiłował mieć rozum i usiadłszy w kącie, pożerał nienawistnym, wściekłym wzrokiem gadającego wciąż bez przerwy i końca Rogockiego. Zrazu skracał sobie czas czekania wymyślaniem mąk, na jakie radby skazać tego zawadzającego mu człowieka; potem zaczął wytężać niezbyt silną głowę nad rozwiązaniem problemu, dlaczego dawniej tak łatwo księżnę Helenę samą w domu zastawał, a teraz stało się to poprostu niepodobieństwem? Nie doszedł do żadnego wyniku i postanowił natręta bądź co bądź przetrzymać. Liczył w myśli do stu, do trzystu, wreszcie do tysiąca i zaczynał znowu od jednego. Rogocki gadał ciągle, księżna wciąż nie słuchała.

Zjedli u księżnej kolację i wyszli od niej razem, certując się we drzwiach o pierwszy krok — coś około wpół do drugiej w nocy, zmęczeni obaj i zarówno nie rozumiejący nic z tego, co się dzieje.

XIII.

Podczas pewnej bytności Turskiego w Krakowie wręczono mu sądownie w spuściźnie po Poleskim żelazną szkatułkę, na której podstawie znaleziono wyskrobane jego imię.

Turski doznał niewytłumaczenie przykrego wrażenia, że ta rzecz do niego powraca. Chciał jej zrazu nie przyjąć i wnówić w wysoki sąd, że była jego podarunkiem, nieboszczykowi ofiarowanym, ale zabrakło mu jakoś odwagi, aby to powiedzieć.

Po wyjściu urzędowego doręczyciela został w pokoju hotelowym sam ze starą i próżną szkatułą, z zatrzaśniętem wiekiem. Odsunął ją zrazu, jako coś zgoła nieużytecznego i bez znaczenia i zabrał się do roboty, miał bowiem przygotować listę aktorów do wspólnego przejrzenia z Zarembą. Ale robota mu nie szła — choć tak prosta i łatwa napozór. Wstawał i chodził po pokoju, rzucając okiem mimowoli w tę stronę, gdzie postawił był przemocą oddaną mu szkatułkę. Drażniła go i pociągała, — miał wrażenie, że wydobywa się z jej szczelnie zamkniętego wnętrza jakiś subtelny i zdradziecki jad, który mu odbiera zdolność spokojnego myślenia.

Wziął ją w rękę z trochę niejasnem postanowieniem wyrzucenia jej za okno, ale zamiast to zrobić, usiadł na krześle i począł jej się bacznie przyglądać. Z tym

martwym kawałkiem żelaza łączyły mu się jednak wspomnienia dziwne i długotrwałe; niegdyś, gdy była jeszcze pełna, tylekroć głowę na niej opierał i przymykał oczy, zasłuchany w szepty, podobne do tętna gorącej krwi, jakie z niej szły, odurzony wonią niewypowiedzianą słów w niej zamkniętych, które umiał napamięć.

Pochylił się nad szkatułką w nagle ogarniającem go zamyśleniu. Przypomniał mu się szereg wypadków, z tą martwą rzeczą związanych: cała jej historja zwykła, nic nie znacząca na pozór, uboczna...

Kupił ją był pewnego dnia w jakimś sklepie żelaznym, gdy trzeci, czy czwarty list od niej był otrzymał. Nie przywiązywał jeszcze wówczas wagi do tych listów, nie myślał, że je będzie chował, jako skarby lub kiedykolwiek powtórnie odczytywał: szalona, odświętna rozkosz życia i miłości zanadto pełnem, zanadto bujnem i żywem tętnem mu wtedy biła, aby mógł myśleć o wartości martwych kartek papieru... Jeśli je chował wogóle, to tylko dlatego, że trudno mu było niszczyć cokolwiek, co z nią związek miało bezpośredni — a nie mogąc się zdobyć na to świętokradztwo, tem więcej nie chciał pozwolić listom leżeć pod niedość pewnem zamknięciem, gdzieby przy jego ustawicznych włóczęgach i krótkich popasach mogły się dostać w ręce ciekawej służby hotelowej lub kogoś z jego znajomych...

Zczasem listów przybywało; stało się to już jego nałogiem, aby je zbierać wszystkie, po porządku, nie opuszczając najmniejszej obojętnej kartki pocztowej, ani świstka wydartego z karnetu z gorącem słowem miłości, które słyszał tak często. Stawał się już zazdrosnym o ten skarb, choć nie odczytywał go jeszcze nigdy powtórnie i szkatułkę woził wszędzie z sobą

jakby jakiś zwarjowany kolekcjoner, mający chorobliwą miłość do swoich zbiorów...

Przypomniało mu się, jak w dniu, kiedy szkatułka poczynała być za ciasną, wyrzucił pewną ilość kopert, chowając po kilka listów do jednej, jak je grupował wedle dat, miesięcy, miejsc gdzie je otrzymywał...

— Muszę rzadziej pisywać do ciebie! — śmiała się księżna, gdy jej się raz żartem skarżył, że listów jej już pomieścić w swojej „ogniotrwałej szafie“ nie może.

— Niech Bóg broni! — rzekł z udanym komicznym przestrachem — wybieraj tylko cieńszy papier listowy!

Byli oboje rozbawieni, jak dzieci...

Ale przyszedł naprawdę czas, kiedy ona pisywała rzadziej i coraz rzadziej, że zmuszony przez nią dla jakichś niezrozumiałych sobie powodów do opuszczenia jej na pewien czas, dniami całemi czekał w obłędnej tęsknocie na krótki jej list, a otrzymawszy go, odwlekał nieraz godzinami chwilę rozerwania koperty i odczytania jej słów, napawając się naprzód tą tylko radosną świadomością, że list już ma i za chwilę będzie chłonął oczyma i duszą jej słowa nieprzepłacone i słodkie, do szału całe jestestwo jego upajające...

Były wypadki, że po długiem oczekiwaniu list jej już otwarty kładł przed sobą na stole i przeciągał z jakiemś rozpaczliwem wyrafinowaniem bolesną rozkosz cierpliwości, jakby w obawie, że z chwilą, gdy treść listu posiędzie, zacznie się znowu długa udręka potwornej tęsknoty za następnym, który niewiadomo kiedy przyjdzie...

A ileż razy zdarzało się, że ten drugi i w takiej udręce wyglądany list przynosił tylko kilka obojętnych suchych słów z pośpiechem, w roztargnieniu na papier rzuconych...

Czasami jednak — niespodziewanie — bywały jej listy jak puhary tęgiego wina lub odurzające snopy kwiatów podzwrotnikowych. Odczytywał je wtedy dziesiątki razy i chował do szkatułki, aby je wyjąć znów po godzinie i znowu chwytać oczyma słowa, napamięć już umiane...

Tam — w tej żelaznej skrzyneczce, próżnej w tej chwili, był niegdyś krwawy, żywy strzęp jego serca zamknięty. Tam była jego rozkosz i jego ból: jej miłość tam była, lub to, co się miłością jej zwało, morze ruchliwe i zmienne, miotające łodzią jego na toń rzuconego serca, lub kołyszące ją w pieszczocie najsłodszej, pociągające jak wszelka otchłań, a wewnątrz niezbadane, niewiadomo nawet, czy przepastnie głębokie, czy na mieliznach się jeno, pianą zakrytych, rozlewające...

Przypomniał sobie, jak raz mówiła doń ona, że kiedyś, gdy się już na zawsze połączą (och! wierzył w to jeszcze wówczas!), będą w jakiś cichy wieczór razem odczytywać te listy z wiernej, milczącej żelaznej szkatułki dobyte...

Spalił je — i szkatułka — niewołana — wróciła doń teraz — próżna.

Nie miał odwagi niszczyć tych dokumentów, odjeżdżając w świat, a bał się brać je z sobą, bał się rozkosznej przegryzającej serce, zabójczej ich trucizny.

Zostawił je u przyjaciela, który już nie żyje.

Powrócił i spalił je.

Właściwie — dlaczego to zrobił?

Dlaczego udawał przed sobą, czy przed tamtym, patrzącym nań wówczas człowiekiem, że są mu obojętne? Do czego zmierzała ta komedja, że nie pamięta nawet, iż tu tę szkatułkę zostawił, gdy wówczas — naprawdę — przyszedł po nią i dlatego jeno tak

późno, że wcześniej przyjść nie miał odwagi? Przecież to nie była ta dzisiejsza księżna Helena, — to była tamta dawna, dziś już nie istniejąca, jego, jego na całym świecie jedyna!

Rozpętała się w nim straszna tęsknota za tem, co zniszczył.

Trwał przez chwilę z twarzą zakrytą rękami, z czołem na wieku szkatułki opartem.

A jednak — zniszczyć to musiał. Wówczas — był to raczej odruch mimowolny, owo rzucenie listów w ogień, rozpalony własnemi jego rękami; teraz, mimo wszystko, zrozumiał jasno, że to było nieuchronne i konieczne i że najgłębsza rozwaga do czego innego nie byłaby go mogła doprowadzić.

Stać się to musiało — nawet nie dlatego, jakoby jad przedziwny i upojny, w dawnych kartach miłości ukryty, był mu jeszcze niebezpieczny, lecz poprostu, aby mógł zachować niezamąconą czystość swojego wspomnienia.

To powinno było zginąć tak, jak zginęło: nieczytane. Gdyby dzisiaj skuszony odczytał te karty, niegdyś zakochanemi oczyma swemi całowane i znalazł w nich to, czego może tylko nie dostrzegł był w dawnem zaślepieniu: płytkość, nieszczerość albo obłudę?...

— Dobrze się stało — szepnął, podnosząc czoło. — Niech przynajmniej tamta, umarła, pozostanie mi taką, jak była.

Uśmiechnął się do siebie z melancholją i wyrozumiałością, jakby do dziecka i zaczął nieświadomie pieścić lekkiem dotknięciem dłoni zimną stal szkatułki. A potem wydobył znowu mały, zadrzewiały kluczyk z kieszeni, i nie zdając sobie sprawy, poco to robi, otworzył wieko.

Drgnął nagle.

W mroku zimowego, wcześnie zapadającego wieczora dojrzał na dnie szkatułki coś, jak gdyby strzęp zakrzepłej krwi. Sięgnął odruchowo palcami...

Zeschła, purpurowa róża zaszeleściała mu w dłoni.

Przez pewien czas trzymał ją w ręce z zapartym oddechem, pod wrażeniem jakby dokonanego cudu...

Czy to woń jej słów, które uleciały, w ten smutny, krwawy kwiat się ścięła? Czy zakwitnęła nim mogiła dawnej, już przeminionej miłości?

Naraz...

Tak, tak! Z przestrachem przypomniał sobie, że w ów dzień, gdy ostatni raz ułomnego swego przyjaciela odwiedził, wpadła mu w oczy róża — taka sama? ta sama! — w kącie klęcznika pod krucyfiksem ukryta...

— To krew tamtego —!

Z mimowolnym okrzykiem rzucił kwiat napowrót w skrzyneczkę.

Wstał i począł chodzić po pokoju niespokojnym krokiem.

Ogarnęła go nagła, nieprzeparta ochota spojrzenia księżnej w oczy właśnie w tej godzinie. Z nerwowym pośpiechem uporządkował ubranie i narzucił płaszcz. Wyszedł z pokoju, jak gdyby uciekał zeń przed czemś...

Gdy się znalazł na ulicy, posłyszał bicie dzwonów wieczornych. Przystanął i zasłuchał się przez chwilę w tę szeroką, razem z mrokiem ulicę zalewającą muzykę...

— „Na Anioł Pański biją dzwony" — przypomniał mu się dziwny, przedziwny wiersz o wlokącej się po polach, bezdomnej, nieukojonej tęsknocie wielkiego, niegdyś tak smutnego poety.

Spokój go ogarniał powoli głęboki, zawieszony zda

się w tem mroźnem, ruchem dzwonów rozkołysanem powietrzu wieczornem.

— To już wszystko przecie umarło — powtórzył sobie z ulgą prawie głośno, może już po raz setny.

Ale z drogi nie zawrócił. Szedł powoli ze schyloną głową w stronę mieszkania księżnej Heleny.

Od czasu śmierci jej męża widział ją zaledwie dwa czy trzy razy, przelotnie i zawsze w liczniejszem towarzystwie. Co prawda — sam trochę unikał rozmowy z nią w cztery oczy. Wstydził się za siebie: owej pamiętnej rozmowy nocnej w automobilu, gdzie zanadto wiele słabości okazał — i za nią również, że patrzyć na nią musi, jako na oficjalną narzeczoną pana Rohityna.

Ale tym razem, wchodząc do niej, nie myślał o tem...

Służący zaprowadził go do znanego mu już wschodniego saloniku. Zastał tam niespodziewanie Borzyckiego. Młody chłopak, na widok wchodzącego Turskiego, powstał nieco zmieszany i zaczął się witać serdeczniej niż było potrzeba, aby snać pokryć swe zakłopotanie.

— Wszak księżnę zastaję w domu? — zapytał Turski.

— Owszem, jest... Wyszła właśnie z pokoju. Przypuszczam, że powróci za chwilę.

Turski, rzuciwszy okiem dookoła, spostrzegł na sofie, przed którą stał niski taboret Borzyckiego, zgniecione jeszcze ciężarem ciała poduszki; snać księżna siedziała tutaj i wstała w tejże chwili dopiero, może właśnie, kiedy on wchodził do pokoju. Miał wrażenie, że ciężka portjera, drzwi do sąsiedniego pokoju zasłaniajaca, kołysze się jeszcze zlekka, jakby ramieniem jej w szybkiem przejściu trącona.

— Dlaczego przede mną uciekła? — pomyślał z niewytłumaczoną przykrością.

Miękki włos puszystego dywanu, sofę pokrywającego, był w jednem miejscu nieco zmierzwiony jakby dotknięciem bucików; widocznie księżna, z Borzyckim rozmawiając, zarzuciła swobodnie nogi na sofę, przyjmując jedną z tych swoich ulubionych póz, nawpół siedzącą, nawpół leżącą, kiedy ciało jej w przecudną i doskonałą linję się wyginało. Błysnęły mu w zwidzeniu stopy jej z pod czarnej, żałobnej sukni na krwawym dywanie wyciągnięte — targnęła go jakaś złość, prawie że do zazdrości podobna a nienawistna.

Borzycki tymczasem już mówił od paru chwil. Turski począł słuchać jego słów.

Młody chłopak, zrazu nieśmiało, potem coraz entuzjastyczniej opowiadał bez żadnego celu i powodu, jaka księżna Helena jest nadzwyczajna, jaka piękna i dobra a nieszczęśliwa, jak wyjątkowa...

— Poco on się tak... usprawiedliwia? — pomyślał Turski i uśmiechnął się melancholijnie, choć chciał tylko ironicznej usta skrzywić.

Księżna nie przychodziła i Borzycki zaczął się niepokoić.

— Może lepiej będzie, gdy ja już odejdę — powiedział niezręcznie, poglądając na Turskiego, jakby go pytał o radę.

Turski ruszył ramionami.

— Czy zastał pan tutaj dzisiaj kogo u księżnej?

— Owszem, było kilka osób... Także ten aktor..., zapominam zawsze nazwiska. Poznałem go wówczas przy Morskiem Oku, kiedy to był i pan.

Turski chodził po pokoju.

— Proszę pana...

Przystanął i zwrócił się ku pytającemu Borzyckiemu.

— Proszę pana, — ciągnął młody chłopak z pewnem wahaniem w głosie — niech mi pan wytłumaczy, dlaczego księżna pozwala takim ludziom jak ten aktor...

— Co?

— Ach! może byłbym głupstwo powiedział. Ale, widzi pan, mnie to boli poprostu. Ona jest taka nadzwyczajna, tak dziwnie cudna na ciele i duszy, a to przecie jest człowiek...

— Więc cóż takiego?

— Nic. Już nic. Mnie się może zdaje tylko. Ona jest dobra; chce być uprzejma dla wszystkich. Podobno to teraz tak wypada...

I naraz wybuchnął:

— Jabym go nawet w moim studenckim pokoju nie przyjął!

Turskiemu teraz udał się wybornie uśmiech ironiczny.

— Dostojna, szlachecka krew w panu gra, panie Borzycki?

— Może! — rzucił chłopak z pewną dumą i pożegnał się, aby wyjść, poprosiwszy jeszcze Turskiego, aby go przed księżną usprawiedliwił.

Ledwo drzwi się za nim zamknęły, gdy księżna Helena pojawiła się w progu. Miała na ustach uśmiech smutny i niewinny.

Turski, zamiast się przywitać, zagadnął wręcz:

— Pani czekała, aż Borzycki wyjdzie?

— Tak — odparła przeciągle. — Wiedziałam, że pan dzisiaj przyszedł do mnie samej.

— Zgadła pani, jak zawsze — odrzekł, tracąc nieco pewności siebie.

— Więc niech pan siada.

Usiadł na taborecie, na którym siedział niedawno

Borzycki i patrzył jak w niedbałej a przepysznej pozie wyciągnęła się na miękkich poduszkach sofy. Była w żałobie, bardzo blada; oczy jej wydawały się jeszcze większe, niż zazwyczaj.

Turski zaczął się w milczeniu zastanawiać, poco tu przyszedł właściwie i od czego ma zacząć rozmowę?

Nareszcie spojrzał na nią i zapytał najniespodziewaniej dla samego siebie:

— Dlaczego pani farbuje włosy?

Patrzyła mu w oczy bez śladu zdziwienia.

— Ira panu mówiła?

Zmieszał się.

— Ostatecznie to obojętne...

— Biedna Ira — szeptała niby do siebie, rozwiązując jakby mimowoli ogromny węzeł włosów, splątany na karku. Lśniąca, czarna powódź zalała jej ramiona i spłynęła kaskadą po matowej, czarnej materji jej żałobnej sukni.

— Dlaczego jej pan nie daje spokoju?

— Ja!?

— Tak. Całował ją pan. Po ustach i... Mówiła mi.

Turski poczerwieniał, jak żak.

— Nie, ja panu tego ostatecznie nie mam za złe. Ona jest bardzo ciekawa kobieta i życzyłabym jej z głębi duszy trochę szczęścia. Jeśli ją pan kocha...

— Ależ ja nic do niej nie czuję! — krzyknął przerażony.

— To źle — uśmiechnęła się. — Ona jest dużo warta, mimo wszystko. Gdyby pan zechciał przekonać się...

Bawiła się włosami swemi, muskała niemi twarz, to znów poglądała na nie pod światło, jak błyszczą kruczym odblaskiem.

— Czy pan wie — odezwała się, zmieniając naraz ton, — że ona czasami nie chce się przyznać do męża którego rzeczywiście posiada, zwierzając się znajomym niby w wielkiej tajemnicy, że jest panną?

Spojrzał jej badawczo prosto w oczy.

— Mnie mówiła tylko... o swoim narzeczonym.

Żaden rys twarzy jej nie drgnął; przesypywała obojętnie przez białe palce krucze, pachnące zwoje włosów.

— Co się z nim stało? — zapytał Turski twardo.

— Z kim?

— Z jej narzeczonym.

— Jakto, co się stało? Wyszła za niego za mąż. Bawi, o ile wiem, teraz na Uralu. Jest inżynierem.

— Przecież... podobno się zastrzelił!

— Jej mąż?

— Jej narzeczony!

Ruszyła ramionami z lekkiem zniecierpliwieniem.

— Znam ją od dziecka. Nie słyszałam nigdy o innym jej narzeczonym.

Turski milczał przez chwilę.

— Która z was kłamie? — zapytał wreszcie z zupełnie naiwną szczerością.

Błędny półuśmiech plątał się po ustach księżnej.

— Co na tem zależy? Przecież i tak nie temu się wierzy, kto mówi prawdę, lecz temu, komu się chce wierzyć. Niech pan wybiera.

A potem zapytała nagle:

— Czy pan zna profesora Butryma?

— Owszem, bardzo dobrze — odparł Turski, nieco zdziwiony.

— To podobno doskonały chemik?

— Tak jest. Obok astronomji, w której podobno jest znakomitością, zajmuje się także chemją.

Uśmiechała się ciągle.

— Niechże mu pan zaniesie pasmo moich włosów. Może wykryje, jakiej ja to farby do ich czernienia używam.

Rozglądała się po pokoju, jakby szukając jakiego ostrego narzędzia.

— Ma pan może w scyzoryku nożyczki?

— Dziękuję pani. Niepotrzeba.

Patrzyła na niego z filuternym uśmiechem, jakby zdziwiona jakiemś przypomnieniem.

— Ach, prawda! Przecież pan zdawien już włosy moje posiada. Jeśli więc tamten splot jeszcze nie wypłowiał...

— Niema go już.

— O! Cóż się stało?

— Spaliłem go. Wraz z listami pani.

— Szkoda... dla pana. Wiem, że te listy pan niegdyś bardzo lubił.

Pochylił czoło mimowoli.

— Kochałem je, — szepnął i uczuł, jak nagle krew rozlewała mu się palącym rumieńcem po twarzy.

Coś, jak gdyby cichy jej szept:

— A widzisz, Romek, a widzisz...

Spojrzał na nią.

Oczy miała szeroko rozwarte, w nieokreślony punkt gdzieś wpatrzone, jakby pełne łez.

— Spaliłem je po powrocie, — mówił, — w mieszkaniu Poleskiego, w ten dzień...

— Kiedy się zabił.

— Tak. I wie pani, co znalazłem w szkatułce z listów opróżnionej, gdy mi ją dzisiaj zwrócono?

Spojrzała nań z pytaniem w oczach.

— Różę. Krwawą, zeschłą różę...

— ...którą ja mu przesłałam, — dokończyła cicho.

— Domyśliłem się, — szepnął Turski.

Księżna patrzyła ciągle łzawemi oczyma kędyś przed siebie.

— On czytał moje listy do pana i dlatego się zabił.

— On? — krzyknął niemal z przerażeniem. — Czytać ich nie mógł!

Zamiast odpowiedzi sięgnęła do nieodstępnej czarnej, perłami naszytej torebki i podała mu zwitek papieru. Rzucił nań okiem...

— Twój list!

— Tak, — odrzekła księżna.

— Skąd to masz?

— Byłam tam, w godzinę po wypadku. Znalazłam na podłodze. O, tu jeszcze krwawa plama

— Pocoś tam chodziła?

Powstała, wyprostowana dumnie.

— Aby podziękować umarłemu. On był jedyny, który bronił mojej czci, choć nie miał ode mnie ani dłoni uścisku, gdy wy wszyscy mnie zniesławiacie!

Zaległo na pewien czas głuche milczenie. Księżna chodziła po pokoju, ocierając niekiedy łzy, które jej napływały powoli do szeroko rozwartych oczu i nie spadając na policzki, zatrzymywały się między rzęsami, do małych, smutnych stawków podobne.

— Kiedy pani wychodzi zamąż? — zagadnął po chwili Turski bez myśli, aby wogóle coś powiedzieć.

Ruszyła obojętnie ramionami.

— Przecież pan widzi, że jestem w żałobie.

Turski wzniósł naraz głowę, jakąś myślą uderzony.

— Pani Helo, — zaczał nieśmiało, z wahaniem w głosie, — ja mam do pani prośbę; myślę, że pani mnie zrozumie...

— Słucham pana.

Nie mógł jakoś znaleźć słów.

— Za kilka miesięcy, czy za rok, będzie pani żoną innego człowieka...

— Nie jest wykluczone, choć także niema żadnej pewności...

— Jednakże... na wszelki wypadek... To nie jest nawet brak zaufania do pani, ale łatwo zrozumiała drażliwość w tych okolicznościach...

— Czegoż pan chce nareszcie?

— Ja zniszczyłem listy pani; niech pani również zniszczy moje! Teraz tu, przy mnie!

Po twarzy księżnej przebiegł wyraz mimowolnego zakłopotania. Przez moment namyślała się, jakby ze zdziwieniem szukała czegoś pamięcią...

Spojrzała mu w oczy głęboko i przeciągle.

— Nie, panie Romanie.

— Dlaczego? Dlaczego?

— Bo mi to jest... drogie.

Żachnął się niecierpliwie.

— Niech pani takich rzeczy nie mówi! Ja przecież wiem...

— Co pan wie?

Zamilkł. Chciał powiedzieć, że to, co było, prawdopodobnie nie obchodziło jej nigdy tak głęboko, jak jego, a teraz już na pewno nie ma dla niej żadnego znaczenia, nawet jako wspomnienie, chyba że myśli o tem, jako o jednym z tych swoich triumfów, ostatecznie łatwych, w których się potwierdza moc jej kobiecości wobec głupiego, męskiego zwierzęcia i ślepej męskiej duszy... Przestraszył się jednak tych słów, na jakiś wyrzut czy skargę zakrawających; wstyd mu się ich zrobiło. Zwiesił głowę w milczeniu.

Ona tymczasem podeszła ku niemu.

— Czy pan wie, tam w sypialni mojej, w jednej

z szuflad sekretarzyka, nieotwieranej przez nikogo, są wszystkie listy pańskie i ja ich panu nie oddam! To jest moje! Tam pan był sobą, tam pan do dziś dnia jest taki, jakim ja pana... kochałam! I ta najlepsza cząstka duszy pańskiej do mnie należy.

Turskiego zadrasnął jakiś fałszywy ton w jej głosie. Powstał i ziewnął zgoła niegrzecznie.

— Ach, księżno! Obawiam się, że jesteśmy śmieszni oboje. Moja wina, bo ja wszcząłem tę zabawną rozmowę, w której oboje nastrajamy się na ton nieszczery. Nie śmiem sobie pochlebiać, aby listy moje miały dla pani jakiekolwiek znaczenie, ale mnie na nich jeszcze mniej zależy i jeśli przez kaprys chce je pani zatrzymać, nie mam nic przeciw temu.

Spojrzała wyniośle i chłodno.

— Widzę, że panu na nich naprawdę zależy, kiedy aż takim sposobem zmusza mnie pan do ich wydania. Chcę wierzyć, że pan moje zniszczył naprawdę. Proszę, niech pan idzie ze mną.

Upięła pośpiesznie włosy, dotychczas po ramionach rozpuszczone.

Przeszli przez salon, gabinet i buduar, aż do sypialni. Turski postępował za nią w milczeniu, z niesmakiem w duszy, ale jednocześnie rad, że odebrawszy swe listy, zerwie tem niejako ostatnią, zdawien pozostałą nić, jaka ich łączyła. W progu sypialni Helena przystanęła i zwróciła się ku niemu.

— Jaka szkoda — rzekła z ironicznym nieco triumfem, jakby myśli jego czytając, — że pan nie może odebrać jednak wszystkiego, co mi pan dał...

Spojrzał na nią trochę zdziwiony.

— Jakto? Cóż jeszcze zostanie?

— Syn.

Rzekła to krótko i poważnie, poczem zbliżyła się

ku stojącemu naprzeciw łóżka sekretarzykowi, starą, włoską intarsją pokrytemu. Otworzyła klapę, zasłaniającą różne sztuczne schowki i szufladki. Przez chwilę zdawała się namyślać, wreszcie z trochę błędnym i smutnym półuśmiechem zwróciła się ku Turskiemu.

— A wie pan, że mało brakowało, a byłby mi pan i syna odebrał?

— Nie rozumiem.

Zamiast odpowiedzi sięgnęła do jednej z szufladek i podała mu duży, we czworo złożony papier.

Turski rzucił nań okiem.

— Testament księcia!

— Tak jest. Proszę, czytaj pan.

— Ależ... cóż mnie to obchodzi?

Uśmiechnęła się znowu łzawo.

— Może jednak cokolwiek. O, ten ustęp tutaj, jak pan widzi, ręką konającego przekreślony.

Turski przebiegł pismo oczyma i pobladł. Podniósł na księżnę wzrok pełen zdumienia i strachu. Skinęła głową powoli.

— Tak jest. Na przypadek, gdybym ją wyszła zamąż, książę opiekę nad Iwonem oddawał panu. Właśnie panu.

— Ależ, dlaczego?

— Pan się pyta o to? On się domyślał, że pan... ma do tego prawo.

Turski złożył papier i począł nerwowym krokiem chodzić po niewielkim pokoju.

— Jeśli tak było — mówił — Jezus Marja! Cóż ten człowiek musiał wycierpieć i jak to podle, jak podle!...

— Roman...

Usiadł w niskim fotelu i zakrył oczy rękami. Zbliżyła się do niego zwolna i położyła mu dłoń na włosach. Ujął te jej białe palce i przycisnął do ust, jakby ją za coś przepraszał.

— Ja ci daję to prawo opiekowania się Iwonem — mówiła szeptem.

Spróbował ironizować.

— Mimo, że ten ustęp w testamencie skreślono?

— Tak. I mimo, że ja... nie wychodzę zamąż.

— Co? Więc Rohityn — —?

— Owszem, lubię go bardzo, ale przekonałam się, że to nie jest człowiek mnie wart. Zamąż za niego nie wyjdę...

— Więc cóż ty..., więc cóż pani będzie robiła?

Patrzyła na niego poważnie i badawczo.

— Wstąpię do teatru, który pan założył.

Turski, zdumiony, poderwał głowę wgórę.

— Co? Pani? Do teatru!?

— Pan mnie nie chce angażować?

— Ależ... nie mogę tego brać poważnie!

Filuterny, pewny siebie uśmiech przebiegł po jej wargach.

— Czyżby pan sądził, że nie mam w tym kierunku zdolności?

A potem dodała poważnie i nieco dwuznacznie:

— Przygotowuję się oddawna.

Nie słuchał już jej słów. Szeroko rozwartemi oczyma wpatrzył się w nią z uwagą i zastanowieniem. Jak gdyby przedziwne, wymarzone a niespodziewane rozwiązanie problemu: przecież ona jest właśnie tą kobietą, której on do teatru swego potrzebuje! Tak, tak! To niepojęte, że dotąd sobie tego nie uświadamiał...

Zgubił się w nim mężczyzna; zapomniał o swoim osobistym do tej kobiety stosunku, pamięć jego na-

tomiast pracowała z nadzwyczajną jasnością, przywodząc mu przed oczy wszystkie momenty z jej życia, które popierały to objawienie, że ona ma być tą wybraną i stworzoną dla niego artystką. Chłodnemi i bystremi oczyma badał jej postać, twarz, ruchy, jak gdyby po raz pierwszy ją widział.

Zaczęli naraz mówić ze sobą pośpiesznie, stanowczo, poważnie, jak dwoje ludzi, których tylko interes sztuki wiąże ze sobą...

Gdy za jakiś czas Turski wyszedł od księżnej, przypomniał sobie na schodach, że od chwili pokazania testamentu nie było już mowy o listach i że ich nie odebrał. Zawahał się na moment, jakby chciał wrócić, ale potem machnął ręką.

— Wszystko jedno!

Czem innem miał w tej chwili głowę zajętą.

Na ulicy zobaczył niespodziewanie panią Irenę, idącą snać do księżnej. Na widok jej ogarnęła go pasja. Pierwszym odruchem chciał skręcić wbok, aby uniknąć spotkania, ale było już za późno. Pani Irena dostrzegła go również i podeszła ku niemu z przyjaznym uśmiechem na twarzy.

— Jak się pan miewa, panie Romanie! Tak pana dawno nie widziałam.

Serdeczny ton przywitania rozzłościł go jeszcze więcej. Ogarnęła go głupia i zarozumiała obawa, że ta wymalowana kobieta chce wyciągnąć jakieś konsekwencje z owego wieczornego spotkania w Dolinie Białego pod Giewontem i rości sobie pewne prawa do poufałości.

Przywitał ją chłodno i z wyszukaną grzecznością.

Nie zmieszało jej to bynajmniej ani z tropu nie zbiło. Owszem, patrzyła na niego troszkę wyzywająco z drażniącym uśmiechem na przesadnie czerwonych wargach.

— Gdzież się to pan podziewał? Mógłby kto sądzić, że mnie pan unika!

— Och! Dlaczegożby?...

— Jakto: dlaczego? Ponieważ pan nie wie, co robić ze wspomnieniem tej niepoczytalnej chwili, kiedy mnie pan całował.

— Zaznaczam, że o tej „niepoczytalnej chwili" teraz nie ja pierwszy wspomniałem.

— A, nie, nie! To ja byłam na tyle nietaktowna.

— Nie mogę zaprzeczyć.

Zaśmiała się cicho i chytrze.

— Grzeczny pan nie jest.

— Mówiła pani o tem księżnej Helenie?

— Ależ naturalnie! Jak pan może pytać nawet o to? Przecież pan wie, że my nie mamy tajemnic przed sobą. Czy to panu co szkodzi, że mówiłam?

— Bynajmniej. Ale zastanawiam się, dlaczego to pani uczyniła?

Pani Irena zrobiła minę zakłopotaną i niepocieszoną.

— Wyrządziłam panu przykrość? Ach! Gdybym się była domyśliła, że pan nie chce tego. Trzeba mi było szepnąć, że to ma być w tajemnicy zachowane...

— Niech pani ze mnie nie szydzi!

Przystanęła i zapytała poważnie:

— Dlaczego?

Spuścił głowę.

— Ma pani słuszność. Zasłużyłem na to, aby pani szydziła.

— A widzi pan. Trzeba się przecież zastanowić nad tem, że gdybym ja nie szydziła, to szydziłby pan. Nieprawdaż? No, niech się pan przyzna!

— Więc tylko dlatego?

Z oczu jej wyjrzało znowu wielkie, nie mogące sobie znaleźć miejsca znużenie.

— Nie, nie. Właściwie nie szydzę wcale. Ach, gdyby pan wiedział...

— Co?

Nie odpowiadała. Szli długi czas w milczeniu, dalej i dalej, niewiadomo dokąd i niewiadomo właściwie poco idąc razem z sobą. Turski spróbował myśleć znowu o niespodziewanej, artystycznej propozycji, jaką mu księżna zrobiła, ale wnet spostrzegł, że mu się to w tej chwili nie udaje: stawała mu raczej przed oczyma wyłącznie jako kobieta — w czarnej sukni na czerwony dywan otomany rzucona, z falą lśniących włosów na ramionach...

Wyrwał go z zamyślenia głos pani Ireny:

— Och! Dokądże to...

Dalszych słów nie dosłyszał. Obrócił się żywo.

— Co pani mówi?

— Nic. Smutno jest. Tak okropnie, tak beznadziejnie smutno.

— Pani Ireno!...

Zaśmiała się naraz z jakąś przykrą, sztuczną kokieterją.

— Nawet wcale nie to chciałam powiedzieć. Ale to wszystko jedno... Zimno jest. Trzeba już wracać.

Odeszli daleko od miejsca, gdzie się byli spotkali. Turski rozejrzał się z uwagą, nie zdawał sobie dokładnie sprawy z tego, gdzie się znajdują. Towarzyszka jego zauważyła to.

— Widzę, że pan pobłądził? Nic nie szkodzi. Spodziewam się, że się to panu nie pierwszy raz w życiu zdarza. Dzisiaj ja będę pańską przewodniczką.

Ujęła go pod ramię.

— Ot, tędy. Tam jest duża i jasna kawiarnia. Wyszliśmy prawie poza miasto, w nowe dzielnice na Błoniach.

Dał się prowadzić bez oporu. Szli już całą drogę rozmawiając o rzeczach obojętnych. Mijali ulice coraz ludniejsze i coraz lepiej oświetlone. Nareszcie gdzieś około plant zabłysnęły przed nimi ogromne, żółtem światłem rozognione szyby kawiarni.

— Wejdziemy na chwilę.

— Zdawało mi się, że pani szła do księżnej...

— Głupstwo. Pójdę kiedy indziej.

Usiedli w dużej sali na uboczu, przy jedynym bodaj jeszcze wolnym stoliku. Pani Irena kazała sobie podać herbaty, Turski szklankę wisky z wodą sodową. Pił powoli, małemi łykami, rozglądając się z roztargnieniem dokoła. Jakaś myśl uporczywa zaczęła mu w głowie świdrować...

— Słucham pana, — odezwała się niespodziewanie pani Irena.

Zwrócił się ku niej twarzą.

— Ma pani słuszność. Rzeczywiście chciałem coś powiedzieć.

— Nareszcie!

— Raczej zapytać...

— Niech pan więc pyta.

Zamilkł na chwilę...

— A zatem?

— Dlaczego... księżna... nie chce mi oddać moich listów?

— Bo ich nie ma.

— Jakto?

— Są u mnie.

Drgnął nieprzyjemnie dotknięty i zmarszczył brew.

Żałował prawie, że nie zdołał się opanować i zaczął pytać.

— To nie jest przeszkodą, — mruknął, usiłując przybrać ton jak najobojętniejszy. — Może ich przecie zażądać od pani z powrotem.

— A, nie! Gdyż zapomniała, że mi je dała do przechowania wówczas, wie pan? Kiedy się zaczęło to z Wierzbicem...

— To jest tylko pani przypuszczenie.

— Pewność. Przed kilku tygodniami, gdy po śmierci księcia papiery w mej obecności porządkowała, zastanowiła się naraz i spytała mnie, czy nie wiem, co się z temi listami stało.

— Pani jej nie przypomniała? — rzekł z lękiem.

— Nie. Pocóż?

— Dziękuję pani. Teraz pani mnie odda te listy.

— O, nie! Tego nie zrobię!

— Ależ dlaczego? Przecież one naprawdę nie mają już właściciela. Księżnej chyba na nich nie zależy, kiedy nie pamięta nawet, komu je dała do przechowania.

— Nie o Helę tu idzie.

— Więc o cóż?

— Ach, panie! One są takie piękne!

— Jakto — —?

— Naturalnie, czytałam je. Wszystkie, wszystkie!

— Pani?

— A jakże pan myślał? Oddano mi je zresztą niezamknięte, w starem pudełku od kapelusza, obwiązanem zaledwie tasiemką. Pełniuteńkie pudło...

Turski zagryzł wargi i kazał sobie podać jeszcze jedną szklankę wisky. Pani Irena spojrzała nań z udanem współczuciem.

— O! Cóż to? Czyżbym panu znowu przykrość

wyrządziła? Ach, Boże, tyle razy sobie wyrzucam, że jestem nazbyt szczera...

Patrzył na nią uważnie, badawczo.

— Dlaczego mi się pan tak przypatruje?

Turski, miast odpowiedzieć, powtórzył rzucone już dzisiaj księżnej pytanie:

— Która z was kłamie?

Zaśmiała się cicho, radośnie.

— Czyż nie możemy obie mówić prawdy?

A po chwili widząc, że Turski milczy zasępiony, dodała:

— Panie Romanie, pan powinien przecież Helę zrozumieć. Ona jest naprawdę anielska kobieta! Ja nie mówię tego przez ironję... Nawet, jeżeli czasem powie... niezupełnie prawdę, to dzieje się to w dobrym celu, aby uniknąć czyjejś przykrości. Niech pan tylko pomyśli, gdyby panu była powiedziała: nie mam pańskich listów, zapomniałam, gdzie są, — czyżby to nie było dla pana wielką, wielką przykrością?

Turski słuchał i zastanawiał się nad tem, co do niego mówiono, jakoś dziwnie bezinteresownie, jak gdyby tylko chodziło o pewien problem psychologiczny.

— Wie pani, że gdyby tak była powiedziała, nie byłbym jej właśnie uwierzył.

— Nie byłby pan wierzył?

— Nie. Sądziłbym, że to tylko wymówka, aby mi listów z jakiejś niezrozumiałej przyczyny nie oddać.

— Ależ... w takim razie, o cóż panu idzie właściwie? Przecie również dobrze może pan i teraz nie wierzyć — mnie naprzykład. Niech pan pomyśli, że cała historja jest moim wymysłem, w pudełku od kapelusza, które mam w przechowaniu, znajdują się stare rękawiczki, a listy swoje otrzyma pan kiedyś

z rąk Heli, która ich dotychczas z największą pieczołowitością strzegła. *Voila!*

Zaśmiała się nagle.

— O, Boże! I wy chcecie, aby was nie okłamywać!

Mówiła to naciągając rękawiczki, gotowa już do odejścia. Turski jej nie zatrzymywał. Gdy pozostał w kawiarni sam, opanowało go znużenie, nie dające się poprostu przezwyciężyć.

— Ta kobieta mi je zostawiła — myślał. — Rzuciła na mnie jak urok znużenie i wyczerpanie swojego własnego, biednego życia...

Wsparł twarz na dłoniach i trwał tak prawie bez myśli długi przeciąg czasu. Wyrwał go wreszcie z odrętwienia głos profesora Butryma, który wszedłszy do kawiarni spostrzegł go przy ustronnym stoliku. Przywitali się.

— Czy można usiąść koło pana?

— Proszę.

Profesor uśmiechnął się.

— Widzę z tonu zaproszenia, że panu właściwie nie na rękę jest moja obecność. Ale to nic nie szkodzi... Ja także przyszedłem tutaj, aby być samotnym — i dlatego może właśnie lepiej, że sobie... będziemy wzajemnie przeszkadzać.

— Ma pan słuszność — poświadczył Turski żywo. — Niech pan siada.

Zrazu nie mówili do siebie. Turski zauważył, że profesor jest czemś wzburzony: na twarzy miał wypieki, oczy błyszczały mu gorączkowo, to znów zdawały się zachodzić jakąś przejrzystą mgłą. Nie pytał jednak o nic, nie chcąc być nawzajem pytanym. Zresztą wkrótce przestał obserwować towarzysza i pogrążył się we własnych myślach.

Po pewnym czasie wyrwało mu się jakby mimowoli:

— Wie pan, dziwię się...

Butrym spojrzał na niego.

— Czemu się pan dziwi, panie Romanie?

— To tak trudno ściśle powiedzieć. My właściwie nic nie wiemy, co to jest kobieta...

— Ach! Ten temat — syknął Butrym.

— Może go nie w porę poruszyłem. Niech się panu tedy zdaje, żem nic nie powiedział. To i tak wszystko jest nad wyraz głupie.

— Ma pan słuszność — rzekł profesor poważnie, — nad wyraz głupie. A wie pan, dlaczego?

— Powodów może być wiele.

— Zasadniczy — jeden. My wszyscy, ludzie mądrzy, przeciętni czy głupi, wszyscy my mężczyźni, chcemy w kobiecie mieć towarzyszkę, przyjaciela, powierniczkę, opiekuna, władcę, służącą, dziecko, słowem różne, różne rzeczy, tylko nie to, czem ona jest naprawdę i jedynie. A tymczasem ona, choćby chciała życzeniom naszym odpowiedzieć (co już jest przewrotne, bo w istocie swej nie chce!), nie potrafi! Może ona być tylko czemś daleko mniej, lub czemś więcej bez porównania.

— To znaczy?

— Naszą nałożnicą lub matką naszych dzieci.

— Stary dowcip! — mruknął Turski z umyślną przekorą.

— Nie mniej jest to prawdą, niestety!

— A może, tylko... czemuż to tak trywjalnie nazywać? Można powiedzieć to samo, mówiąc: naszą kochanką lub żoną.

— Tak... jeśli to jest to samo, — rzekł profesor, zapadając w zamyślenie.

Naraz Turski odezwał się znowu, żywo głowę podnosząc:

— A jeśli kobieta jest... artystką?

— Jeśli jest artystką?

— Tak. Wtedy co? Gdzie dla niej wówczas miejsce w tym weiningierowskim podziale?

— Ha, w takim razie jest poza waszemi kategorjami. Wówczas jest nie dla nas, tylko dla siebie.

— Dla siebie — powtórzył Turski poważnie. — Może pan ma słuszność...

I Butrym, jakiejś własnej myśli odpowiadając, rzekł jeszcze raz w zamyśleniu:

— Dla siebie...

XIV.

Płażyński nigdy nie był właściwie zbyt wybitnym aktorem, ale — jak to mówią — miał szczęście. Z okrągłą, pucołowatą i różową gębą, niezbyt wysoki i mięciutki wyglądał nieuleczalnie na ośmnaście czy dziewiętnaście lat, chociaż dochodził pono trzydziestki. Aktorki i nieaktorki psuły „to chłopiątko“, które na ich cześć ubierało się bardzo starannie i z wyszukaną wedle własnego rozumienia wytwornością, która za kulisami uchodziła za nie mającą sobie równej. Na scenie lubiano go, bo był wesoły i wlot zgadywał, co może zabawić p. t. publiczność! Za wzięciem u publiczności poszło nieuchronnie wzięcie u dyrekcji teatrów, które go sobie wyrywały, płacąc mu gaże, do rzeczywistych zasług jego nieproporcjonalnie wysokie.

Mimo to Turski nie miał ochoty przyjmowania go do składu swego personalu i zdziwił się niepomiernie, gdy księżna Helena wprost tego odeń żądała, stawiając to nawet poniekąd za warunek swego na scenę wstąpienia.

Turski nie znosił nacisku i miał moment, że gotów był nawet zerwać z tego powodu nawiązane z księżną układy, choć w istocie bardzo mu na jej pozyskaniu zależało.

— Ja pana Płażyńskiego w teatrze swym nie potrzebuję — odparł szorstko na nalegania.

— A mnie? — zapytała księżna.

— Im więcej panią z nieznanej mi, lub raczej nie dość jasno widzianej dotychczas strony poznaję, tem goręcej pragnę, aby teatr mój pani służył...

— Więc czemu pan nie chce wziąć tego chłopaka?

— Czy jedno z drugiem nierozłącznie związane?

— A gdyby tak było?

— Cieszę się, że tak nie jest, gdyż tego, co w odniesieniu do pana Płażyńskiego powiedziałem, cofnąć bym nie mógł.

— Nawet gdybym pana prosiła? Gorąco prosiła?

Turskiego ogarnęła złość. Wzniósł szare oczy na księżnę i rzekł dobitnie, patrząc jej prosto w twarz:

— Mógłbym go angażować w jednym tylko przypadku...

Urwał, jakby zawahawszy się przed ostatnim wyrazem.

— Mianowicie? — podchwyciła księżna.

Turski poczerwieniał.

— Nie, nic. Pani daruje. Przyszła mi zła myśl do głowy. Nie powiem tego.

— Więc ja za pana dokończę. Chciał pan powiedzieć, że weźmie go pan, jeśli przyznam, że to jest mój kochanek i ja go w teatrze chcę mieć przy sobie? Czy tak?

— Tak.

— A więc niech mnie pan szybko przeprosi, nawet nie za myśl złą, bo taka myśl naprawdę w głowie pańskiej nie powstała, lecz za słowa, któremi mi pan chciał dokuczyć.

— Przepraszam — rzekł Turski z prawdziwą skruchą.

— Wstydzi się pan?

— Wstydzę się.

— Dobrze. Za karę zaangażuje pan Płażyńskiego natychmiast. Muszę tego wymagać, aby nie wyglądało tak, że pan swoją obelgą zamierzony cel osiągnął. A pan teraz odmówić nie może.

To powiedziawszy, zadzwoniła na służącego i kazała prosić pana Płażyńskiego.

— To on jest tutaj? — zdziwił się Turski.

— Tak. W gabinecie.

(Rozmowa toczyła się w małym salonie).

— Ależ...

— Dziwi to pana? Wszak pan wie, że od dłuższego czasu biorę u niego lekcje. Jest nieoceniony jako nauczyciel.

— Na miłość boską! Co pani robi? Przecież on panią tylko zepsuć może!

— Niech się pan nie obawia! Ja uczę się od niego właśnie, jaką na scenie być nie wolno! — zaśmiała się.

Płażyński wchodził już do salonu. Zobaczywszy Turskiego, skłonił mu się z grzeczną rezerwą i otarł swobodnie kącik ust palcem, na którym błyszczał pierścień z dużym choć pono nie zupełnie prawdziwym brylantem.

— Panie Karolu — rzekła księżna, — pan Turski właśnie chciał z panem mówić. Pragnie pozyskać pana do swojej trupy.

Płażyński skłonił się jeszcze raz, bardzo pośpiesznie i uniżenie i poczerwieniał z uciechy, mimo że usiłował zachować wyraz zimnej choć łaskawej obojętności...

— Szkoda tylko, że dyrektor tak późno się do mnie zwraca — zaczął, siadając na wskazanem mu przez księżnę krześle.

— Czyżby pan był już gdzie indziej związany? —

rzekł Turski z radosną nadzieją w głosie. — Nie chciałbym w takim razie...

— O nie, nie! — zaprzeczył Płażyński skwapliwie — to znaczy... miałem propozycje na najbliższy sezon, nawet z kilku stron, ale nie odpowiedziałem dotychczas... Nie śpieszę się wogóle...

— Jeśli jednak tamte propozycje są lepsze od mojej...

Płażyński zapewnił go łaskawie, że choćby nawet były lepsze pod względem materjalnym, on jemu daje pierwszeństwo, nie wątpiąc zresztą, że praca jego i talent, „którym się nie chwali", będą odpowiednio wynagrodzone.

Turski był wściekły, że się dał złapać w taki głupi sposób i ostatecznie przez własną winę, gdyż cała rzecz była konsekwencją niegrzeczności, której nawet nie wypowiedział wobec księżnej. Przysiągł sobie w duchu, że na przyszłość będzie się wystrzegał nawet pomyślanych impertynencyj odnośnie do kobiety, umiejącej za każdym razem broń sobie z nich ukuć przeciw temu, kto sam niemi z nią chciał walczyć. Ale na to nie było już rady: zaangażowanie Płażyńskiego było bądź co bądź aktem dokonanym.

Zły i zdenerwowany wyszedł od księżnej, zapewniwszy ją jeszcze raz na odchodnem, że o jej planach scenicznych, stosownie do jej usilnego życzenia i nadal zachowa najzupełniejszą dyskrecję. Czuł sieć pajęczą, zadzierzgającą się coraz ciaśniej koło siebie oplątującą go przedziwnemi nitkami, napozór słabemi i nic nie znaczącemi, których jednak zerwać nie był w stanie.

W wysokiej sklepionej sieni domu dobiegł go głos Iwonka, bawiącego się w niewielkim ogrodzie poza domem. Zatrzymał się na chwilę, a potem, jakby mimowolnie, zamiast wyjść na ulicę, zwrócił się ku przeciwnej stronie i stanął we drzwiach, do ogrodu wiodących.

Była wczesna wiosna. Liście na drzewach rozwijały się dopiero, znacząc się jasno zielonemi, przejrzystemi chmurkami na ciemnym błękicie nieba. Na rabatach pod murami domu kwitnęły całą masą różnobarwne hiacynty. W głębi ogrodnik przekopywał czarną, tłustą ziemię; kilka ptasząt ćwierkało zawzięcie w gorącem słońcu, skacząc po młodych kwietnemi pączkami nabrzmiałych gałęziach wisien.

W pośrodku, na obszerniejszym nieco od innych trawniku, stał Iwo z biczem w ręku.

Opodal na ławce siedząca ochmistrzyni zdawała się drzemać. Chłopak nie zważał na nią. Szerokim ruchem ręki strzelał z długiego bicza i opowiadał sobie przytem głośno jakąś nadzwyczajną historję, pełną rozhukanych koni, wojsk idących do ataku i czynów bohaterskich.

Turski przez jakiś czas słuchał w milczeniu. Przypomniała mu się własna jego młodość, nieuskromiona i swobodna, wakacje przecudne, spędzane w domu rodzicielskim, na wsi, w ogromnym, starych drzew pełnym parku, dziś już oddawna nie istniejącym. Ojciec jego, niegdyś ciężkiemi warunkami zmuszony, majątek rozparcelował; wycięto drzewa w ogrodzie, wyrąbano lasy, pokrajano na kawałki szerokie, kwieciste łąki i pola, gdzie nieraz po żniwach przez ścierniste zagony hasał na nieokulbaczonym koniu... Myślał o tem, patrząc na Iwona, i zdjął go żal, że to książątko bogate i pieszczone, dzięki fantazji swej matki zmuszone jest chować się w mieście lub po zapchanych ludźmi letniskach — i wśród dóbr swoich rozległych niema jednak żadnego kąta, z którymby mogło

w przyszłości związać miłośnie swoje jasne dziecięce wspomnienia, jak on, Turski, z ową, dawno już między ludzi podzieloną wioską.

Chłopak spostrzegł go tymczasem i przerwawszy samotną zabawę, podbiegł szybko ku niemu.

— Nie wiedziałem, że pan tu jest — rzekł, podając mu drobną rękę na powitanie.

Śmiały mu się usta, bo Turskiego, wbrew pierwotnej niechęci, zczasem bardzo polubił, ale oczy miał jeszcze jakby senne i rozmarzone, pełne dotąd wywołanych dziecięcą fantazją obrazów...

— Byłeś, widzę, na wojnie — zażartował Turski.

Chłopiec się zmarszczył.

— Ach, proszę pana, taka wojna! — Ja sam się biję, a nikt mi nie stawia oporu...

— Zbierz sobie towarzyszów.

— Nie pozwalają mi bawić się z nimi. A zresztą jabym chciał wojny prawdziwej. Kiedy pan wraca do Azji?

Turski zdumiał się tem niespodziewanem pytaniem.

— Ja? Do Azji? Wiesz, chłopcze, że nie myślałem o tem, że mógłbym naprawdę wrócić do Azji...

Mówił to poważnie, do siebie samego raczej.

— Naturalnie, że powinien pan wrócić — ciągnął Iwo. — Co pan ma tu do roboty? Podobno teatr pan buduje? To jest, przepraszam pana, ale to jest takie same głupstwo, jak ta moja zabawa: wszystko się dzieje nie naprawdę.

— Tybyś chciał, abym odjechał?

— Tak. Chcę. I ja z panem pojadę. Umiem jeździć konno, strzelam bardzo dobrze, tak jak Staś „W puszczy i na pustyni“...

— Tam trzeba pracować.

— O! niekoniecznie, można także zdobywać — rzekł chłopiec z niespodziewanie twardym akcentem w głosie.

Turski przyciągnął chłopca do siebie i patrzył mu długo w rozgorzałe oczy. Dostrzegł tam snać coś, jak gdyby odbłysk swoich własnych dziecięcych rojeń, snów, zamiarów... Poczuł dalszy ciąg własnego istnienia i ogarnęła go naraz nieprzemożona tęsknota, aby to dziecię mieć w swoich rękach, patrzeć, jak się w bujny kwiat życia rozwija, czuć w niem przedłużenie swojej istoty, uczynić niem to wszystko wielkie i doskonałe, czego sam uczynić zaniedbał, nie zdążył, czy nie zdołał. Na dłoniach, któremi kibić chłopca opasywał, czuł bijące, przyśpieszone tętno jego młodej gorącej krwi, oczyma, w źrenice jego wpatrzonemi, przeglądał niemal nawskroś tę duszę, rozwijać się dopiero poczynającą i czuł coraz głębiej, że jest mu bliska, dziwnie zrozumiała, jasna i kochana.

Szalone myśli poczęły mu przez mózg przebiegać. Przez jeden moment chciał porwać chłopca od tej całej zgnilizny niezdrowej, obok której się chował — i unieść ze sobą rzeczywiście gdzieś do Azji czy Australji, na twardy życia trud, na wyrobienie w ciągłej walce wszystkich władz ciała i duszy... A przedewszystkiem, aby go ustawicznie, nieustannie mieć przy sobie, cieszyć się jego życiem i urabiać je na jakąś modłę olbrzymów.

Potem jednak zaraz pomyślał, że — poza wszelkiemi trudnościami takiego planu — byłby to przecież ogromny egoizm z jego strony, oderwać tak przemoca dziecię od matki, od kraju ojczystego, od kultury całej, która bądź co bądź może mu wiele dać w życiu. Ale dlaczegożby go nie miał adoptować naprzykład? Jego znaczny majątek, większy niż pozosta-

łość po księciu, i dobre, szlacheckie, szczero-polskie imię usprawiedliwiałyby dostatecznie przed światem ten postępek wobec dzieciaka, którego polubił, a księżnaby się chyba zgodziła...

— Chciałbyś ty być mój? — zapytał chłopca znienacka.

Iwo, który się już długiem milczeniem niecierpliwił, potrząsnął głową.

— O, co to, to nie. Ja chcę być całe życie swój własny.

Turski wypuścił chłopca z objęcia.

Tak, on miał słuszność! Swój własny. Dzieci tylko wtenczas naprawdę należą do rodziców, gdy same niewiele są warte. W przeciwnym razie — to tylko złudzenie. To strzała puszczona z łuku, która — własnego pędu nabrawszy — dostaje naraz żywych skrzydeł i leci, kędy zechce, daleko, daleko poza widnokrąg, oczyma strzelca zakreślony... Strzała z bajki, która się zamienia w gołębia czy w orła. Tak być powinno.

Skinął głową chłopcu na pożegnanie i wyszedł w zamyśleniu powoli na ulicę.

Przed domem minął go pędzący naoślep Rohityn. Potrącił go prawie, nie pozdrowiwszy nawet i wpadł w bramę. Turski przystanął na chwilę i obejrzał się za biegnącym, słyszał pośpieszne kroki na schodach, potem za moment stuk otwieranych drzwi... Ruszył ramionami i zwrócił się w stronę teatru, gdzie się spodziewał zastać Zarembę.

Rohityn tymczasem wpadł do mieszkania księżnej, pytając służby zaraz u wejścia o panią domu. Nim mu zdążono odpowiedzieć, ukazała się sama w drzwiach przedpokoju, a zobaczywszy przybyłego, cofnęła się szybko do salonu.

Rohityn pobiegł za nią. Zastał ją już siedzącą w fotelu i rozmawiającą z kręcącym się trochę niespokojnie Płażyńskim.

Podała mu z pobieżnym nieco uśmiechem lewą rękę do pocałowania, nie przerywając rozmowy.

Rohityn zawahał się.

— No, całuj-że pan prędzej! — zawołała z bardzo miłem zniecierpliwieniem.

Pocałował i wyprostował się godnie.

— Spodziewałem się zastać panią samą, — rzekł nie patrząc na Płażyńskiego.

Księżna spojrzała ukradkiem na bronzowy zegar, stojący w rogu pokoju.

— Spóźnił się pan. Nie wiedziałam, czy pan przyjdzie i dlatego pana Płażyńskiego, który przed dwiema czy trzema minutami zaszedł mnie odwiedzić, przyjęłam z ochotą.

Poczem zwróciła się do aktora.

— Obiecałam panu Rohitynowi rozmowę w cztery oczy. Prosił o nią oddawna, ponieważ ma mi podobno coś ważnego do powiedzenia.

Płażyński powstał żywo.

— Ależ w takim razie... ja w tej chwili... Jeśli tylko przeszkadzam...

— Nie, nie przeszkadza pan. Niech pan jeszcze zostanie.

Rohityn zgrzytnął zębami.

— Owszem, jeśli mam być otwartym, wolałbym, aby nas pan w tej chwili pozostawił samych.

Księżna zwróciła się doń z łagodnym acz głębokim wyrzutem.

— A! Któż to widział wypłaszać mi gości, zwłaszcza tak miłych...

— Ja chętnie! — powtarzał Płażyński, niebardzo zdecydowany, co ma robić.

— Nie, panie Karolu, nie „chętnie“, bo mam nadzieję, że chętnie pan u mnie pozostaje, a nie wychodzi. Dlatego proszę usiąść i posiedzieć! Pójdzie pan stąd dopiero za pół godziny.

Mówiąc to, wskazała ręką bronzową tarczę zegara z dwiema białemi wskazówkami z kości słoniowej.

Rohityn — może mimowoli — poszedł wzrokiem za jej dłonią, a przypatrzywszy się ze złością zegarowi, wziął krzesło i usiadł na niem ostentacyjnie z twarzą na leniwie wlokące się wskazówki zwróconą. Znać było, że postanowił bohatersko milczeć, dopóki nie nadejdzie godzina odejścia nieprzyjemnego aktora.

Księżna niewiele sobie z tego robiła. Zaczęła żywo i z zajęciem rozmawiać z Płażyńskim o teatrze, o planach swych i zamiarach scenicznych, o Turskim wreszcie i Zarembie, słowem, o tem wszystkiem, co Rohityna jak najmniej obchodziło i o czem nie miałby ani słowa do powiedzenia.

Czasem, gdy księżna odezwała się z jakimś swoim teatralnym planem, poruszał się na krześle, niecierpliwie i rzucał szybkie, wściekłe spojrzenie na mówiącą, jakby jej chciał przerwać, ale ostatecznie wytrwał w niewygodnej a dobrowolnie przyjętej na siebie roli obrażonego milczka, choć wkońcu sam już czuł jej śmieszną niedorzeczność.

Wreszcie pół godziny upłynęło i Płażyński, rzuciwszy okiem na zegarek, powstał, aby się pożegnać. Miał uśmiech na ustach, gdy wyciągał dłoń do Rohityna. Rohityn podał mu ozięble końce palców, a ledwie drzwi się za nim zamknęły, wpadł z furją na księżnę.

— Dosyć mam tych komedyj! Proszę cię...

— Ciszej!...

— Błagałem cię, zaklinałem, że chcę dzisiaj nareszcie sam na sam z tobą pomówić...

— Niech mi pan nie mówi po imieniu.

— Jakto? Dlaczego?

— Może kto słyszeć.

— Niema nikogo.

— Służba...

— Głupstwo! Wiedzą przecie wszyscy, że jestem twoim narzeczonym!

— Tak, ale ja nie chcę. Więc, co mi pan miał do powiedzenia?

Rohityn był nieco zbity z tropu. Usiadł na fotelu blisko księżnej i zaczął pokorniej oraz znacznie ciszej:

— Proszę cię... to jest proszę panią oddawna o chwilę poufnej rozmowy, czekam na nią tygodnie i zawsze ktoś...

— Płażyński nadszedł przypadkiem. Nie mogłam mu przecież drzwi pokazać!

— Tak! Dzisiaj Płażyński, wczoraj Wierzbic, przedwczoraj jakaś dama z piekła rodem, kiedyś znowu ten warjat Rogocki! Nigdy nie mogę...

— Tak się jakoś składa. Zresztą nie wiem, co tu jest do mówienia.

— Owszem. Chcę wiedzieć nareszcie, co znaczy to nowe twoje szaleństwo.

— Szaleństwo!?

— No, z tym teatrem. Nie myślisz przecie naprawdę wstąpić na scenę!

— Wstępuję.

— Ja nie chcę! Nie pozwolę na to!

— Jakże to?

— Masz być moją żoną!

Księżna patrzyła nań przez jakiś czas chłodno i badawczo.

— Panie Ludwiku, niech się pan opamięta. Gdyby pan tak sprawę stawiał rzeczywiście, mogłabym mieć tylko jedną odpowiedź...

— Jaką?

— Niech mnie pan nie zmusza, abym ją dała. Ja na scenę wstąpię, bo przekonałam się, że to jest właściwa linja mojego życia. A gdyby mi pan stawiał przeszkody, to raczej... Czy pan rozumie?

Powstała i podeszła ku oknu, udając, że przypatruje się pilnie czemuś na ulicy. Rohityn został na środku pokoju poprostu oniemiały. Przez chwilę patrzył na księżnę w osłupieniu, a potem naraz rzucił się przed nią na kolana.

— Helu, Helu! Na miłość boską...

Bełkotał jakieś słowa bez związku, prosił ją i chwytał za kraj sukni.

Odwróciła się ku niemu powoli i spojrzała zgóry.

— Czego pan chce?

— Ja tego nie przeżyję, nie zniosę! Ja cię kocham! Ja nie mogę, abyś ty... na scenie... wszystkim ludziom... by każdy, kto za bilet zapłacił... Ja oszaleję! Strzelę w łeb tobie i sobie!

Uśmiechnęła się.

— Panie Ludwiku...

— Nie, nie, nie! Nie chcę! — powtarzał z uporem rozkapryszonego dzieciaka, — nie pozwolę, by za kulisami byle aktor... żeby cię na scenie publicznie całowano...

Zakrył oczy rękami i zaczął płakać.

Przesunęła dłoń po jego włosach, a potem, ziewnąwszy ukradkiem — pociągnęła go za sobą na środek pokoju, gdzie usiadła w głębokim fotelu. Dał ze sobą robić bez oporu wszystko, co zechciała. Skulony u jej

nóg, oparł czoło o jej kolana i powtarzał do znudzenia:

— Kocham cię, kocham, kocham...

Księżna ziewnęła jeszcze raz, poczem wziąwsze głowę Rohityna w obie ręce, uniosła ją nieco ku górzy tak, że musiał spojrzeć jej w oczy.

Wyglądał nader śmiesznie, zapłakany i czerwony, z pomierzwionemi na skroniach włosami, ale ona, jakby tego nie spostrzegała, patrzyła nań czule i głęboko.

— Dzieciaku, ty, dzieciaku! I o cóż to tobie chodzi? Wyobraź sobie tylko, sam będziesz rad i dumny, gdy mnie zobaczysz na scenie, wśród oklasków, wśród wieńców i pomyślisz, że wszyscy się mną zachwycają, wszyscy szaleją, a ja do ciebie jednego należę! A propos — jaki mi bukiet przygotujesz na pierwszy występ? Chcę wiedzieć!

Rohityn żachnął się znowu.

— Kobieto! Nie doprowadzaj mnie ty do szału!

Odsunęła go lekko od swych kolan.

— Ach, jeśli się złościsz znowu, możemy o tem nie mówić. Wogóle możemy nie mówić o niczem, nawet nie widywać się wcale.

— Więc co będzie z nami?

— To, co widocznie chcesz sam, aby było. Ja dla twoich śmiesznych uwidzeń nie wyrzeknę się tego, co mi może dać jedynie szczęście w życiu. Ja chcę, rozumiesz mnie? Chcę władać, ludzi porywać, zachwycać, panować nad nimi, nad tłumem, nad całym ogromnym tłumem, ponad wszystkimi!... Ach, co ty wiesz...

— To ten kabotyn Płażyński winien temu! — ryknął Rohityn, zrywając się z kolan.

Spojrzała na niego z niewysłowionem lekceważeniem.

— Cóż tu Płażyński ma do rzeczy?
— Kochasz się w nim!
Ruszyła ramionami bez odpowiedzi.
Rohityn tedy zaczął chodzić po pokoju, udając lwa, miotającego się w klatce. Potrącił kilka krzeseł, przewrócił mały stoliczek z bukietem kwiatów (były od Płażyńskiego — tanie), a gdy się wreszcie zmęczył, poszukał kapelusza i stanął przy drzwiach w pozie tragicznej.
— Więc koniec? — rzekł po chwili oczekiwania grobowym głosem.
Zwróciła nań roztargniony wzrok.
— Jaki koniec?
— Z nami.
— Jak pan chce.
— Żegnam panią.
— Kiedy przyjdzie pan znowu?
— Nigdy.
— W takim razie niech pan lepiej jeszcze zostanie.
— Kobieto! Miej ty miłosierdzie nade mną i nad sobą!
Parsknęła naraz srebrzystym śmiechem, który go zmieszał niewymownie.
— Ludwik! Bałwaniątko małe! Chodź-że, chodź! Przeproś. O tak, pocałuj jedną rękę i drugą... A teraz klęknij, pocałuj w kolano...
— Helu! Ja cię tak kocham! — mówił znów na klęczkach.
— Wiem o tem. Dlatego pójdziesz dzisiaj do Płażyńskiego, rozumiesz mnie? Powiesz mu, że zapomniałam go zawiadomić, iż jutro o trzeciej chcę mieć lekcję. I bądź grzeczny dla niego, uprzejmy, przyjacielski. Ja go potrzebuję... Nietylko teraz, ale i później w teatrze...

— Więc to nieodwołalne?
— Ma się rozumieć. W październiku pierwszy mój występ.
— W październiku miał być nasz ślub!
— Odłożymy na później.
— Hela!
— Tak jest. Nie chcę wstępować na scenę, jako twoja żona. Później, gdy się już wszystko ustali...
— I ja jeszcze muszę czekać?
— Będziesz czekał grzecznie — i żadnych zazdrości wobec nikogo nie będziesz okazywał, bo bym się pogniewać musiała. A tymczasem wstań, bo zdaje mi się, że ktoś idzie.
Jakoż przyszedł Wierzbic wraz z Golimskim, od jakiegoś czasu znowu w towarzystwie księżnej się pokazującym. Okazało się, że zamówieni na tę godzinę, przychodzą z relacją z wykonania danych im poleceń.
Golimski zaraz na wstępie zaczął opowiadać, że puścił dyskretnie w kurs wiadomość, iż księżna już niechybnie — na razie pod obcem nazwiskiem — wystąpi w jesieni na scenie i chwalił się, że zrobił to tak zręcznie, że nikt nie domyśli się nawet, aby z jej wiedzą i wolą ta pogłoska się rozeszła.
— Wszyscy są zelektryzowani — mówił. — Cały świat się na owo przedstawienie wybiera. W tym dniu ręczę, że Turski będzie miał teatr wyprzedany do ostatniego miejsca — przynajmniej raz w życiu, bo poza tem, nie wiem... Dziśby już ludzie bilety kupowali. Jedni przez ciekawość, drudzy z oburzenia. Gdyby Turski na ten dzień rzymskie koloseum wynajął, albo którą z dolin tatrzańskich na amfiteatr zamienił, i takby miejsc zabrakło...
Mówiąc to, śmiał się i był okropnie dumny, nie-

wiadomo z czego. Księżna zaczęła go wypytywać o szczegóły i dawać różne dalsze zlecenia, zwracając się także czasem i do Rohityna, jak gdyby dla zaznaczenia, że to wszystko, co się dzieje, dzieje się z jego wiedzą i zgodą.

Wierzbic, usiadłszy opodal, nie przeszkadzał rozmowie. Dopiero po jakiej pół godzinie, gdy księżna wzrokiem go poszukała i zapytała, podał w milczeniu przyniesioną ze sobą tekę. Księżna, rzuciwszy w nią okiem, wydała mimowolny okrzyk radości.

— Tak, tak! To właśnie jest to, czego mi potrzeba. Och! Jak mnie pan zna...

— Pochlebiam sobie — odparł malarz z ukłonem i krzywym na ustach uśmiechem.

Pogroziła mu filuternie palcem na nosie.

Golimski się przysunął.

— Czy można zobaczyć, co to takiego?

Zakryła papiery obiema rękami.

— O, nie nie! Ani pan, ani pan Ludwik! Zobaczycie dopiero w październiku — na scenie!

Zamknęła tekę i powstając, zwróciła się do Wierzbica:

— Przejdźmy do gabinetu. Tam pomówimy o tem. Panowie tutaj zaczekają — wszak prawda? Każę podać koniak i cygara. Panie Ludwiku, proszę być gospodarzem!

W gabinecie wyrzuciła z teki na stół rysunki dekoracyj i kostjumów.

— Czy mówił pan Turskiemu co o tem? — rzekła, dotykając ręką papierów.

— Ani słowa. Wszak pani tak chciała.

— Naturalnie.

— Ale...

— Co takiego?

— Czy to on sam wybrał tę rzecz, „Elen“ hrabiego Villiers de l'Isle Adam'a na pierwszy pani występ?

— Nie. To ja sama wybrałam. A raczej...

— Co?

— Rogocki.

Wierzbic spojrzał na księżnę i zaśmiał się krótko.

— Z czego się pan śmieje?

— Ot, tak sobie. Rogocki.

— Żeby pan wiedział, że zrobił nawet więcej. On mi ułożył całą przedziwną inscenizację sztuki, wedle której zrobił pan te oto nadzwyczajne, naprawdę nadzwyczajne rysunki!

— Ha! — uśmiech złośliwy znów mu się zaplątał na wargach. — Biedak! Wybierając tę zapomnianą a rzeczywiście genjalną sztukę, czuł się zapewne Samuelem, który odchodzi wkońcu w ciemność i w noc...

— O! On mnie nie przeklął, jak Samuel księżniczkę Elen w trumnie przeklina, — rzuciła księżna mimochodem, przeglądając znowu rysunki.

— Raczy pani zauważyć, że, niestety, w trumnie pani jeszcze nie leży.

Zaśmiała się.

— Dlaczegóż niestety?

Wierzbic nie odpowiedział. Sięgnął ręką po książkę, leżącą obok na stole. Było to francuskie wydanie dramatu.

— Kto pani sztukę będzie tłumaczył?

— Turski sam.

— Przyobiecał?

— Nie, ale zrobi to.

Zaległo znowu na chwilę milczenie. Malarz przerzucał kartki książki.

— Podoba się pani postać księżniczki Elen?

Wzniosła na niego powoli spojrzenie ogromnych, chłodnych oczu.

— Panie, przecież to ja jestem sama, — rzekła dziwnie poważnie i głęboko.

Drgnął.

— Może.

Ona tymczasem, odrzuciwszy wtył głowę, szeptała strofy ze wstępnego wiersza autora:

„Autrefois, autrefois, quand je faisais partie
des vivants, leurs amour, sous les pâles flambeaux
des nuits, — comme la mer au pied de ces tombeaux
se lamentaient, honteux, devant mon apathie!
J'ai vu de longs adieux sur mes mains se briser!
Mortelle, j'accueillais sans désir et sans haine
les aveux suppliants de ces âmes en peine:
le sépulcre à la mer ne rend pas son baiser...“

Wierzbic poruszył głową:

— Czy ja wiem, czy ja wiem, czy się to może naprawdę do pani odnosić...

A potem zaczął czytać sam z książki słowa Andrzeja:

„D'autres l'ont possédé, je le sais... Oui, le premier connut sa vigne vierge aux grappes dorées par le soleil d'Orient! Le second s'est baigné dans ses fleuves paisibles! Le troisieme s'est enivré avec une goutte de sa nuit remplue d'etoiles attristées!... Que m'importent les autres! Seul je sais ce qu'elle m'a donné...“

Rzucił książkę gwałtownie na stół.

— Więc czegóż chcesz jeszcze? — szepnęła.

— Żebyś ty umarła — odparł i zakrył oczy.

Zamiast odpowiedzi, powstała i nim się mógł spostrzec, na jeden przelotny moment przycisnęła usta do jego ust...

Rzucił się wtył i wyciągnął ręce...

Była już daleko, przy drzwiach.

— Przejdźmy do salonu. Czekają tam na nas. O kostjumach pomówimy innym razem.

Powstał — blady jak śmierć — i szedł za nią posłusznie.

XV.

Księżna Helena, leżąc na sofie, przeciągnęła się nerwowo. Czuła jakiś dreszcz niespokojny, przechodzący szeroką falą wszystkie jej żyły i unicestwiający ją prawie na jeden moment.

Zerwała się i rzuciła z gniewem na dywan zeszyt z wypisaną rolą.

Szeroko rozwartemi, zdumionemi oczyma spojrzała przed siebie.

Co to jest? Na miłosierdzie boskie, cóż to jest?

Płażyńskiego wyrzuciła po prostu za drzwi. Tak nie postępował z nią jeszcze nikt i nigdy.

Drżała z oburzenia, kiedy stąd wychodził, z głupim, napoły kłopotliwym, napoły cynicznym uśmiechem na szerokiej gębie — a to teraz znowu drży... mimowoli...

Czy z oburzenia?

Ha, ha!

Zaśmiała się sucho i zaczęła chodzić po pokoju wielkiemi krokami, wtył założywszy ręce.

A! Więc to tam za kulisami tak patrzą na kobiety, na te aktorki, przebiegające nieraz półnago przez korytarz od garderoby na scenę, aby się pokazać tłumowi...

Czy to wszyscy tak robią? Czy to może tylko wyjątkowo u tego — jakże tam? — Płażyńskiego? Po-

winna go była w twarz uderzyć. Jak pokojówka na schodach zaczepiona, ponieważ tylko pokojówkę tak się zaczepia.

To będzie jej kolega! Właściwie poco się uparła postawić na swojem i wpakować go Turskiemu do teatru, gdy jej istotnie nic na tem nie zależało? Przecież można było ostatecznie w jakiś inny sposób spróbować, jak dalece Turski woli jej się podda.

Zatrzęsła się cała.

Jakże to było? Czytali wespół rolę, właśnie w tym miejscu, gdzie Samuel wyciąga ręce po księżniczkę Elen... I nagle...

Oh! Gdy ją Płażyński ujął nagle za ramiona, miała wrażenie, że dotykają jej ręce jakiegoś półczłowieka, murzyna, małpy... Jakie to wstrętne! Tak, wstrętne — a równocześnie...

Zastanowiła się. Jest jednak coś dziwnie, dziwnie, niepojęcie słodkiego w uczuciu zadawanego sobie gwałtu — przez kogoś, kto tylko siłę fizyczną ma do rozporządzenia. Możeby taki zwierz rodzaju męskiego umiał nareszcie okiełznać, panować, bodaj nawet poniżyć — —?

Głupstwo! Cofnął się jak żak, gdy się zerwała i spojrzała na niego... Był zmieszany... Prawda, że jej nie przepraszał, że odchodząc, rzucił chełpliwie: Powrócę! Ach! Nie powróci. On nie pozwoli na to. A gdyby się poważył, każe lokajowi za drzwi...

I znowu ten dziwny, niezrozumiały dreszcz ją przeszedł...

Nie chciała o tem więcej myśleć. Podjęła rzuconą na dywan rolę i siadła na otomanie, aby pracować. Ale nauka jej nie szła. Słowa roli plątały jej się w głowie, jak bezduszne, nic niewyrażające dźwięki.

Zadzwoniła na pokojową. Kazała sobie podać fili-

żankę mocnej herbaty i pocztę popołudniową. Przyniesiono jej na tacy jakiś tygodnik ilustrowany i kilka listów. Jeden z nich ujęła w dłoń i zaczęła się pilnie przypatrywać pismu na adresie.

Lekki uśmiech przebiegł jej po wargach.

— Ach! To chłopię...

Rozdarła kopertę i leniwym wzrokiem zaczęła czytać.

„Pani najpiękniejsza i dobra! Pachną mi akacje przez otwarte okno — a tam naprzeciw gra ktoś na skrzypcach dziwną, przeciągłą, smutną melodję, której nazwać nie umiem... Ciepły, gwiaździsty wieczór pełen jest tej woni i tego dźwięku nieznanego. To śmieszne jest powiedzieć, że dusza moja podobna jest do tego wieczoru, prawda? Pachnie w niej coś i placze, jak te struny niewidzialną ręką tam trącane... Poskarżyć Ci się chcę, Pani, że Cię kocham. Nie mówiłbym tego i nie pisał, gdybym... Ach, wszystko jedno! Dość, że napisałem już. Wyjeżdżam stąd za kilka dni za granicę i po wakacjach tam zostanę dla ukończenia studjów, nie będę więc już Pani widział i nie będę się potrzebował wstydzić przed Panią, żem napisał rzecz, która się Tobie, Pani, musi wydawać bardzo, bardzo śmieszną. Ale tak nie jest w istocie. To byłoby śmieszne wtenczas, gdybym czego pragnął lub spodziewał się... Niech Ci się więc, Pani, zdaje tylko, że ktoś Ci rzucił snop kwiatów pod stopy, gdyś przechodziła ulicą, że ktoś ukląkł, widząc Cię zdala i nakrył twarz, abyś nawet nie poznała, kto klęczy. I ja sam, Pani, nie chcę zbliska patrzyć na Ciebie. Tak oddalona — jesteś mi cudem, jesteś zorzą, płonącą gdzieś na niedosiężnym firmamencie, która jednak rozświetla mi twarz, gdy ją wzniosę ku górze..."

Księżna ziewnęła lekko i nie kończąc dość dłu-

giego listu, opuściła go na kolana. Przed oczyma stanął jej znów Płażyński z bezczelnie zuchwałą, cyniczną gębą lokaja...

— Ach! Jakże się nazywała ta cesarzowa rzymska, co uciekała w noc z pałacu w kapturze ulicznicy, aby się oddawać przechodniom, poganiaczom mułów i drążkarzom — —? Czuła uścisk brutalny, poddawała się ich żądzy, żadnemi względami nieokiełzanej i twardej, nielitościwej pięści...

Zerwała się przerażona.

— Boże jedyny! Cóż mi do głowy przychodzi? — Nie! nie! nie! Nie poddawać się, ale panować i nad takiem dzikiem zwierzęciem, być jak ta pogromczyni w klatce, co z uśmiechem kładzie złotą głowę w cuchnącą paszczę lwa...

A! Niech przyjdzie tutaj! Owszem, trzeba, aby przyszedł. Niech się na kolanach włóczy, jak tamci wszyscy, a gdy ona zechce, niech skacze jak niedźwiedź, tańca pod batem wyuczony...

Naraz ogarnęło ją rozczulenie.

Mój Boże! Cóż on winien, ten biedny Płażyński, że jest tak niezręczny i... nieokrzesany? Gdyby miał więcej znajomości świata, nie byłby postąpił w ten sposób, umiałby owszem łasić się, podchodzić, przyczajać... A poza tem — jest przecież cudowny! Nie można go nawet porównać z Rohitynem, który jest przysadkowaty, krępy i — błazen. Płażyński wygląda jak wykuty z marmuru i głos ma tak przejmujący... Młody jest bardzo.

Ukryła twarz w rękach na miękkiej poduszce otomany.

Czuła, jak przypływa jej do serca szeroka, dobra i litościwa fala wyrozumiałości, przebaczenia, łaski.

— Dobra jestem — myślała. — Dopomogę mu.

Umieściłam go u Turskiego. Ja tam zajmę wybitne stanowisko i pociągnę go za sobą ku wyżynom. Teraz on jest niczem, ale miłość ku mnie zrobi z niego artystę. Będę mu siostrą, opiekunką, matką...

Naprzekór tym określeniom wyobraźnia mimowolna przywoływała jej przed oczy aktora w takiej postaci, jak widziała go ostatnio: z zaciśniętemi szczękami, chwytającego brutalnie zuchwałą ręką jej wątłe, królewskie ramiona... Dreszcz ją znowu przebiegł gorący, którego się już poskromić nie starała. Gwałtownym rzutem ciała przewróciła się na otomanie nawznak i zaplotła ręce pod głowę. Patrzyła w sufit prawie bezmyślnie, z błędnym nawpół otwartych ustach uśmiechem.

Gdy po jakimś czasie, powstając, trafiła końcem stopy na porzucony list Borzyckiego, uśmiechnęła się z pogardą.

— Osioł — szepnęła, i trąciła nogą zmięty papier w kąt pokoju.

W tejże prawie chwili w przedpokoju ozwał się dzwonek.

Służący oznajmił „jakiegoś młodego pana, który nie powiedział swego nazwiska, ale chce się z księżną panią widzieć na jeden moment".

Przyszło jej na myśl, że to może Płażyński, ale tego wszak znała jej służba...

Zawahała się trochę; ciekawość przemogła. Kazała prosić. Wszedł Borzycki.

— Pan? pan?

— Księżno proszę mi darować...

— Cóżbym ja panu miała do darowania? Owszem, rada jestem bardzo, że pana widzę.

Podała mu swobodnie rękę do pocałowania.

— I nie gniewa się pani na mnie? Za moją... zuchwałość?

Udała, że nie wie, co on ma na myśli.

— Nic pan nie zrobił takiego, o co musiałabym się gniewać.

Usiadł na wskazanem krześle.

— Wyjeżdżam już jutro. I miałem zamiar nie widzieć już pani...

— Bardzoby to było z pańskiej strony niegrzecznie, gdyby się pan był nie pożegnał.

— Możeby to jednak było lepiej dla mnie.

— Dlaczego?

Mówił dalej, nie zważając na jej pytanie:

— Ale naprawdę nie mogłem się przemóc. Chociaż jeszcze raz... jeden, jedyny, ostatni raz... Gdyby mi pani nawet drzwi miała pokazać...

Pochylił się na krześle i ukrył twarz w dłoniach.

Patrzała nań z pewnem wzrastającem zajęciem.

— Dziecko! — szepnęła i jakby mimowoli dotknęła dłonią jego jasnych, falistych nieco włosów.

— Niech pani ręki nie cofa! — jęknął błagalnie ledwo dosłyszalnym głosem.

— Dziecko, — powtórzyła tym razem głośniej. — Trzeba żeby dziecko jechało w świat i nie myślało o niczem, o niczem, co nie ma sensu...

Osunął się na dywan i oparł skroń o jej kolana.

— Tak, pojadę... jutro... pojadę, ale tymczasem — niech mi pani pozwoli — jeszcze jedną chwilę — jeszcze niech mi się śni...

— A piękne rzeczy panu się śnią? — pytała cicho z pobłażliwym uśmiechem.

Wzniósł głowę.

— Zna pani dramat jeden... stary?... Pyta się

w nim tak kasztelanowa schylonego u nóg swych pazika...

— I co on odpowiada?

— ,,Dziwna, dziwna bajka...

,,Śni mi się w zamku zaklęta królewna
,,biała i złota
,,i święta,
,,co len srebrzysty na wrzeciono mota
,,i śpiewa:
,,— O, szczęście, o jasne szczęście! — —
,,Z dalekich krajów tam
,,ciągną hufami rycerze pancerni,
,,jej wierni
,,i stają u bram,
,,lecz ona
,,głowę swą kłoni
,,ku pacholęciu, co u stóp jej kona
,,z miłości — i śpiewa:
,,O, szczęście...''

Przypadł nagle ustami do rąk jej złożonych i jął je całować gorąco, zachłannie, obłędnie...

— To ładny sen, — mówiła.

Po pewnej chwili usunęła mu dłonie delikatnie.

— Dość już snów. Dosyć. Teraz proszę wstać i iść już i zapomnieć...

Podniósł się — posłuszny — z pełnemi łez oczyma.

— Albo nie, nie zapominać, — szepnęła jeszcze, — tylko myśleć o mnie zawsze dobrze i jasno...

Chciał coś odpowiedzieć; wargi mu się jeno poruszyły, — przycisnął ręce do piersi i wybiegł z pokoju.

Stała chwilę, patrząc przed siebie.

Naraz pochwyciła kartkę papieru. Nerwowym ruchem skreśliła na niej ołówkiem cztery słowa: ,,Proszę przyjść — dzisiaj — wieczorem''.

Na kopercie położyła adres Płażyńskiego.

Zadzwoniła na służącego i oddając mu bilet do wysłania, kazała sobie równocześnie przywołać Iwonka.

Chłopiec wszedł, ociągając się, zły, że mu przerwano właśnie jakąś nadzwyczajną zabawę. Księżna ujęła go za ramiona i patrzyła mu długo w bystre, szare oczy. Wreszcie poruszyła głową z lekkiem zniecierpliwieniem.

— Mój Boże, żeby to można wiedzieć na pewno...

— Czego mama życzy sobie ode mnie?

Objęła go tkliwie rękoma.

— Niczego synku. Chcę, żebyś był trochę ze mną. Biegasz wciąż po ogrodzie, nie widuję cię prawie w ciągu dnia.

Ogarnął ją jeden z tych rzadkich napadów czułości, podczas których zdawało jej się istotnie, że żyje jedynie i wyłącznie dla syna, że jest on dla niej wszystkiem i że wszystko dlań poświęcić gotowa. Poczęła zdziwionego niezwykłym wybuchem dzieciaka okrywać pocałunkami, a potem, kazawszy przynieść książki jego i zabawki, rozłożyła to wszystko na dywanie i usiadła na ziemi, aby się z nim bawić. Ale zabawa nie szła. Nie umieli jakoś oboje bawić się ze sobą. Iwo czuł się skrępowanym a wkrótce i znudzonym, księżna zaś czuła coraz więcej swą niezaradność wobec dzieciaka, którego duszy w istocie prawie nie znała. Chwilami mówiła z nim, jak z czteroletnim malcem, to znowu zaczynała rozmowy, jakby już był dorosłym człowiekiem.

Porzuciła ołowianych żołnierzy i zwierzęta z masy papierowej, rekwizyta z dawnych lat, któremi chłopiec oddawna się już nie bawił i przygarnąwszy go

znów do siebie, zaczęła pytać z wymuszoną, rozpaczliwą czułością, czy on kocha swoją mamusię i czy chce odtąd zawsze, zawsze być z nią razem?

Iwo potrząsnął głową.

— Nie, mamo. Ja nie mogę zawsze być z tobą.

— Dlaczego, synku, dlaczego?

— Jadę do Azji — rzekł z bardzo poważną miną.

— Do Azji!?

— Tak jest. Z panem Turskim. A gdyby on się tutaj zasiedział, to nawet sam.

— Synku! I nie tęskniłbyś?... Nie żalby ci było...

Chłopiec namyślał się przez chwilę.

— Nie. Chyba jednego pana Rogockiego, bo ci inni już mi się sprzykrzyli. Ale jego ostatecznie mógłbym wziąć ze sobą...

— A mnie? a mnie?

— Cóż ty, mamo... Ty i tak zawsze jesteś w swoim pokoju. Pisywałbym zresztą listy do ciebie i przysłałbym ci skórę upolowanego tygrysa...

Gdy nieco później Turski zaszedł do księżnej, zastał ją we łzach. Długo nie chciała nawet powiedzieć, o co płacze, aż wreszcie wybuchnęła:

— Wszystkiemu pan jest winien. Tyle dzisiaj miałam przykrości...

— Co takiego?

— Prosiłam pana, aby zamiar mój wstąpienia na scenę był narazie tajemnicą. Tymczasem musiał się pan o tem wygadać, bo wszyscy w mieście już wiedzą. Zepsuł mi pan niespodziankę.

— Ależ na Boga! Przed nikim nie wspominałem!

— Więc któżby?...

— Nie wiem. Może ten pani protegowany, Płażyński.

— Ach, Płażyński!... Pogniewał się, sama nie wiem o co i zostałam teraz w pracy bez pomocnika. Był mi w nauce naprawdę tak potrzebny, jako partner...

Zaczęła znowu płakać.

— Opuszcza mnie wszystko, nawet syn! Uwiódł mi pan syna. Marzy teraz o podróży do Azji i powiada, że nawet tęsknić za mną nie będzie.

Turski roześmiał się mimowoli.

— A tak, dobrze się panu śmiać, gdy pana w istocie nikt i nic nie obchodzi. Przez pana jestem samotna, opuszczona, pozbawiona przyjaciół i rodziny, nawet syn już nie do mnie należy.

Nie mógł żadną miarą zrozumieć, jaka jego w tem wszystkiem ma być wina, ale dla przyzwoitości zaczął ją pocieszać, jak umiał.

Otarła łzy i uśmiechęła się, jak słońce z poza wilgotnej chmury deszczowej.

— Niech będzie. Taki już widocznie mój los. Pozostaje mi w życiu tylko jedno: sztuka!

Wyciągnęła ku niemu ręce.

— Pan mi w tem dopomoże. To pański obowiązek dzisiaj.

A gdy ją zaczął zapewniać, że tego „obowiązku" nie zaniedba, dodała jeszcze, patrząc gdzieś wdal przed siebie.

— A Iwonka nie wolno panu opuszczać. Ja, poświęcając się sztuce, nie będę mu już mogła być matką taką, jak dotychczas. Pan mu teraz musi oboje rodziców zastąpić...

Poczem spojrzawszy na zegar, dała mu do zrozumienia, że godzina jest późna i musi pracować.

Po wyjściu Turskiego odprawiła służbę i przebrawszy się w lekki strój domowy, chodziła długo niespokojnie po pokoju. Wreszcie Płażyński zadzwonił. Otworzyła drzwi sama i zaraz na progu chwyciła go drapieżnie za rękę.

— Ty! Przyszedłeś... Chodź! Chodź...

XVI.

W głębi jednej z dwóch nisz, na wysokości balkonu się znajdujących, plecami o gładzoną marmurową kolumnę oparty, przed okiem zgromadzonych na dole gości fałdami ciężkiej portjery zakryty siedział Turski, bledszy nieco niż zwykle — i z pod przymknionych powiek patrzył na rozsuwającą się zwolna przed sceną zasłonę.

Mrok zupełny, scenę zalegający, nie pozwolił na niej rozróżnić żadnych dekoracyj, jeśli jakie były. Otwarła się jeno ciemna czeluść, gdzieś w najdalszej głębi jakby obrzaskiem gwiazd od skalnych kolosów przebłyskująca — i powiał z niej rzeźwy, wonny chłód na duszną od natłoczonych ludzi widownię.

W kutych miedzianych trójnogach na kamiennych stopniach sceny, pryskając, płonęła dymnym ogniem żywica; słaby, czerwony blask płomienia z poza kolumn igrał niespokojnie na pierwszym planie, niezdolny w mroczną głąb dotrzeć. I oto z fałdów rozsuniętej kotary — wolnym krokiem, ze spuszczoną głową, wysunął się człowiek o przedziwnej masce hrabiego de l'Isle-Adam, dawno zmarłego poety, który żyjąc w drugiej połowie dziewiętnastego wieku, zdawał się ongi sztuką swoją — z jednej strony być współczesnym Bajronowi, z drugiej — wylatywać gdzieś naprzód,

ponad pokolenia przyjść dopiero mające, aby go pojąć, odczuć i zrozumieć.

Szedł w czarny, szeroki płaszcz owinięty — na tle ciemności, w czerwonych błyskach z trójnogów bijących — milcząc jak cień. W pośrodku sceny przystanął, a potem zeszedłszy dwa stopnie niżej, usiadł na kamiennym schodzie, ramieniem o grecki ołtarz oparty.

Wzniósł po chwili głowę i począł mówić — wolno — głosem znużonym, jakby z trudem dalekie przypomnienie w słowa przybierając:

„Wyszedłszy z tego balu, szliśmy wzdłuż wybrzeża —
jako droga nas wiodła — w wygnańcze namioty,
a w jej dłoni kwiat jakiś wiądł i skrzył się złoty:
była północ, gdy gwiazda gwieździe sny swe zwierza.

„Tuż przed nami — w ciemnościach — poprzez morza tonie
w opalową i bladą dal gdzieś czarne fale
gnały; brzaskiem mistycznym lśniły wód oddale
i wskroś chłodnych przestworów alg szły ostre wonie.

„Odwieczne echa łkały hen po całym stoku,
a bałwany spienione zwichrzonemi głowy
ciężko tłukły o skalisk brzeżnych mur spiżowy;
na wydmie cmentarz krzyżów pojawiał się oku..."

Turski słuchał. Jakaś wizja północna majaczyła mu w pamięci: czarne, lodowemi soplami pokryte skały, wśród których, jak złe psy na uwięzi, miotają się szczekające i warczące morskie bałwany. Zapomniał na moment, że jest w swoim własnym teatrze, gdzie za minut kilkanaście zjawi się w aktorskim stroju ta kobieta, której pamięć włóczyła się za nim po tylu morzach i lądach — przez tak długie lata. Pod powiekami przymkniętych oczu paliła mu się blada i ruchliwa zorza północna, — zdało mu się, że słyszy w wietrze skrzypienie lin w małych czarnych statkach rybackich, co nocną porą na łów wyruszyły... Tęsknił w tej chwili tak, jak ongi, niegdyś, dawno — za marą swoją, za snem, ułudą, czując jeno, że dalsza ona jest odeń obecnie, niż wówczas była na tamtej, drugiej półkuli...

Aktor w stroju poety opowiadał tymczasem o nadmorskim cmentarzu z krzyżami, z których wieńce i napisy wicher pozrywał a uniosły bałwany. A potem zaczął mówić o swej towarzyszce. Powstał teraz i jedną dłonią o ołtarz wsparty, drugą wyciągnął szeroko przed siebie, ku widzom, jakimś ruchem lęku czy obrony:

„W jej spojrzeniu mrą dzieci. Przechodzi do fali
podobna i pamiętna jest długo — zniszczeniem;
tę kobietę się kocha przeto, że jest cieniem —
i szeptem mówią o niej ci, którzy ją znali.

„Odblask grozy wieczyście skronie jej otacza
i w objęciu jej słodkiem aż do zapomnienia
zbrodnia drzemie, że — zda się, słychać uderzenia
kolby na bruk rzucanej rękami siepacza.

„Jednak pod dumną wzgardą, co ją opancerza
żałobą, z której duszy mur więzienny czyni;
śpi, jak lilja zamknięta w hebanowej skrzyni —
czystość jeszcze dziewicza dotychczas i świeża..."

Lekki ale przejmujący zimny dreszcz przeszedł Turskiego. Uśmiechnął się wzgardliwie na przekór własnej duszy.

— Śmieszne, przesadne słowa spóźnionego romantyka, który nadto czytał Baudelaire'a! Źle zrobiłem, żem ustąpił i zgodziłem się na wystawienie tej sztuki, nie mającej właściwie zgoła sensu. Jeszcze głupiej, żem ją sam tłumaczył...

Mówił tak do siebie, ale myśli jego innym szły torem. Przypomniał sobie dawną rozmowę z Wierzbicem, kiedy go to przekonywał, że w księżnej Helenie niema zgoła nic demonicznego, lecz że tylko umie się ona stosować przedziwnie do okoliczności, jakie wokoło niej stworzono. Ale skąd właściwie powstała ta cała atmosfera i dlaczego koło niej właśnie? Znalazł był wówczas jakąś formułę..., ach, tak! Prawda: genjusz płci! Głupie słowo, ale — może — naprawdę tak jest? Na czemże jednak w takim razie ów „genjusz płci" polega? Wszakże ona nie uwodzi, lecz jest rączej wciąż uwodzona, nie zakuwa w kajdany, a ludzie sami okute ręce pod nogi jej kładą — wtedy nawet, gdy im się zdaje, że nad nią panują... Gdyby tak ten wyraz „genjusz płci" naodwrót przeczytać, czy nie wynikłoby z tego: „męskie niedołęstwo?"

A może nawet zgoła co innego? Jak to profesor Butrym powiedział?

„Kobieta może być naszą nałożnicą, albo matką naszych dzieci..."

Ha, ha! Śmieszny jest ten Butrym ze swoją mądrością, zapożyczoną od dwudziestokilkoletniego samobójcy-mizogyna! Udaje sceptyka i filozofa, a przecież sam patrzy w oczy swej żony, szukając w nich duszy, bliskiej sobie, przyjaznej, duszę jego dopełniającej.

Gdyby on — Turski — przed laty więcej był miał energji i zamiast dokonywać „bohaterskiego" czynu ucieczki tam, gdzie pieprz rośnie, zerwał był ten łańcuszek, ukochaną kobietę krępujący, rozwiał kłamstwo, otaczające ją jak mgła?... Gdyby był umiał stać się nietylko jej kochankiem, lecz przyjacielem, opiekunem, mężem? Nie! On umiał tylko u nóg jej leżeć i żebrać u niej miłosnej rozkoszy, albo w brutalnych

wybuchach zazdrości czysto zwierzęcej ranić w niej to wszystko, co jest człowiecze... A może przecież i w niej „śpi jak lilja zamknięta w hebanowej skrzyni czystość jeszcze dziewicza dotychczas i świeża?" —

Tkliwość niewypowiedzialna i tęskna owładnęła nim naraz — a z nią razem jakieś wewnętrzne kajanie się, jakaś żądza ekspiacji i pokuty, jeśli już nie naprawienia tego wszystkiego zła, co się stało.

— Czyż nie ja jeden jestem winien temu wszystkiemu kłamstwu i poniżeniu? — szeptał do siebie. — Śmiałem się, gdy niegdyś w oczy mi to zarzuciła, a przecież tak jest, tak jest! Nie wiem, co trzeba było zrobić, nie umiem dokładnie powiedzieć, w którym punkcie wina moja leży, ale wiem, żem winny. Duszę trzeba było w niej znaleźć, tę lilję śpiącą w hebanowej skrzyni...

Przelotnie błysnęła mu w myśli postać Poleskiego, ze starą inkrustowaną krucicą u skroni, który zginął przez to jedno, że wierzył w duszę tej kobiety — ale rychło natrętny i niepożądany obraz od siebie odegnał.

— Dziś już zapóźno — myślał, — aby przeszłość odwracać, ale pozostał syn. Jej syn i mój. Temu dziecku muszę wynagrodzić krzywdę, matce wyrządzoną. Wszystkie siły moje, całe życie i to, co mam... Nie cofnę się przed niczem, wszystko zniosę, choćby śmieszność i upokorzenie, aby się opiekować, aby czuwać nad nim... i nad nią...

— Jak Rogocki — szepnął mu jakiś zły głos do ucha.

Szmer przeszedł po widowni. Na scenę wchodziła księżna.

Turski, w myślach zatopiony, nie zauważył był nawet, jak po skończonym prologu scena się rozjaśniła

blaskiem wieczornych latarni, przed studencką gospodą drezdeńską zapalonych — nie słyszał gwaru zebranych burszów, powitań przybywającego Samuela, ani rozmowy smutnego do śmierci, wieczystego miłośnika księżniczki Elen, kawalera de Rosenthal z zazdrosną oń aż do zbrodni panią de Wahlburg.

Teraz dopiero, więcej przeczuciem zbliżenia się księżnej niż powstającym na sali szmerem tknięty, podniósł głowę i spojrzał na scenę...

Malowany nocny krajobraz łączył się przedziwnie z perspektywą rzeczywistego, widną przez rozsuniętą w głębi ścianę. Drezno, przed którego rogatkami autor francuski akcję dramatu swego umieścił, stało się jakimś dziwnym grodem z bajki, u stóp śnieżnych gór leżącym. Długa, prosto wyciągnięta aleja smrekowa szła wdal, hen poza mury teatru, w stronę błyszczącego rozświetlonemi oknami pałacu księżniczki Eleny, który wzniesiono na jeden wieczór na przeciwległem teatrowi wzgórzu.

Na pierwszym planie sceny czysty jak łza Samuel spał na ławce darniowej...

W długiej alei wionął czarny cień...

Turskiemu żywiej serce zabiło.

Oto zbliża się ona. Księżniczka Elen — księżna Helena... Miał wrażenie, że teraz, w teatralnem złudzeniu, z pośród udanych, za autorem powtórzonych słów objawi mu się jakaś prawda, jeszcze mu nieznana a duszy tej kobiety dotycząca...

„Duszę się — — !"

Czy to jej głos? Czy to jej ruch, którym nagle białemi rękoma rozdarła płaszcz z czarnych koronek pod szyją i maskę z twarzy odrzuciła, rozsypując jednocześnie lśniącą, kruczą falę włosów po barkach strzelistych?

„Oh! Jakież to wszystko nudne i poniżające! Jeden wir walca — i już mnie kochają; to obrzydliwe. Żal mi ubogiego domku mych rodziców... To było zaiste nieszczęście, żem się urodziła..."

Zwykłe, pospolite w romansach i dramatach słowa. Turski szeroko rozwarł oczy: w słowach tych drżał przedziwny, z głębi duszy dobyty ton, jakaś szczerość ogromna, w teatrze poprostu niesłychana.

„To było zaiste nieszczęście, żem się urodziła..."

Kto się tak skarży? Księżniczka Elen? Księżna Helena?

Oto ujrzała śpiącego na ławce Samuela. Spojrzenie obojętne, trochę wzgardliwe słowa, szeptane do siebie z roztargnionym rzutem oczu w stronę oświetlonych okien pałacu, z którego była uciekła. A jednak śpiący człowiek ją zajmuje — nie może się oderwać od niego.

„Chciałabym go obudzić — i nie śmiem. Ach! Zapewne zechce mnie pocałować, gdy go obudzę!"

Zniecierpliwienie. Tupie nogą. Ten cudowny młodzieniec, śpiący tak spokojnie w jej obecności, gniewa ją. Chwila milczenia, a potem nagły ruch tygrysicy. Nachyla się nad uśpionym. Oczy jej, te oczy *qui font mouris les enfants*, szeroko rozwarte patrzą na młodą, spokojną we śnie twarz... Usta jej zadrgały kurczowo — niby stygnącym uśmiechem, niby spazmem przeczuwanej zbrodniczej rozkoszy.

„Tak, to myśl cudowna! Właśnie to! Kochać go będę przez trzy dni tak, aby nie znał mego imienia; będę go kochać poprostu, tego cudownego młodzianka, a potem odejdę sobie i on zostanie sam z mojem wspomnieniem. W ten sposób pozostanę na zawsze czysta i uczczona w jednej przynajmniej duszy na ziemi..."

Usta jej palące przywarły się do ust śpiącego. Samuel — czysty jak łza — rozwiera oczy.

— „Oh! Jakaś ty piękna!“

— „Czy chcesz, panie mój, iść ze mną?“

— „Jaka ty piękna jesteś! Cud...“

— „Pójdź, pójdź...“

Zasłona się zwinęła, zabłysły światła w widowni. Turski mechanicznie powstał i wąskiem, specjalnie dla jego loży urobionem przejściem poszedł na scenę. Bezmyślnem okiem patrzył na gwałtowny ruch antraktowy; składano dekoracje, rozstawiano nowe — wśród robotników kręcił się, krótkie wydając rozkazy, Wierzbic, wedle którego planów to wszystko malowano. Turski zauważył, że ma ceglaste rumieńce na twarzy i co chwila językiem spiekłe wargi odwilża. Zeszedł mu z drogi, nie chcąc przeszkadzać. Zresztą nie był usposobiony do rozmowy. Mignęła mu jeszcze w oczach pyzata gęba Płażyńskiego w stroju Goetza, — zdawało mu się, że aktor zdąża w stronę ubieralni księżnej Heleny.

Zawahał się na chwilę, czy nie iść tam i nie powinszować jej tego pierwszego, krótkiego zjawienia się na scenie, które nadspodziewanie wielkie wrażenie wywarło, ale ogarnął go strach, że może w garderobie zastać Płażyńskiego albo Rogockiego, któremu na prośbę księżnej, jako nieodzownie potrzebnemu adlatusowi, udzielił osobnego pozwolenia znajdowania się za kulisami. Gdy tak stał, niepewny co począć, dostrzegł go Zaremba i powitał.

— Szukam pana za kulisami — zaczął, — aby panu powinszować. Pierwszy akt poszedł oczywiście nadzwyczajnie. Jeśli i drugi tak pójdzie...

— Drugi pójdzie bez porównania lepiej — rzekł

Turski i zmieszał się, posłyszawszy treść własnych słów, niespodziewanie rzuconych.

Stary pan zrozumiał. Spojrzał nań z uśmiechem w kącikach zwiędłych ust.

— A tak, liczy pan na księżnę. Tutaj się dopiero pojawiła. Tak, tak. Zdaje mi się, że to będzie zczasem niepospolita artystka. Jeśli jej tylko teatr, rozumie pan? Teatr nie uwiedzie i nie zrobi z niej komedjantki...

Rozstali się jakoś chłodno, chłodniej niż zazwyczaj. Turski wrócił do swojej loży, gdyż właśnie drugi akt miał się rozpoczynać.

Gdy siadł na swem miejscu, światła na sali były już pogaszone — na scenie rozmawiała właśnie księżniczka Elen z panią de Wahlburg, co przyszła, aby jej przynieść śmierć. Patrzył na wszystko i słuchał jak we śnie. Chwilami miał wrażenie, jak gdyby nie dramat kłamany i romantyczny przed nim na teatralnych deskach się rozgrywał, lecz dziwna jakaś rzeczywistość mu się objawiała w formach — niby to skądś już znanych, prawie że banalnych, a przecież wyrazistych i jedynie właściwych.

— Skrót całego życia — myślał, — symbol każdej miłości, znak duszy kobiecej...

Nie próbował nawet zastanawiać się, czy dobrze grają tam na scenie; nie pamiętał wogóle, że grają. W scenie z Samuelem widział okropną, rozpaczliwą, z pustej duszy wychodzącą nudę księżniczki, udającej jeszcze miłość — z litości, nawet nie nad tym, już nie kochanym, lecz raczej nad sobą samą, wiecznie i zawsze przez każdą chwilę życia oszukiwaną, które, na pozór pełne, obiecywało wiele, a niczego dać nie umiało. Ogarnęło go głębokie, aż bolesne, smutku pełne współczucie. I nie wiedział, kogo właściwie żałuje: wymy-

ślonej przez poetę postaci, czy tej żywej kobiety, która ją oto przed oczyma jego wcielała. Jak czasem w przykrym śnie gdzieś na dnie świadomości budzi się myśl, że to przecież wkrótce i dobrze się skończy, tak on teraz z przedziwną ulgą przypomniał sobie, że księżniczka Elen umrze za chwilę, zdradzieckiemi kwiatami pani de Wahlburg otruta.

I naraz zbudziło się w nim uporczywe, całą istotę jego pochłaniające oczekiwanie. Czekał tej chwili ostatecznego wyzwolenia w dramacie, zupełnie jak jakiś młody czeladnik, co raz na miesiąc w niedzielę przyszedł na straszliwą tragedję do teatru i drży z niecierpliwości, gdy się przybliża chwila rozwiązania. Krytyczna myśl nasunęła mu na jeden moment to porównanie, ale uśmiechnął się jeno pobłażliwie i odepchnął je szybko.

Oto uczta ostatnia tych dwojga ludzi — na balkonie pod gwiazdami. Zdradziecki paź nalewa wino w kryształowe kielichy. Na rozkaz Eleny sypie opjum do puhara Samuela...

— Już, już za chwilę umrze i ona, za chwilę będzie wolna — myśli Turski uporczywie...

Pożegnała go chłodnym, smutnym jak śmierć pocałunkiem w czoło i uśpionego każe wynieść tam na ową ławkę darniową, gdzie go zbudziła pocałunkiem na trzy dni miłości...

Turski widzi, jak księżna wznosi do ust zatruty bukiet nieśmiertelników. Odrzuciła wtył głowę, spojrzała naokół z błyskiem dziwnego przerażenia w szeroko rozwartych oczach...

„Oh! Cóż za kwiaty straszliwe! Ich zapach mnie mdli“...

Nie czas myśleć o tem! Otwierają się podwoje

dalszych sal — po trzydniowej przerwie zwykła conocna zabawa: goście, maski, damy i panowie...

Księżniczka Elen uśmiecha się pobladłemi, martwiejącemi ustami.

„Piękni panowie i piękne panie“...

Zachwiała się. Turskiemu zamarł oddech w piersi. Miał wrażenie, że księżna Helena pobladła rzeczywiście i jeno nadludzkim wysiłkiem woli utrzymuje się na drętwiejących nogach.

„Witam was i dziękuję“...

Siła woli już nie wystarcza — uginają się pod nią kolana; na ziemię się osuwa... z tłumu masek ktoś wybiegł, rękoma padającą podtrzymuje... Zrozumiała.

„Oh! Czarna dama“...

Spojrzała na bukiet zdradzieckich kwiatow, na uśmiechniętego, pięknego jak sen pazia...

„Padam jak królowa w pośrodku swego dworu! Dla dzisiejszej pięknej nocy przebaczam wszystkim, co mnie zdradzili. Szczęśliwi, którzy się kochają — — !“

Dźwignęła się jeszcze; uśmiech ostatni po ustach jej przemknął:

„Bawcie się państwo!“

Kawaler de Rosenthal, miłośnik zapamiętały i wierny choć odepchnięty, tulił dłonią jej już ścichające serce.

Szarpnęła się raz jeszcze i uderzyła bezwładnie piękną głową o kamienną posadzkę.

Turskiemu zdało się, że na widowni usłyszał krótki, prawie radosny krzyk, który mu przypomniał panią Irenę...

I coś jakby gwałtowne, stłumione łkanie Rogockiego.

Nie miał czasu myśleć o tem. Rozległa się burza

oklasków — zwykła owacja: wieńce, kwiaty, szarfy, okrzyki, wywoływania...

Wyszedł z teatru. Nie miał ochoty patrzeć już na akt trzeci i być świadkiem potwornej sceny, jak Samuel leżącej w trumnie księżniczce rzuca kiesę złota na zapłatę trzech dni miłości i upojenia... Ścieżką wzdłuż łąki wiodącą zeszedł ze stoku wzgórza, a osiągnąwszy dolinę, począł bez myśli na następne wzgórze wstępować. Był bez kapelusza; nocny, zrywający się od gór wiatr chłodził mu czoło. Nad szczytami zbierały się chmury skłębione i nieruchome...

— Będzie halny — pomyślał.

Jakoż gdy tylko wszedł nieco wyżej, poczuł gwałtowne, gorące, krótkie uderzenie wichru, zapowiadające zbliżanie się burzy. Rzadkie smreki zajęczały dokoła niego — jakaś sucha gałąź wiatrem odłamana padła na jesienną twardą ziemię.

— Stary idzie! — Posłyszał stłumiony głos w pobliżu.

Obejrzał się raźno — zdziwiony. Tuż nieopodal robotnicy przy świetle pochodni rozbierali dekoracyjną budowlę, przedstawiającą pałac księżniczki Eleny, na którą jeszcze niedawno, wszystkiemi oknami rozjarzoną, patrzyli widzowie teatralni po przez otwartą tylną ścianę sceny. Teraz usuwano właśnie podpory, podtrzymujące wyniosłą ścianę z desek, ściągano sznury i odpinano żelazne spięcia.

'Starszy maszynista podszedł ku niemu.

— Śpieszymy się, proszę pana dyrektora — rzekł, zdejmując czapkę, — bo za pół godzinki to wiatrby to już sam za nas sprzątnął!

Jakoż w tymże momencie — nie czekając nawet zapowiedzanej ,,półgodzinki" — nowe gwałtowne uderzenie wiatru wyręczyło robotników. Osłabiona przez

zdjęcie podpór ściana znikła nagle z przed oczu Turskiego; posłyszał tylko łomot drzewa, rzuconego gdzieś w dół, aż do wąskiego potoczku, co oba wzgórza rozdzielał.

Turski doznał wrażenia jak gdyby ulgi. Zdawało mu się, że tak właśnie powinno się było stać: wiatr, prawdziwy wiatr musiał rozwiać i zniszczyć ten śmieszny gmach z malowanych desek, co przez godzinę pałac księżniczki udawał.

Nie spojrzawszy nawet na zakłopotanych i — ze względu na jego obecność — pocichu klnących robotników, zawrócił w stronę teatru.

Gdy się znalazł z powrotem przed greckim portykiem wejścia, ludzie tłumnie już wychodzili. Ustąpił przed nimi w cień limb i patrzył jak przechodzą, rozmawiając żywo i gestykulując, gdy naraz przypomniał sobie, że powinien właściwie odwiedzić księżnę w garderobie i podziękować jej za występ.

Zastał ją już ubraną w towarzystwie jakichś dwóch nieznajomych mu dam, które jej przyszły po przedstawieniu winszować, i naturalnie — Rogockiego. Zwróciła się ku niemu zaraz jasną, uśmiechniętą twarzą.

— Czekam na pana.

— Nie chciałem wcześniej przeszkadzać, — rzekł z ukłonem.

Wstała pośpiesznie i poczęła się żegnać z damami, mimo że te, zdaje się, wcale nie miały jeszcze ochoty wychodzić.

— Bardzo, bardzo było mi miło, że panie raczyły... Przepraszam, żem panie tak długo w tej ciasnocie zatrzymała, ale było mi naprawdę tak przyjemnie.

Turski patrzył, oparty plecami o drzwi. Widział garderobianą, składającą rozrzucone części kostjumów, — naprzeciw na gotowalni duże potrójne zwierciadło

i zapalone przed niem światło elektryczne, — pudełko ze szminką, łabędziki od pudru, walające się na marmurowej tafli. Był ciągle jeszcze jak nieprzytomny. Nie umiał sobie zdać jasno sprawy z punktu swego życia, w którem się znajduje. Co chwilę wzbierało w nim uczucie, że czas się wrócił wstecz — i on jest jak dawniej w jakimś teatrze, w którym może właśnie jego sztukę grano przed chwilą. Przyszedł oto po skończonem przedstawieniu podziękować wykonawczyni głównej roli... Widział, że to jest księżna Helena i nie dziwił się temu. Zdawało mu się, że wogóle nie znał jej nigdy w innym charakterze, że owszem, odkąd zapamięta, była aktorką i on ją widywał zawsze na tle tych porozrzucanych kostjumów, w tej duszącej atmosferze perfum, zapachu szminki i pudru...

Uczuł, że ktoś zlekka dotyka jego ramienia.

— Czy pan zadowolony ze mnie, panie Romanie?

Ocknął się.

— Wie pani, myślałem właśnie w tej chwili, że pani jest urodzoną artystką, i aż mi dziwno, że znałem panią podobno i wtenczas, kiedy pani na deskach teatralnych nie występowała.

Zaśmiała się.

— Przecież ja dzisiaj gram po raz pierwszy!

Zwróciła się do Rogockiego.

— Panie Janie, wszak pan zamówił dla nas gabinet w restauracji?

Turski uderzył się w czoło.

— Przecież to ja powinienem był o tem pomyśleć!

— Drobnostka! Tymczasem dzisiaj będzie pan moim gościem.

Zawiązywała sobie głowę — w miejsce kapelusza — szerokim czarnym szalem koronkowym. Zwróciła się znów do Rogockiego.

— Ach, nie śmiem pana prosić...

Były adwokat, w odświeżone ubranie na dzisiejszą uroczystość ustrojony, powstał usłużnie.

— Czy pani co przynieść?

— Nie, ale gdyby pan był tak nadzwyczajnie dobry... Nie chciałabym czekać w restauracji... Możeby pan mógł zajrzeć, czy tam wszystko jest już gotowe?

— Owszem, za kwadrans będę z powrotem.

— Niech pan weźmie mój automobil. Czeka przed teatrem.

Gdy drzwi za Rogockim się zamknęły, księżna usiadła na fotelu, nie patrząc na Turskiego. Zapanowało głuche milczenie. Po chwili Turski rzucił głowa.

— Pani umyślnie wysłała Rogockiego — —?

— Tak, wysłałam go naumyślnie. Chciałam panu powiedzieć... chciałam...

Rozpłakała się nagle bez żadnego widocznego powodu.

— Pani jest strasznie zdenerwowana! — rzekł, kładąc dłoń na jej głowie ruchem jakby mimowolnym.

Spojrzała mu w oczy załzawionemi źrenicami.

— Tak, tak... jestem bardzo wyczerpana, ale szczęśliwa... Weszłam na drogę właściwą; to jest życie moje — odtąd — już — na zawsze...

Nim spostrzegł, co robi, uchwyciła dłoń jego i pocałowała.

— Co pani...? — krzyknął.

— Dziękuję. Wszystko się dobrze stało, tak jak się stało; widocznie musiało tak być.

— Och, pani! Pani Heleno!...

— Cicho. Musiało być. Teraz już ci nie wolno opuścić mnie. Pokazałeś mi drogę do nowych światów, na wyżyny sztuki... Teraz musisz się opiekować mną i dzieckiem, i twojem dzieckiem, Romek!

Nie wiedząc prawie, co czyni, pod wrażeniem całego dziwnego wieczoru, ukląkł przed nią i przycisnął usta do jej ręki. Nie broniła mu jej, owszem drugą cicho i delikatnie poczęła gładzić jego włosy.

W pół godziny w najlepszym gabinecie hotelowej restauracji towarzystwo znajdowało się w komplecie. Stół był okrągły. Po prawej ręce księżnej siedziała pani Irena, uśmiechnięta i wymalowana, ze śladami wypieków, przebijającemi z pod warstwy pudru, — po lewej stało próżne krzesło, a dalej usadowili się kolejno: Rohityn, Golimski, Wierzbic i wreszcie Rogocki. Turskiego jeszcze nie było — zatrzymano go na wychodnem w jakiejś pilnej sprawie w teatrze; Płażyński kręcił się po gabinecie, wydając, w imieniu księżnej polecenia słuchającemu go nabożnie lokajowi. Śmiano się i żartowano, niecierpliwiąc się nieco przeciągającą się nieobecnością Turskiego, bez którego księżna nie chciała rozpocząć kolacji.

Zjawił się nareszcie. Powitano go gromkim okrzykiem. Wszedł przybladły trochę, ale uśmiechnięty i swobodny, i powitawszy jeszcze raz księżnę, rzucił przed nią na stół ogromny pęk białych róż.

— Czy nie zatrute? — zaśmiała się, nawiązując do roli, którą dziś grała.

— Niech się pani przekona, dając je naprzód powąchać komuś z obecnych — odparł wesoło i ujął w rękę poręcz wolnego obok księżnej krzesła, aby usiąść.

Wierzbic zerwał się z miejsca.

— O, nie! Nie tu, panie Romanie! Porządek

musi być zachowany. To miejsce Płażyńskiego, który tam właśnie ostrygi ogląda...

Mówiąc to, wsunął dla Turskiego krzesło między Rogockiego a panią Irenę.

— O tak! Teraz łańczuszek jest zamknięty, i możemy wypić zdrowie naszej boskiej artystki.

Powstał z pełną szklanką szampana w ręku:

— *Laus tibi, femina!*

KONIEC.

Powrót jest pierwszą częścią cyklu „LAUS FEMINAE“.
Następuje, jako druga część cyklu powieść: PROFESOR BUTRYM.